cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #185 11/2021

ISSN 1895-4960

Piotr Lisiewicz
RYCERSKOŚĆ,CZYLI CECHA ZWYKŁYCH POLAKÓW

Antoni Rybczyński
POWRÓT MISZY. JAK GRUZJA ODDALA SIĘ OD ZACHODU

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



DZIŚ WIDAĆ, ŻE DONALD TUSK ODEGRAŁ KLUCZOWĄ ROLĘ W WYKREOWANIU JĘZYKA NIENAWIŚCI, STRACHU I STYGMATYZACJI CAŁYCH GRUP SPOŁECZNYCH. UDERZYŁ W JĘZYK JAKO NARODOWE SPOIWO I KATOLICYZM JAKO FUNDAMENT TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK (3)

eprasa.pl a536663907

TEMAT NUMERU ▼ 4–20



Tusk bluzg / 4

IDEE ▼ 22–43



Czy antykomunizm wyssaliśmy z mlekiem matek? / 22

HISTORIA ▼ 44–64



Rycerskość, czyli cecha zwykłych Polaków / 44

KRAJ ▼ 70–81



Die Gottbegnadeten – artyści nietykalni / 70

ŚWIAT ▼ 82–98



Powrót Miszy. Jak Gruzja oddala się od Zachodu / 82

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z prof. Ryszardem Legutką rozmawia Piotr Lisiewicz
Tusk bluzg 4

Piotr Grochmalski
Tuska strategia nienawiści 10

Ryszard Czarnecki
Czekanie na nowego Cybę 17

Dawid Wildstein
Prostackie sztuczki, czyli pogarda według PO 18

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Czy antykomunizm wyssaliśmy z mlekiem matek? 22

Stefan Czerniecki
Modlitwa więźnia 28

Małgorzata Matuszak
Po co nam święci? 35

Ewa Polak-Pałkiewicz
Ta inna Francja 38

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Rycerskość, czyli cecha zwykłych Polaków 44

Dariusz Jarosiński
G.K. Chesterton. Przyjaciel Pana Boga i Polski 50

Agnieszka Kowalczyk
Przez kraj krwi i wiecznego pokoju 56

Adolf Nowaczyński
Chan chamstw Józef Wissarionowicz Dżugaszwili 62

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Die Gottbegnadeten – artyści nietykalni 70

Z Piotrem Walentynowiczem rozmawia Sylwia Krasnodębska
Babcia Ania była pełna miłości 76

Krzysztof Karnkowski
Sztuka wojenna według Iron Maiden 78

Krzysztof Karnkowski
Złoty jubileusz pewnego kłamstwa 80

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Powrót Miszy. Jak Gruzja oddala się od Zachodu 82

Hanna Shen
Czy Japonki skruszą żelazny sufit? 88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 94

oprac. Antoni Rybczyński
Słowa czy czyny: co określa rosyjską strategię globalną? 96

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Jeszcze jedna odsłona frontu
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Gwałt na języku
PAPKULTURA 9



Małgorzata Matuszak
Czym jest... żałoba
KATECHIZM INTELIGENTA 21



Ryszard Czarnecki
List z Uzbekistanu
CZARNECKO TO WIDZĘ 65



Krzysztof Wołodźko
Miejsca wyobrażone. Iskry światła, smugi cienia
DZIENNIK LEKTUR 66



Marek Kalinowski
Nietypowa droga
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 81



Olga Doleśniak-Harczuk
Rewolucji i precla!
Z GLOBALNEGO TYGLA 92



Tomasz Sakiewicz
Wzloty i upadki cywilizacji
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl a536663907



Katarzyna Gójska

Jeszcze jedna odsłona frontu

Walka o bezpieczeństwo Polski toczy się nie tylko na naszej wschodniej granicy, lecz – jak zauważył premier Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" – także w Warszawie.

I paradoksalnie to właśnie to oblicze tej hybrydowej wojny jest znacznie bardziej agresywne. Skala ataku propagandowego towarzyszącego zabiegom o umocnienie granicy z Białorusią jest jedną z największych, z jaką mierzymy się od lat. Na pewno od 2010 roku i brutalnego naporu kremlowskiego kłamstwa, które uderzyło w polską opinię publiczną tuż po śmierci delegacji RP ze śp. Prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Główne przekaźniki wykorzystywane w tym przedsięwzięciu są zresztą identyczne – te same media, ci sami dziennikarze i tzw. osoby rozpoznawalne publicznie. „Gazeta Wyborcza" znowu po prostu przedrukowuje wschodnie komunikaty propagandowe, a TVN odziera niemalże z człowieczeństwa funkcjonariuszy państwa polskiego – dokładnie jak kiedyś choćby śp. Generała Andrzeja Błasika. To najpewniej jednak nie koniec. Należy bowiem spodziewać się uruchomienia jeszcze jednego strumienia propagandowego, którego głównymi obiektami nie będą dzieci ani polscy żołnierze niczym służba obozów koncentracyjnych, lecz rząd wywołujący wojnę. Ta historia już wisi w powietrzu i najpewniej czeka na sprzyjające okoliczności. Polskie władze będą w niej ukazywane w roli prowokatora Łukaszenki, który wtrąca się w nie swoje sprawy, opłaca białoruską opozycję i przez to sprowadza na nasz kraj nieszczęście. Można przypuszczać, iż ten przekaz będzie rozprowadzany innym kanałem, bo i do innych odbiorców jest adresowany. Jego propagatorami będę najpewniej przede wszystkim politycy Konfederacji i sprzyjające im media. Być może przyłączy się do tej śpiewki na moskiewską nutę także PSL. I bez wątpienia ta odsłona wojny informacyjnej będzie dla większości rządzącej znacznie bardziej kłopotliwa. Może być skuteczna wobec tych wyborców, którzy boją się wszelkich napięć i naiwnie podchodzą do relacji międzynarodowych. Trzeba bowiem mieć w tyle głowy, że przez całe dziesięciolecia III RP karmiono Polaków opowieścią o zagrożeniu związanym ze wzmacnianiem potencjału obronnego. W myśl tej narracji tylko państwo ze słabą i małą armią mogło ustrzec się ataku i w konsekwencji wojny. Proszę przypomnieć sobie, jaka histeria zapanowała w mediach w związku z planami budowy w naszym kraju instalacji tarczy antyrakietowej. Wówczas wprost tumaniono ludzi, że najnowocześniejsza broń to jak zachęcanie do napadu. Trudno wyobrazić sobie większą niedorzeczność, mimo to polska opinia publiczna była niemalże tresowana tym idiotyzmem. I to na pewno zaowocowało wykształceniem w jakiejś części naszego społeczeństwa przeświadczenia, iż stanowczość w obronie swoich racji oznacza kłopoty, a optymalna polityka zagraniczna powinna sprowadzać się do udawania, że nie istniejemy. Że nas nie ma: siedzimy cicho i przytakujemy najsilniejszym. Polska stoi dziś na progu zupełnie nowej rzeczywistości, takiej, o której nasi przodkowie mogli tylko marzyć. Po raz pierwszy od stuleci mamy szansę rozwinąć i wykorzystać nasz potencjał, zacząć się bogacić jako państwo, umacniać i budować pozycję naturalnego lidera regionu. Ale by móc pewnie kroczyć tą drogą, potrzebujemy gwarancji bezpieczeństwa. Nie tylko silnej armii, lecz także mechanizmów pozwalających na radzenie sobie z atakami propagandowymi. Między innymi takimi, jakie właśnie smagają polską debatę publiczną. Kluczowe jest w tym procesie umocnienie polskich mediów. ■

PO RAZ PIERWSZY OD STULECI MAMY SZANSĘ ROZWINĄĆ I WYKORZYSTAĆ NASZ POTENCJAŁ, ZACZĄĆ SIĘ BOGACIĆ JAKO PAŃSTWO, UMACNIAĆ I BUDOWAĆ POZYCJĄ NATURALNEGO LIDERA REGIONU. DO TEGO POTRZEBUJEMY GWARANCJI BEZPIECZEŃSTWA. NIE TYLKO SILNEJ ARMII, LECZ TAKŻE MECHANIZMÓW POZWALAJĄCYCH NA RADZENIE SOBIE Z ATAKAMI PROPAGANDOWYMI.

eprasa.pl a536663907

Piotr Lisiewicz



TUSK BLUZG

Tusk jest człowiekiem, który rozpętał wojnę polsko-polską wyłącznie z powodów cynicznych. Dla niego takie „wojska", które kierują się odruchem nienawiści, chcą przeciwników upokorzyć, zbluzgać – to jest armia wymarzona. Cała reszta przestaje się wtedy liczyć, w tym potrzeba posiadania jakiegokolwiek programu pozytywnego, związanego z losem Polaków. A z kolei samego Tuska i jego współpracowników nie da się tą metodą zranić, bo dla nich nie ma, wyłączywszy może sprawy prywatne, świętości, których sprofanowanie mogłoby ich zaboleć – z prof. RYSZARDEM LEGUTKĄ rozmawia PIOTR LISIEWICZ.



Fot. Szilard Koszticsak/PAP

▶ Niedawno minęła rocznica „strajku kobiet”. Mało kto pamięta dziś, że gdy się on zaczynał, organizatorki ogłosiły, że jego hymnem ma być Marsz Imperialny Star Wars. Niedługo chyba pełnił tę rolę, bo wkrótce głównym hasłem „pochodu” stało się „J...ć PiS”. Wspomniany „Marsz...” nie ma treści, jest tylko melodia. Treści nie ma też przywołane wulgarne hasło. Pomyślałem wówczas, że to unikanie treści wynika z faktu, iż nie da się na sztandarze umieścić postulatu: „Chcemy móc zabijać dzieci z zespołem Downa”. Dlatego treść musi ukryć wojownicza melodia lub wulgaryzmy.

Zgadzam się. Wulgaryzmy są częścią rewolucji, tej lewicowej, burzycielskiej. Rewolucja, która zaczęła się w 1968 roku, zawierała od początku mocny element wulgaryzmu. Wynikał on z tego, że walczono już nie z królem i nie z jakąś sztywną strukturą polityczną, jak było u nas, za komuny. Walczono z obyczajem, z kulturą, z czymś, co jest nieuchwytne, z imponderabiliami, z moralnością, z religią, a wtedy wulgaryzmy stają się bronią pierwszorzędną. Bo to są sprawy, które otoczone są nimbem dostojeństwa, szlachetności, godności, szacunku. Człowiek obcując z tym ścisza głos albo staje wyprostowany. Rewolucja chce tę wrażliwość zniszczyć. A najłatwiej sprofanować ją poprzez wulgaryzmy.

▶ Rewolucjoniści powiedzą, że te dostojne wartości i obyczaje są używane przez hipokrytów. My dlatego burzymy ten ład, że stoją za nim czerpiący z niego zyski hipokryci.

Oczywiście można tak mówić. Ale przecież już wiemy, że hipokryzja, choć jest wadą, ma w sobie także coś dobrego. To jest, by przywołać księcia de la Rochefoucauld, hołd składany cnocie przez występek. Pomaga nam okiełznać, choćby tylko powierzchownie, nasze słabości. Hipokryzja bywa więc obmierzła, ale jest w niej coś społecznie ważnego. Wracając do ataku na obyczaje: burzy się je wulgaryzmami, bo inaczej trzeba by wdać się z nimi w dyskusję. A po co dyskutować, skoro należy – jak w minionych rewolucjach – szturmować Pałac Zimowy, wieszać czy ścinać głowy toporem albo gilotyną. Natomiast teraz odziera się te niewidzialne struktury z godności przez poniewieranie słowne. Tutaj religia staje się naturalnym celem ataku. I księża, którzy nie mają swojego wojska czy policji. Chroni ich tylko ludzki szacunek, uznanie dla czegoś, co jest wyższe, święte. A teraz naprzeciwko tego staje barbarzyńca, po zęby uzbrojony w bluzgi. Człowiek, który ma szacunek dla tego, co wysokie, może poczuć się bezradny wobec tego ataku, zwłaszcza że ciągle on trwa. Dzisiejszy barbarzyński egalitaryzm posługuje się tą bronią chętnie i nierzadko skutecznie.

▶ Mówiliśmy o jednorazowym akcie ulicznej rewolucji, która wyciąga nagle na ulice wiele tysięcy ludzi. Ale przy okazji manifestacji KOD, powracających, już nie tak masowych, mniej żywiołowych, niemających kolorytu karnawału, wulgaryzm występuje jako zjawisko stałe, dla obserwatorów dość groteskowe. Oto 70-letnie panie, pozując do fotografii, powtarzają „J...ć PiS”. Próbując zrekonstruować, jaki ciąg przyczynowo-skutkowy doprowadził do tej zaskakującej sceny, zauważamy, że na tych manifestacjach mamy wyjątkowo bogate emerytki, nierzadko żony dawnych esbeków. Potem, w latach 90., zachwycające się tygodnikiem Urbana.

One nie wstydzą się tak mówić publicznie, bo w Polsce ostatnich dziesięcioleci w ogóle następuje wulgaryzacja życia. Inteligencja, która poddała się demokratyzacji i kulturze masowej, chętnie sięga po wulgaryzmy. Gdy jeszcze połączy się to z kontestacją polityczną, to efekt jest do przewidzenia: mamy polskich pisarzy posługujących się językiem najgorszej żulii. Ale na co dzień w tym procesie wulgaryzacji biorą udział celebryci, piosenkarze, aktorzy, ludzie telewizji, twórcy filmów. Do niektórych teatrów aż strach pójść. Ta wulgarność ma w ich oczach coś szykownego. Gdy jedna część polskich elit przyczynia się do wulgaryzacji kultury, to inna część z kolei milczy. Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich kilkukrotnie oburzyła się na słowa abp. Marka Jędraszewskiego. Nigdy nie oburzyła się natomiast na wulgaryzmy, degradację języka i na ataki – również na profesorów. Kiedyś jak człowiek przeklął, po chwili przepraszał. Dziś uznaje, że dzięki temu rośnie jego prestiż. Te 70-letnie panie też poczuły się dzięki przekleństwom elitą.

▶ Właśnie ten elitarny wulgaryzm wydaje się czymś naprawdę degradującym Polaków. W moich rocznikach w czasach szkolnych słuchany był znany z wulgarnych tekstów zespół Dr Hackenbush, a potem moi koledzy z osiedla, czyli raperzy z Nagłego Ataku Spawacza. Tyle że u nich przeklinanie było częścią buntu ludzi z dołów przeciwko niesprawiedliwościom III RP, gdy nawijali: „Ludzie muszą wiedzieć, że w Polsce też są bagna/A nie modne sklepy i zachodnie reklamy/ Tylko brudne i ciemne zarzygane bramy”. To jednak coś innego, gdy przeklinają doły społeczne, a co innego, gdy robi to profesor.

Nigdy nie byłem zwolennikiem wulgarności w życiu publicznym, choć nie powiem, by w przeszłości mój

eprasa.pl a536663907

język w prywatnych kontaktach zawsze był mickiewiczowski. Ale w którymś momencie zorientowałem się, że używanie słowa „k...” w szerszym gronie albo zbyt częste wypowiadanie go to nie jest już taka drobna przyprawa na końcu łyżeczki, która wyostrza smak potrawy gotującej się w kotle. Tylko że to jest już sam ten kocioł, z którego wszyscy hojnie czerpią. Że to jest coś, co niesłychanie szybko się rozprzestrzenia, niezależnie od motywacji tych, którzy wulgaryzmów używają. W pewnym momencie staje się normą. I później nie da się już jej wypchnąć.

▶ W pewnym momencie największym rynsztokiem w Internecie stało się forum portalu Gazeta.pl – Agory, tej samej, która chce wychowywać elity. Pamiętam sytuację, już za rządów PiS, gdy pewna dziennikarka, inteligentna, o dobrym warsztacie dziennikarskim, a jednocześnie ładna, podjęła pracę w TVP. Zrobiłem sobie wówczas screeny z tego forum. Tam wśród kilkudziesięciu wpisów nie było właściwie innych niż sugerujące, że zrobiła karierę przez łóżko. I na portalu zachwalającym feminizm nikt tych wpisów nie usuwał.

Tu mamy dwa problemy. Pierwszy to taki, że przy wszystkich swoich plusach Internet jest narzędziem demoralizującym przez to, że można tam anonimowo dawać upust niskim emocjom. Drugi jest taki, że lewa strona sporu faktycznie jest dużo bardziej brutalna, bo oddaje się dziełu burzenia.

▶ A dlaczego feminizm, obrona kobiet, przestaje mieć tu jakiekolwiek znaczenie?

Jeżeli ktoś z płci robi sprawę najważniejszą, z natury musi stoczyć się w wulgarność. Sprawy dotyczące płci osłonięte były przez wieki szczególnym językiem, społecznymi i artystycznymi kodami. Tam, gdzie tych kodów nie było, na przykład w wojsku czy w innych miejscach, gdzie chłopy się spotkały i sobie popiły, natychmiast zaczynało się świntuszenie. Teraz jak baby się za to wzięły i zaczęły walczyć z klasycznym obrazem kobiet, mówić dużo o płci, to też musiały popaść w wulgarność. A feministki jak wiadomo nie walczą o kobiety, tylko o swoją ideologię. Kiedy jakaś kobieta nie jest feministką i się im przeciwstawia, to ją sponiewierają gorzej niż prymitywny pijak na ulicy.

▶ Słuchając języka już nie liderek, a zwykłych młodych uczestniczek „strajku kobiet”, tzw. Julek, wpadłem na jeszcze jeden trop: one naśladowały język miotających na siebie wyzwiska w czasie konferencji prasowych uczestniczek walk w Fame MMA. Owych popularnych w Internecie walk, mających więcej wspólnego z cyrkiem niż ze sportem.

No tak, z pewnością nie były to dziewczyny wychowujące się na Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej czy Zofii Kossak-Szczuckiej. Zapewne ta wulgarność jest w Fame MMA obecna, bo się sprzedaje albo ludzie uznają, że się sprzedaje. Jeśli filmowcy robią filmy, w których jest mnóstwo wulgarnego języka i przemocy, to może nie zawsze dlatego, że to się sprzeda. Ale dlatego, iż panuje przekonanie, stworzył się taki model, który ludzie kochają, nawet jeśli w rzeczywistości on ich drażni. I to jest mechanizm samonapędzający się, także w widowiskach naśladujących sport. Nie trzeba opanować jakiejś sztuki, mieć autentycznych sportowych osiągnięć, wulgarne widowisko w pewnym stopniu je zastępuje. Tworzy się w ten sposób rytuał, który się powiela.

▶ Spróbujmy spojrzeć na to od innej strony, skoro mówił Pan o dziesięcioleciach wulgaryzacji. A może to było tak, że przyczyniło się do niej to, jakie były elity PRL i III RP? Gdy w PRL robotnicy chodzili w końcówce lat 80. na mecze piłkarskie, stało się to dla nich okazją do wyśmiewania władzy, czego nie mogli robić gdzie indziej. W III RP zwykli ludzie postrzegali elity, nie dzieląc ich dość długo na lewicowe i prawicowe, jako cynicznych karierowiczów. Zakłamanych, obłudnych, nieszczerych, a pragnących nas wychowywać. Jak ktoś na nie przeklinał, znaczyło, że się nie boi tych oszustów, jest swój chłop. Właśnie dlatego, że nie głosi żadnego politycznego programu, bo głoszenie programów służy oszustom.

Ale w rzeczywistości „strajk kobiet” głosi program – religia won, rodzina won, aborcja na życzenie. A wulgaryzm jest dla niego narzędziem, a także, jak się okazało, sposobem bycia owych schamiałych rewolucjonistek. Gdy za rządów PO odbywały się protesty, były jednak nieporównywalnie mniej wulgarne. Prawica rzadziej sięga po to narzędzie, a poza wszystkim Tuska tą metodą nie da się zranić, bo nie reprezentuje on, choćby przez hipokryzję, jakichś wyższych ideałów, które prawicowy barbarzyńca mógłby chcieć zdegradować.

▶ Szczytem wulgarności miało być hasło „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”. Przy obecnych protestach to szczyt savoir vivre'u.

eprasa.pl a536663907

Tuska i jego współpracowników – powtórzę – nie da się ta metodą zranić, bo dla nich nie ma, wyłączywszy może sprawy prywatne, świętości, których sprofanowanie mogłoby ich zaboleć. To samo dotyczy Kwaśniewskiego, który swoim pijaństwem profanował groby katyńskie, czy Millera z jego moskiewską pożyczką.

▶ Tusk przyjmował Martę Lempart w Brukseli i po prostu czuje się, że on ma z tymi ludźmi szczególną nić porozumienia, wręcz pokrewieństwo. I jak się zastanowić, to jest to logiczne. Bo z Tuskiem jest trochę jak ze „strajkiem kobiet". On wzdraga się przed ogłaszaniem jakiegokolwiek programu, bo wśród jego prawdziwych celów, od czasów KLD, nie ma żadnego nadającego się na sztandary. My je widzieliśmy, gdy rządziła PO. Dlatego pozostaje mu mówienie, że PiS to zło. I bluzg fanów.

Tusk jest człowiekiem, który rozpętał wojnę polsko-polską wyłącznie z powodów cynicznych. Dla niego takie „wojska", które kierują się odruchem nienawiści, chcą przeciwników upokorzyć, zbluzgać, to jest armia wymarzona. Cała reszta przestaje się wtedy liczyć, w tym potrzeba posiadania jakiegokolwiek programu pozytywnego, związanego z losem Polaków.

▶ Ta atmosfera bluzgu sprzyja zanikowi znaczenia wiedzy o ludziach. Rozmawiałem niedawno z pewnym anarchistą, który opowiadał mi, że Marta Lempart w środowisku, które dziś ma porywać, na anarchistycznych skłotach traktowana była zawsze jako niewiarygodna i nic niemająca do powiedzenia. I zabawny przykład z drugiej strony: Adam Borowski, dawny długowłosy buntownik i bohater opozycji, który po próbach rozmowy z Julkami żartobliwie stwierdził, że dotąd znał środowiska, w których słowo na „k" było przerywnikiem. Natomiast u Julek były niemal wyłącznie słowa na „k", a przerywnikiem było słowo „stary".

(Śmiech) Bo w takich sytuacjach nie ma możliwości nie tylko rozmowy, lecz także wysłania jakiegokolwiek koherentnego sygnału treściowego. Nie widzi się ludzi, widzi się tylko wrzeszczące gęby. Nawet płci się nie odróżnia, gdy chodzi o sposób wypowiedzi. Komuś, kto w tym nie uczestniczy, niesłychanie pojąć, że coś takiego jest w ogóle możliwe. To jest jeden z elementów degradacji przestrzeni publicznej. Niedobre jest to, że w tej degradacji biorą udział już nie jakieś marginalne grupy, ale czynnie lub biernie niemal połowa Polski, ludzi ze wszystkich warstw społecznych. Ogromna część elit na nią przystaje, a nawet ją usprawiedliwia. Przypominam wynurzenia różnych akademików, że wrzaski „wy...ć" nie mają w sobie niczego obraźliwego, lecz są głosem w debacie publicznej.

▶ To chyba trochę paradoks, że PO i PSL traciły władzę po taśmach z lokalu „Sowa i przyjaciele", na których padały liczne wulgaryzmy ukazujące cynizm władzy. A teraz miałoby to wrócić, znowu posługując się wulgaryzmem, tyle że już nie zakulisowym.

Wielu ludzi używa wulgaryzmów, jedni częściej, drudzy rzadziej. Niemała część ich nie używa w ogóle. Ale jeśli mówimy, że są dwie Polski, to u jednej wulgaryzmy się zdarzają, a u drugiej okazały się podstawowym składnikiem tożsamości.

▶ W czasie „strajku kobiet" pod kościołami zaczęli się gromadzić ci, którzy przeciwstawiali się atakom na nie. Kolega, artysta, rzeźbiarz, który był pod poznańską katedrą, powiedział mi, że jej obrońcy na początku czuli się bardzo niepewnie, ale ta niepewność zniknęła jak ręką odjął, gdy pojawili się kibice Lecha Poznań, zachowujący się bardzo spokojnie, kulturalnie, ale zdecydowanie.

To jest bardzo interesująca i krzepiąca uwaga. Sytuacja, w której lud przegania tych, którzy niszczą jego wartości i tradycje. Przegania chamów, którzy mają się za arystokratów.

▶ Antyklerykalizm z początku lat 90., gdy popularny był tygodnik Urbana, odwrócił się, gdy mieliśmy z jednej strony kontestację rządów postkomuny, z drugiej ważne pielgrzymki Jana Pawła II z lat 1997 i 1999. A potem „Gazeta Wyborcza" już widziała Janusza Palikota w roli lidera zwycięskiej rewolucji. Tyle że on później nie wszedł do Sejmu. Czyli w naszej kulturze, wynikającej choćby z literatury, tkwi potencjał odwracania skutków wulgarnych rewolucji. Inaczej niż w niektórych państwach Zachodu, gdzie laicyzacja postępuje lawinowo.

Z jednej strony jest ten potencjał i ta siła. Ale z drugiej zbyt wielu Polaków ma duszę owego Podczaszyca z Księgi I „Pana Tadeusza", który się zmieniał wraz z modami we Francji. A wulgarność ciągle jest modna w całym świecie zachodnim. Mam obawy, że ta fala u nas nadal wzbiera, a każda kolejna ma większą moc niszczycielską. Ale zgadzam się, że nic nie jest rozstrzygnięte i tylko od nas zależy, jak skorzystamy z tego potencjału. Bo on rzeczywiście jeszcze jest. ■

eprasa.pl a536663907

Marcin Wolski

GWAŁT NA JĘZYKU

Co się dzieje z językiem polskim!? – można zakrzyknąć, rozdzierając szaty jak prorok. Są chwile, kiedy wydaje się, że szlachetna mowa Kochanowskiego, Mickiewicza czy Tuwima sięgnęła nie już tyle bruku, ile kloaki. Plugawy język opozycji nie bierze się znikąd, a demonstranci na ulicach to nie menele ze slamsów czy bandziory z Wołomina, lecz przedstawiciele „elyty", nierzadko z tytułami naukowymi.

Co się więc stało? Myślę, że powodów jest wiele – przede wszystkim totalne schamienie, które przyszło do nas z Armią Czerwoną i niestety już nie wyszło. „Nowy człowiek" – nie tyle produkt, co spad z laboratorium inżynierów dusz – okazał się tworem osobliwym – musiał mieć mocne łokcie, odpowiednie nogi – potrzebował chodów, giętki kręgosłup, a jednocześnie być swojakiem, używającym wulgaryzmów zamiast znaków przystankowych. Przy okazji to różniło go do funkcjonariuszy reżimu, którzy publicznie przekleństw nie używali. Ba cenzura nie pozwalała na wypowiadanie ich w radio czy w filmie.

I to twórcy powetowali sobie, gdy nastała wolność. Osobiście otwarciem szamba stał się dla mnie „Dzień świra", w jego zajawce usłyszałem więcej wulgaryzmów niż na bazarze przez cały PRL. To spowodowało, że nigdy tego filmu nie obejrzę. Ale przyszły inne. Rynsztokowy język wylewa się z produkcji amerykańskich, przy czym przekład to jeszcze zaostrza. Główny efekt – to przygaśnięcie zachwytu Zachodem i jego wzorcami. Zaczęło się od prostackiego przechodzenia na „ty" (Urbański, nigdy tego nie daruję!), tym bardziej że to, co w angielskim oznacza „you", nie przesądza relacji międzyludzkich. U nas nie przechodzi się na „wy", tylko od razu na „ty ch...u!". Kaleczenie języka zresztą trwa i nikt nie próbuje go bronić. Ginie szlachetny wołacz. Gdy słyszę na przykład w reklamie: „Marian, słyszałeś o tej nowej ofercie?!", nóż mi się w kieszeni otwiera. Czy nikt nie wie, że kiedy mówimy do kogoś, używamy formy – Marianie, Marcinku, Marysiu? A panna Capuletti, słysząc przez okno „Julia!", od razu wiedziałaby, że to nie zakochany Romeo, ale jakiś menel z sąsiedztwa.

Przy okazji umiera ta wspaniała adaptacyjna zdolność polszczyzny przerabiająca obce słowa na swojskie, przyjazne i oczywiście odmienialne. A tu hasło „nowe zakupy w Ikea" kaleczy uszy podobnie jak epatowanie na każdym kroku angielskim żargonem, mimo że istnieją zamienniki polskie.

Ale wróćmy do sparszywiałego języka polityki, swojskiego chamstwa, pozorów demokracji i zachodnich wzorców. Warto przypomnieć, że tzw. polityczna poprawność pojawiła się w USA w społeczeństwie bez szlacheckich tradycji. U nas zawsze wystarczała osobista kultura, czyli savoir vivre wykształcony przez kindersztubę. Pamiętam czas, kiedy nawet cham znalazłszy się w salonie, wstydził się własnego chamstwa i używał, gdy musiał, nie łacińskiej nazwy „krzywa", tylko zamienników w rodzaju „kurde" czy „kurka wodna!". Ale to oczywiście przeszłość. Dziś lepiej niż knajacy klną dziewczynki z dobrych domów. Przy okazji obserwując nieustającą eskalację w poziomie ogólnego schamienia w polityce, warto zauważać kolejne kamienie milowe na niej – Urban, Palikot. Liderki „strajku kobiet"...

> Czy jesteśmy na drodze zamiany wspólnoty ludzi kulturalnych w hordę jaskiniowców?

W dodatku media wymagają, żeby coś się działo, i od wyważonej „gadającej głowy" dużo lepiej sprzedaje się „wrzeszcząca morda" i co gorsza trend taki nie dotyczy tylko byłych proletariuszy jak Wałęsa czy Frasyniuk, lecz udziela się osobom z dyplomami uniwersyteckimi czy tytułami profesorskimi. W PRL słowo „wypier....ć" owszem, pasowało do Himilsbacha, i to w anegdocie o tym, jak to pewnego dnia wkroczył do SPATIF-u, wołając „Inteligenci, wypier...ć!". Na co znany z poczucia humoru Gustaw Holoubek zwrócił się do otaczającej go śmietanki: „Nie wiem jak panowie, ale ja wypier...m!".

Pozostaje pytanie: co dalej? Czy jesteśmy na drodze zamiany wspólnoty ludzi kulturalnych w hordę jaskiniowców? Nie wiem, spróbuję sprawdzić w Wikipedii, a jak coś wyczaję, prześlę wam SMS-em, kurde flak! ■

eprasa.pl a536663907



Piotr Grochmalski

Tuska strategia nienawiści

Dziś widać, że Donald Tusk odegrał kluczową rolę w wykreowaniu języka nienawiści, strachu i stygmatyzacji całych grup społecznych. Uderzył w język jako narodowe spoiwo i katolicyzm jako fundament tożsamości narodowej.

eprasa.pl a5366



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/GAZETA POLSKA. ADOBE STOCK (3)

Od momentu odzyskania przez Polskę niepodległości nigdy nie pojawił się polityk w RP, który otwarcie dążyłby do utraty niepodległości. Donald Tusk, pod hasłem polexitu wymyślonym przez Berlin, wyprowadził ludzi na ulice Warszawy. Zebrał ich w miejscu podwójnie symbolicznym – na placu Zamkowym, obok miejsca, gdzie powstała Konstytucja 3 maja i w momencie, gdy w bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela odbywała się msza w intencji ofiar Smoleńska. Wybór przez Tuska miejsca i czasu – 10 października 2021 roku – pokazuje istotę aktywności tego człowieka: uderzaj tak, aby masakrować fundamenty narodowej aksjologii. Bo Smoleńsk to grób niemal wszystkich środowisk Polaków. Winien łączyć w pamięci i mobilizować wobec zagrożeń. To Katyń XXI wieku. Tylko człowiek, który utracił świadomość swej tożsamości wobec ojczyzny, może z premedytacją zorganizować manifestacje, które miały przygotować grunt Berlinowi do ataku na polską suwerenność. Został też publicznie doceniony przez Niemców za ten czyn.

Kupczenie suwerennością

Manfred Weber, lider frakcji Europejskiej Partii Ludowej, chwalił Tuska, że wyprowadził „prawdziwych Polaków, a nie nacjonalistów" na ulice, by obalić polski rząd i zdestabilizować Polskę. Weber dał też czytelny znak, że to Berlin decyduje, kto jest „prawdziwym Polakiem" i kto może rządzić w Warszawie. Także wiceszefowa Parlamentu Europejskiego, Katarina Barley – ta od strategii „zagłodzenia finansowo" Polski i Węgier – pochwaliła operację Tuska. Zdumiewa ta bezczelnie otwarta protekcja Berlina dla lidera PO. Nagle te wydarzenia łączą się w jedno i pozwalają zrozumieć polityczną drogę Tuska. Dziś widać, że kluczową rolę odegrał w wykreowaniu języka nienawiści, strachu i stygmatyzacji całych grup społecznych. Uderzył w język jako narodowe spoiwo i katolicyzm jako fundament tożsamości narodowej. Nic bardziej nie odkrywa tej prawdy, jak zestawienie ze sobą owych dwóch narracji – tej, którą wykrzyczał Donad Tusk na placu Zamkowym, i tę, która wybrzmiała podczas mszy w katedrze. To jest miejsce, gdzie twórcy Konstytucji 3 maja, po jej przyjęciu, w 1791 roku uczestniczyli we mszy za odrodzenie Rzeczypospolitej. Tu też przybył prezydent Lech Kaczyński w 2005 roku, tuż po swoim zaprzysiężeniu w Sejmie, na mszę w intencji ojczyzny. Tu też, w tle krzyków Tuska, 10 października zabrzmiały słowa ks. prałata Bogdana Bartołda: „Nienawiścią nie obronimy naszej ojczyzny, a musimy jej przecież bronić. Brońmy ją więc miłością – najpierw między

epfasa.pl a36663907

sobą, aby nie podnosić ręki przeciw nikomu w ojczyźnie, w której ongiś bili nas najeźdźcy. Nie możemy ich naśladować". Ksiądz Bartołd na chwilę cofnął czas do tego kwietnia 2010 roku: „Ulica Krakowskie Przedmieście, plac Zamkowy [...] miała na imię Polska, bo to wtedy była nasza ojczyzna, która płakała, cierpiała, która się modliła. Jeden z harcerzy, trzymając straż przy krzyżu, który potem zaczął niektórym bardzo przeszkadzać i który stał się obiektem szyderstw i pośmiewiska, a także urągania, rzekł do jednego z kapłanów: »Może ci, którzy zginęli pod Smoleńskiem, po to zamknęli oczy, abyśmy my oczy otworzyli«" – powiedział. Z mocą podkreślił, że Polacy są otwarci na współpracę z innymi, ale – jak podkreślił – „na współpracę, a nie na uzależnienie". Bo też zadaniem wielkim jest przezwyciężenie owej nienawiści, którą wtopił w język polski Donald Tusk. Narodowy dramat, zamiast nas mocniej scalić, został wykorzystany jako narzędzie do społecznej destrukcji.

Władysław Konopczyński, autor pierwszej polskiej monografii poświęconej pierwszemu rozbiorowi Polski, stwierdza „Rzecz jednak godna uwagi: trzej rozbiorcy wcześniej uświadomili sobie chęć zniszczenia polskości, niż swoje powołanie wobec narodowości niemieckiej czy rosyjskiej". Pod datą 2 listopada 1939 roku Joseph Goebbels napisał w swoim pamiętniku: „[...] przejazd do Warszawy przez pola bitew, całkowicie zniszczone wsie i miasta. Obraz spustoszenia. Warszawa: to jest piekło... Żaden dom nie ostał się w całości. Ludność jest apatyczna i podobna do cieni. Niczym robactwo pełza po ulicach, jest obrzydliwie... Na cytadeli. Wszystko jest tutaj zniszczone... Tu polski nacjonalizm przeżył swój czas cierpienia. Musimy go całkowicie wytępić, bo inaczej któregoś dnia znowu się podniesie... Wizyta w pałacu Belwederskim. Tu polski marszałek [Piłsudski] żył i pracował. Jego pokój i łoże, w którym zmarł. Tu można pojąć, co się ma do stracenia, gdy polska inteligencja dostanie możliwość rozwinięcia skrzydeł". Ktoś, kto przemawia w centrum Warszawy, największego na świecie żywego cmentarza, i używa prymitywnych kłamstw, aby skłonić „prawdziwych Polaków, a nie nacjonalistów" do kupczenia suwerennością, nie rozumie Polski i Polaków.

▶ Pomazaniec Berlina

Donald Tusk wysłany jest do Polski w momencie, gdy Berlin i Moskwa uzyskują akceptację Bidena do zakończenia Nord Stream 2. Triumfują z finalizacji gazowej osi. Narasta też białorusko-rosyjska operacja hybrydowa z wykorzystaniem imigrantów na wschodniej granicy NATO. Premier Czech, Andrej Babiš, uwikłany w aferę z funduszami unijnymi, za cenę zamrożenia sprawy, rozpoczyna eskalować z Polską konflikt dotyczący kopalni Turów. W Afganistanie dramatycznie pogarsza się sytuacja, która eksploduje wydarzeniami, jakie obejmą cały świat. W obliczu upadku 17 sierpnia Kabulu, RP zaangażowana jest w stworzenie powietrznego mostu, aby uratować setki ludzi. Dramatyczne wyjście NATO z Afganistanu to wizerunkowy cios w Traktat, symbol bezpieczeństwa Zachodu. Wykorzystuje to Rosja, naciskając na Białoruś, aby zradykalizowała hybrydową wojnę z Polską. Putin wysyła też czytelny sygnał do Ukrainy i świata – 12 lipca publikuje list, jego „Mein Kampf", który jest skrajnie agresywny wobec Kijowa i Warszawy, i zapowiada dalszą ekspansję Kremla. W tle trwają w Rosji i na Białorusi, przy granicy z Polską, przygotowania do manewrów Zapad 2021 – największych w Europie od zakończenia II wojny światowej. Scenerii dopełnia narastająca fala agresywnych artykułów w niemieckiej prasie. Sygnał do boju daje były organ wschodnioniemieckich komunistów, „Berliner Zeitung", który już 2 listopada 2020 roku ogłasza, iż „Berlin staje się ostoją polskiego ruchu oporu". Pismo to, zasłużone w czasach NRD w rozwoju niemieckiego komunizmu, informowało, że „stolica Niemiec stała się ośrodkiem dla tych wszystkich Polaków, którzy nie czują się już bezpiecznie w swoim kraju". Tusk pojawia się w Warszawie i z marszu przejmuje kierowanie PO. Jest niemieckim pomazańcem. Sprawa jest czytelna.

12 lipca Donald Tusk w Gdańsku rozpoczyna totalną wojnę z państwem. Staje na czele totalnej nienawiści. W mieście, gdzie prof. Rudolf Spanner z ciał zamordowanych Polaków wyrabiał mydło, chce rozpalić namiętności i dokonać dehumanizacji innych. Nienawiść jednych ma odebrać człowieczeństwo innym. Po raz kolejny ściana nienawiści ma zasłonić cel główny operacji – atak na państwo polskie, wybudowanie muru nienawiści między Polakami: „Nie możemy się przyzwyczajać do zła, nie można więc nie krzyczeć po tym, gdy pisowskie państwo pokazuje swoją najbardziej odrażającą twarz". Wykrzykiwał z pasją moralnego autorytetu, zagrzewając do totalnej konfrontacji: „To zło, które czyni PiS, jest ewidentne, bezwstydne i permanentne". Ze złem się nie dyskutuje i nie prowadzi negocjacji. Trzeba je zniszczyć. W momencie, gdy po raz pierwszy od rozpadu Związku Sowieckiego nasza granica wschodnia z Białorusią stała się elementem wielkiej operacji Mińska i Moskwy, Tusk przybywa, aby po raz kolejny, w istotnym momencie, osłabić struktury polskiego państwa. Jest urzędującym szefem Europejskiej Partii Ludowej – to dzięki Merkel.

eprasa.pl a536663907

Od trzydziestu lat Tusk toczy wojnę z państwem polskim. Na II Kongresie Kaszubskim w Gdańsku w czerwcu 1992 roku wystąpił ze strategią regionalizacji Polski – rozbicia jej na landy. Mówił: „Pomorska idea regionalna powoli przestaje być marzeniem, utopią zapatrzonych w przeszłość, rajem utraconym. Staje się politycznym zadaniem dla nas wszystkich, którego realizacja wymaga determinacji, organizacji, siły". Pięć lat wcześniej, pod koniec konania PRL-u, otwarcie przyznał: „Polskość to nienormalność – takie skojarzenie nasuwa mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu... Piękniejsza od Polski jest ucieczka od Polski – tej ziemi konkretnej, przegranej, brudnej i biednej. I dlatego tak często nas ogłupia, zaślepia, prowadzi w krainę mitu. Sama jest mitem". Bo Tusk to europejskość, a potem kaszubskość. Na przystanku „Polska" zatrzymuje się, gdy pojawia się potrzeba chwili i osobisty interes. Tusk doskonale rozumie, że dla RP Gdańsk ma ogromne znaczenie geopolityczne, a dla Berlina jest jednym z kluczy do spacyfikowania obszaru Trójmorza. To w tym czasie, na początku lat 90. XX wieku, pojawia się też koncepcja w Wielkopolsce stworzenia euroregionu Berlin –Szczecin–Poznań–Wrocław, który miał rozsadzić wewnętrzną spójność Polski. Wystąpienie Tuska zostało ciepło przyjęte w Konsulacie Generalnym w Gdańsku. Historyczna pętla się zamyka. Dziś cel nowej misji Tuska jest czytelny – odebrać Polakom suwerenność.

Po 103 latach od ostatniego rozbioru mamy wyrzec się swojej państwowości. Pod pozorem, że nie da się jej pogodzić z naszą obecnością w Unii Europejskiej. Tusk stworzył gigantyczne oszustwo. Wmawia Polakom, że Niemcy mogą zachować swoją państwowość, bo są narodem europejskim. A zachowanie naszej państwowości oznacza opuszczenie przez nas Unii. Po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, którego istota sprowadza się do konkluzji, że nadal jesteśmy suwerennym narodem, Tusk wyprowadził ludzi na ulice pod hasłem, że oznacza to polexit. Premier Mateusz Morawiecki, przemawiając 14 października w Sejmie RP, dobitnie stwierdził: „tak długo jak PiS będzie u steru rządu, my nie pozwolimy na kupczenie polską suwerennością". Dodał: „Myślę, że należy powiedzieć coś więcej: polexit to nie jest zwykły fake news. Polexit to jest wasze ordynarne kłamstwo".

▶ Język nienawiści

Przez dziesięciolecia po 1989 roku niemieckie media w Polsce przeobrażały język politycznego dyskursu. Zamazywano elementarne pojęcia zakotwiczone w naszej tożsamości narodowej. Dwa pokolenia Polaków wychowały się w sytuacji, w której jako naród straciliśmy suwerenność informacyjną. Zasadniczy proces komasacji kapitału niemieckiego w przestrzeni publicznej RP zakończył się przed naszym wejściem do Unii Europejskiej. Potem następowało jedynie domykanie niemieckiego projektu. Przez bez mała 25 lat, a więc dłużej niż istniała II RP, niemieckie media w Polsce w sposób istotny wpływały na polską kulturę i polski język. Starały się zmieniać nasz sposób myślenia i postrzegania świata i naszej historii. Kto przejmuje język narodu, ten kształtuje charakter Polaków i ich wizję państwa. W Polsce tajemnicą poliszynela była dyspozycyjność niemieckich mediów w Polsce wobec instrukcji z Berlina. Tusk doskonale to rozumiał. Do wyborów w 2005 roku PiS i PO szli jako przyszła koalicja Po-PiS-u. Do końca sondaże wskazywały podwójne zwycięstwo PO. Po podwójnej porażce Tusk doznał szoku. Radykalnie przebudował on dalszą strategię. To wówczas tak naprawdę wymyślił koncepcję totalnej wojny na wyniszczenie z PiS-em. Dostał potężne wsparcie od niemieckich mediów w Polsce (dla Berlina był gwarancją, że do władzy powróci układ kompradorski). W trakcie kampanii wyborczej, jesienią 2007 roku, Radosław Sikorski zapowiedział „jeszcze jedna bitwa, jeszcze dorżniemy watahę, wygramy tę batalię". Po zwycięstwie PO, Tusk ogłasza, że jest „najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi... Zrobimy wielkie rzeczy, bo wierzymy dzisiaj, że to miłość, a nie władza jest najważniejsza w życiu".

A potem, przy wsparciu niemieckich mediów w Polsce, rozpoczyna kampanię agresji wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jej skala jest porażająca. Jak zauważa Piotr Semka: „Tusk zdaje sobie dosko-

Od ostatniego rozbioru Polski, czyli od 1795 roku, nie było w Polsce polityka bardziej proniemieckiego od Donalda Tuska. Miał być też on wzorcowym przykładem kariery, którą zrobi każdy, kto z uwagą wsłuchuje się w głos płynący z Berlina.

eprasa.pl a536663907

nale sprawę, że może prowokować konflikty, bo większość mediów opowiada o nich, umieszczając go w roli »good guy« – dobrego faceta". Stworzył w swoim otoczeniu grupę specjalistów od czarnej propagandy. Henri Tajfel, brytyjski psycholog społeczny polskiego pochodzenia, wskazał, jak można stworzyć skuteczne mechanizmy kreowania antagonizmów w społeczeństwie i jak prowadzić do dehumanizowania członków innej społeczności. Ekipa Tuska coraz sprawniej wykorzystuje te metody. Ogniskowane są głównie na prezydencie Kaczyńskim, ale medialna agresja obejmuje tysiące osób. Apogeum dehumanizacji prezydenta Kaczyńskiego stała się wojna o samolot i krzesło na szczycie UE w Brukseli. W październiku 2008 roku Tusk dał jasny przekaz do mediów: „Powiem brutalnie. Na tym szczycie nie potrzebuję pana prezydenta". Piotr Semka tak opisuje to wydarzenie „Wpierw 14 października 2008 roku doszło do aktu politycznego chuligaństwa, jakiego nie było przedtem mimo bogatej historii afrontów wobec prezydenta. Szef Kancelarii Premiera Tomasz Arabski poinformował prezydenta, że nie dostanie rządowego Tu-154, bo »wyjazd pana prezydenta byłby prywatny i nie ma go w składzie delegacji«. Prezydent poleciał wyczarterowanym samolotem. Następnego dnia już w Brukseli premier odgrażał się, że jeśli prezydent wejdzie na salę obrad, to ani minister finansów Jan Rostowski, ani szef MSZ Radosław Sikorski nie ustąpią mu miejsca. Ostatecznie do skandalu nie doszło i ministrowie się usunęli".

W 2010 roku strona rosyjska zaproponowała Tuskowi rozdzielenie wizyty prezydenta od premiera w Katyniu. Gdy doszło do katastrofy, czy choć przez chwilę uświadomił sobie, że jego próżność została wykorzystana do gry przeciw RP? Jak łatwo można rozgrywać Tuska, pokazali Rosjanie w ciągu pierwszej doby narodowego dramatu. Jarosław Kaczyński i jego współpracownicy dotarli do Witebska na Białorusi wyczarterowanym samolotem. Tam przesiedli się do autokaru. Do miejsca katastrofy mieli 117 kilometrów. Po wjechaniu na teren Rosji, jak wspominał świadek tych wydarzeń, Maks Kraczkowski: „Nie wiedzieć czemu jechaliśmy 20–30 km/h, mieliśmy kilkudziesięciominutowe postoje. W międzyczasie okazało się, że przyczyną tego spowalniania naszej wyprawy jest oczekiwanie na przejazd limuzyn wiozących premiera Donalda Tuska". Podkreśla: „Nikt z nas wtedy jadących kilka godzin po katastrofie nie przypuszczał, że ze względów tylko na wizerunkową politykę pana Donalda Tuska będziemy musieli stać na poboczu drogi, czekając, aż przejedzie. W momencie, kiedy minęła nas limuzyna, pozwolono nam ruszyć" – wspominał Kraczkowski. Joachim Brudziński mówił: „Premier ściskał się z Putinem pod namiotem i w świetle kamer pokazywał swoją rozpacz i swój ból, a parę metrów dalej na błocie, na zwykłej czarnej folii zostawił ciało prezydenta w ruskiej trumnie". To wówczas zdjęcie uchwyciło uśmiech Tuska, gdy przybijał piątki z Putinem. „Cały czas siedzi w nim ta porażka z wyborów prezydenckich, gdy przegrał z Lechem Kaczyńskim. Donald źle znosi porażki, nikt nie lubi przegrywać, ale na nim odcisnęło to naprawdę duże piętno. Bardzo to przeżył: – mówił Jerzy Borowczak, który w czasie wyborów prezydenckich w 2005 roku był w gdańskim sztabie Donalda Tuska.

▶ Niemieckie wsparcie dla Tuska

We wszystkich kluczowych momentach swojej politycznej kariery Tusk otrzymywał totalne wsparcie od niemieckich mediów. Jeszcze w 2016 roku władze RFN spotkały się z przedstawicielami tamtejszych mediów, aby wyrazić zainteresowanie ukazywaniem Polski jako „dzikiego Wschodu", a rządów PiS-u jako tych, które demontują państwo prawa. Według instrukcji należało alarmować, iż zagraża to bezpieczeństwu całej Unii. Dlatego dobrzy Niemcy martwią się o przyszłość Polaków. Wkrótce także niemieckie media w Polsce zaczęły realizować ten scenariusz, którego elementem była próba obalenia rządu polskiego podczas puczu 16 grudnia 2016 roku. Opozycja siłą zaczęła wówczas blokować pracę Sejmu, aby nie dopuścić do przyjęcia budżetu. W polskich realiach konstytucyjnych oznaczało to w praktyce obalenie rządu. Tusk, urzędujący wówczas przewodniczący Rady Europejskiej, dzień później, 17 grudnia 2016 roku, przybył do Wrocławia, aby wesprzeć próbę obalenia konstytucyjnych władz RP. Mówił wówczas: „Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając też w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, o respekt i szacunek wobec ludzi, wobec zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów. A tym wszystkim, którzy gotowi są, pokazują to od wielu miesięcy, trwać przy europejskich standardach demokracji tu, w Polsce, chciałbym serdecznie podziękować i wyrazić najwyższe uznanie. Jesteście dziś najlepszymi strażnikami polskiej reputacji w Europie i na świecie".

W marcu 2017 roku została ujawniona wewnętrzna instrukcja prezesa Ringier Axel Springer Polska, Marka Dekana, do polskich dziennikarzy tego koncernu. Pisał, iż „UE nauczyła się, że o jedność nie warto zabiegać za wszelką cenę. To bardzo cenna lekcja na przyszłość, która z pewnością przyspieszy

eprasa.pl a536663907

wdrażanie koncepcji UE różnych prędkości. Ta ostatnia z lekcji ma kluczowe znaczenie dla Polski. W nadchodzącym czasie na autostradzie unijnej integracji pojawia się nie tylko pas szybkiego i wolnego ruchu, ale też parking. I to jest właśnie moment, gdy do gry włączają się wolne media, takie jak my. Nigdy nie zapominajmy o podstawowych wartościach, jakie reprezentujemy: opowiadamy się za wolnością, rządami prawa, demokracją i ZJEDNOCZONĄ EUROPĄ". Dawał im jasną instrukcję, jak mają pisać: „Podpowiedzmy im [czytelnikom], co zrobić, żeby pozostać na pasie szybkiego ruchu i nie skończyć na parkingu". Rok później polskie media ujawniły treść rozmowy Waldemara Pawlaka i milionera Michała Sołowowa, nagranej w jednej z restauracji. Pawlak miał powiedzieć: „Niemcy sobie kupili – przez inwestycję w Axel Springer – »Fakt«, »Newsweek«, Onet. To są przykłady, gdzie ja mogę jednak powiedzieć, że na Tuska większy wpływ ma artykuł w »Fakcie« niż opinia Konfederacji Pracodawców czy Komisji Trójstronnej" – stwierdził Waldemar Pawlak. Od wielu lat we Wrocławiu odbywają się Kongresy Regionów, których głównym organizatorem jest Ringier Axel Springer, a oprawę prasową i propagandową zapewniają m.in. Onet i „Newsweek". W 2019 roku, tuż przed tym wydarzeniem, w którym wzięli udział m.in. prezydenci Warszawy, Łodzi, Wrocławia, Poznania, Gdańska, Gdyni, Sopotu, środowisko związane z Platformą Obywatelską ogłosiło w Gdańsku projekt groźny dla integralności Polski. Chodziło o stworzenie, w oparciu o przyczółki PO, wspierane przez niemieckie koncerny prasowe, samodzielnych podmiotów politycznych, które zatomizowałyby i rozbiły od środka polskie państwo.

„Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec"

Od ostatniego rozbioru Polski, czyli od 1795 roku, nie było w Polsce polityka bardziej proniemieckiego od Donalda Tuska. Miał być też on wzorcowym przykładem kariery, którą zrobi każdy, kto z uwagą wsłuchuje się w głos płynący z Berlina. Tuż przed głosowaniem na drugą połowę kadencji jako przewodniczącego Rady Europejskiej, Angela Merkel w niemieckim parlamencie zachwalała izbie, która poczuwa się do realizacji niemieckiej racji stanu, że Tusk zostanie wybrany. Niemieckie media („Die-Welt" – flagowy tytuł koncernu Axel Springer na rynku prasy opiniotwórczej) ogłosiły wówczas, iż Tusk „Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec". Ten klucz do zrozumienia istoty jego polityki, bez niedopowiedzeń, przedstawiają nam sami Niemcy. Co ciekawe – ta oczywista nielojalność wobec współrodaków – ta zdrada ich interesów – nie wywołała żadnej refleksji. Tusk nie prostował, a niemieckie media nie obawiały się, iż to skompromituje polityka. Sytuacja odwrotna jest nie do przyjęcia – na przykład Merkel jest Niemką, ale realizuje interesy Polski. W kulminacyjnym momencie, gdy chodzi o przyszłość UE i Polski, mamy jak na tacy ujawnione, które siły polityczne „są polskie, ale grają w niemieckiej drużynie". To efekt ponad dwudziestu lat, w których funkcjonowaliśmy pozbawieni suwerenności informacyjnej – gdy rynek medialny zdominowany był przez niemiecki kapitał.

W grudniu 2020 roku, tuż przed kluczowymi rozmowami dotyczącymi unijnego budżetu, „Newsweek" koncernu Ringier Axel Springer Polska, opublikował wywiad z Tuskiem. Aby go odczytać, trzeba wykorzystać ów klucz zaproponowany przez niemiecki „Die-Welt" – „Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec". Donald Tusk, nawołując do przejęcia władzy w wyniku ulicznego przewrotu, powiedział, iż „W takich chwilach człowiek sobie uświadamia, jak bardzo kocha Polskę. Czasami to też nie ułatwia mi pracy tej międzynarodowej, europejskiej, bo jestem obsesyjnie owładnięty tym, co się dzieje w Polsce. Nawet sny mam polityczne. Ale nie pytajcie o szczegóły". Co wywiad mówi o Tusku? Aż 48 razy pojawia się w nim, w różnych kontekstach – Unia, Europa i Zachód. Polska pojawia się zdecydowanie rzadziej – 31 razy. O PiS wspomina 18 razy, o Kaczyńskim – 5, o Rosji – 7, o USA – 3, o Białorusi – 4, Ukrainie – 2, Wielkiej Brytanii – 4, o Cameronie – 6. Wielkim nieobecnym są Niemcy i Merkel. W długim wywiadzie (od 12. strony do 17.) ani razu nie pada żadne słowo, które – choćby pośrednio – odnosiłoby się do najsilniejszego państwa w Unii. Diagnoza jest oczywista – Tusk „Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec". Tak bardzo kontroluje przekaz, tak jest wyczulony, aby nie pojawił się choćby cień podejrzenia o niemiecki kontekst wywiadu, że popada w skrajny absurd. Ale przez to ujawnia prosty klucz do odczytania tego tekstu – jest pisany z pozycji niemieckich interesów, niemieckiej racji stanu. Ukazuje, jak Niemcy i niemiecka polityka chciałaby widzieć Polskę.

Tekst odsłania też jego przyszłą strategię, gdy w końcu zostanie wysłany do Polski. Proponuje obalenie rządu przez ulicę (milczy o zagranicy). Dlaczego? Bo „mamy ekipę, która do niczego się nie nadaje". Bo PiS prezentuje „manifest kłamstwa i zła", a rządy PiS „to jest zło". To „zło" jest „Bezdyskusyjne i z fatalnymi skutkami dla Polski w bardzo różnych wymiarach". Mamy też „moralne bankructwo hierarchii" – a więc frontalny atak na Kościół katolicki i na polską tradycję. Ale równocześnie odkrywa, iż to, co się działo na

eprasa.pl a536663907

polskich ulicach pod koniec 2020 roku, to „było obecne chrześcijańskie podejście do człowieka, chrześcijański duch w liberalnej polityce, co tak bardzo cenię". To jest klasyczny język Tuska – dostosowany do jego poziomu zrozumienia, czym jest polityka. Tuska trzeba tłumaczyć z niemieckiego na polski – przykład „Ale mimo bardzo twardego języka protestujący opowiadają się przeciw nienawiści i pogardzie, jednoznacznie za godnością, wolnością i uczciwością". Innymi słowy – mimo jednoznacznej nienawiści i pogardy do drugiego (co jest chrześcijańskim stosunkiem do człowieka), opowiadają się za ukaraniem, ściganiem i karaniem bez sądów dla przeciwników politycznych – dla legalnej władzy. Jeszcze refleksja Tuska: „W tej bez wątpienia rewolucyjnej atmosferze trzeba chronić nas samych przed nienawiścią i pogardą". To gdzie to „chrześcijańskie podejście do człowieka", jak trzeba chronić nas przed nami i przed nienawiścią i pogardą? Kogo i do kogo? Ale równocześnie stwierdza: „Wciąż to powtarzam: słowa mają swoje konsekwencje".

W chwili, gdy ten wywiad się ukazywał, samochody płonęły na ulicach Francji, a w Niemczech eksplodowała kolejna fala epidemii COVID-u. Merkel od początku apelowała do swoich rodaków. Mówiła: „Nikt nie jest zbędny. Każdy się liczy, a my potrzebujemy wspólnego wysiłku. Takie jest przesłanie, jakie przynosi epidemia – jak bardzo jesteśmy bezbronni, jak bardzo jesteśmy zależni od rozważnego zachowania innych i ostatecznie, jak poprzez wspólne działanie możemy się chronić i oferować sobie nawzajem zachętę i wsparcie. Każdy się liczy". Gdy 22 października 2020 roku polski Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie w sprawie aborcji eugenicznej, został uruchomiony cały potencjał medialny, jakim niemieckie koncerny dysponowały w Polsce. Radio RMF FM, należące do niemieckiego przedsiębiorstwa Heinrich Bauer Verlag Kommanditgesellschaft z Hamburga, nakręcając skrajne emocje, krzyczało w swoim serwisie nagłówkiem: „To jest wojna" (tego dnia w Polsce było 12 107 przypadków zachorowania na COVID-19, a w Niemczech 5952). Histeria opanowała też media w Niemczech. Nie było w nich refleksji na temat zagrożeń pandemicznych. 2 listopada „Berliner Zeitung" publikuje w języku niemieckim tekst, urodzonego w Niemczech Tomasza Kurianowicza, iż „Berlin staje się ostoją polskiego ruchu oporu". Twierdzi, iż stolica Niemiec stała się centrum dla polskich bojowników ruchu oporu z liberalnego środowiska". Angela Merkel, zwracając się do Niemców 29 października 2020 roku, nazwała tych swoich rodaków, którzy wyprowadzają ludzi na ulice, jako osobników niebezpiecznych i nieodpowiedzialnych. W tym samym czasie niemieckie media w Polsce podburzały do niepokojów społecznych. A Tusk w wywiadzie dla „Newsweeka" namawia Polaków do tego, przed czym przestrzegała Angela Merkel. Czy to znaczy, że Tusk sabotował bezpieczeństwo Polaków? Namawiał, na łamach niemiecko-szwajcarskiego pisma do działań nielegalnych, do tego, co jest przeciwne praworządności? Tusk „jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec". Ta interesowna nienawiść do Polski przebija z całego tekstu i wściekłość, że nie rozumie się, jak bardzo czułym mechanizmem jest Unia Europejska. A Polska nie jest czułym mechanizmem? W wywiadzie Tusk ukazuje niemiecką wrażliwość, z tym poczuciem kulturowej wyższości – prawdziwego Europejczyka, który zarzuca antyeuropejskość wyborcom PiS-u. Który ostrzega (w imieniu Niemców), że Polska samotna, zacofana i autorytarna nie będzie miejscem, w którym następne pokolenie będzie chciało żyć. Mówi to facet, który uznał, że europejska kasa jest bardziej atrakcyjna od bycia premierem RP. Gdyby szukać wywiadu podobnego w swej treści, to byłyby to teksty Branickiego, Rzewuskiego czy Kossakowskiego. Duch targowicy brzmi w tych słowach: „Dzisiaj, w jednym z najbardziej dramatycznych okresów w naszej powojennej historii, nie mamy w Polsce przywództwa. Bo to, że ktoś obsesyjnie pragnie władzy i zagarnia jej coraz więcej, nie oznacza przywództwa...".

▶ Zamiast zakończenia – autoportret Tuska

Tusk stał się ofiarą samego siebie. Wszystko zaczęło się od jego wykorzystania języka jako instrumentu władzy. Uwierzył, że prawda nie ma żadnego znaczenia. Trzeba jedynie umiejętnie grać emocjami. Wyobcowanie Tuska, uczynienie z niego brukselskiego kosmopolity i ambasadora niemieckiej Europy, doskonale widać na łamach jego dziennika Szczerze. Tusk otwarcie stwierdza, że „...w tej globalnej fabryce kłamstw inżynierami będą prezydenci, premierzy i partyjni liderzy. Prawda sama się nie obroni. Dyskrecja, powściągliwość i niechęć do przesady to piękne cechy. Ale w dzisiejszej przestrzeni publicznej słychać przede wszystkim tych, którzy kłamią głośno, bez skrupułów, na każdy temat i nie czekając ze swoją opowieścią na właściwy czas, bo dla nich liczy się dzisiaj". Niezwykle to precyzyjny autoportret Donalda Tuska. Jak widać, doskonale rozumie istotę mechanizmu, którym się posługuje, a także jego konsekwencje. Bo – jak podkreśla – jedno wie „na pewno: będzie już za późno, aby odrobić straty i naprawić szkody, jakie codzienne kłamstwo powoduje tu i teraz". Jeśli wie, a mimo to czyni owe nieodwracalne szkody – co nim powoduje? ■

eprasa.pl a536663907

Ryszard Czarnecki

Czekanie na nowego Cybę

Czy jakiekolwiek anatemy spotkały p. von Thun und Hohenstein, która nazwała PiS i jego wyborców „śmieciami"? Uczyniła to zresztą w... pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia.

Pani policjantka była miła, uczynna i podeszła do sprawy poważnie. Jednak policyjni informatycy szybko ustalili, że grożono mi śmiercią z konta z USA i znalezienie potencjalnego następcy Ryszarda Cyby (morderca śp. Marka Rosiaka, pracownika biura PiS w Łodzi) ponoć było niemożliwe. Cóż, gdyby facet groził Trumpowi czy Bidenowi, pewnie by go złapali, ale on chciał uśmiercić tylko Czarneckiego...

To tylko jeden z przykładów gróźb, którym jest poddawany autor tego tekstu, jak również szereg innych polityków obozu patriotycznego. Jednak uwaga zasadnicza: hejt ów to nie tylko dzieło anonimowych internautów, lecz przecież także w głównych rolach występują czołowi politycy PO czy dziennikarze. Sławomir Nitras wzywa do opiłowania katolików, a facet, który ściął krzyż, powołuje się właśnie na tegoż polityka PO. Na Nitrasa oburzono się powszechnie, ale szereg innych aktów agresji pozostaje bez reakcji. Czy jakiekolwiek anatemy spotkały p. von Thun und Hohenstein, która nazwała PiS i jego wyborców „śmieciami"? Uczyniła to zresztą w... pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia.

Nagłośniono w mediach sprawę pracownika Straży Marszałkowskiej Sejmu RP, który w Internecie groził posłance „Nowoczesnej"(obecnie KO). Facet wyleciał z roboty. Tymczasem ujawnienie licznych faktów, że hejterami są urzędnicy samorządowi i pracownicy miejskich spółek w miastach, gdzie rządzi opozycja, zakończyło się tylko tym, że szereg z nich skasowało owe tweety, a niektórzy zrezygnowali z obecności w social-mediach. Innych konsekwencji nie ponieśli.

Od hejtu słownego prosta droga do czynów. Ci, którzy podpalili biuro poselskie Beaty Kempy czy ostrzelali ponad 80 kulami moje biuro w Nowym Dworze Mazowieckim, pewnie wcześniej wyżywali się w Internecie, ale to przestało im wystarczać. Dotyczy to jednak nie tylko czasu, gdy rządzi PiS, choć skala agresji wobec ludzi obozu władzy nigdy nie była tak silna jak po roku 2015. Pamiętam jednak dobrze wtargnięcie do mojego biura poselskiego we Wrocławiu na placu Solnym za czasów AWS młodych ordynarnych lewaków, którzy m.in. zniszczyli drzwi wejściowe. Miał to być odwet za to, że ośmieliłem się zaprosić do Polski lidera włoskiej prawicowej partii Alleanza Nazionale. Nie wiem, co czuła ta horda – jak inaczej nazwać ludzi sięgających po przemoc – gdy niedługo potem mój gość Gianfranco Fini został... szefem MSZ Italii.

Cóż, lewicowe bojówki raczej nie imponują poziomem, żeby użyć języka Onufrego Zagłoby, „oleum" w głowach, ale chodzi tu przecież nie o IQ, tylko o to, że jak im autorytety liberalno-lewicowe każą komuś dać w mordę, to nie będą pytać, tylko dadzą.

Człowiek, który ostrzelał moje podwarszawskie biuro, nie został ujęty. Jego „odwaga" w walce z nacjonalistyczną prawicą pewnie się jeszcze przyda...

Wrocławska policja zatrzymała młodego człowieka, który w jednym z zabytkowych wrocławskich kościołów okradał kościelne puszki, często zasilane przez dosłownie wdowi grosz. Okazało się, że był to ten sam człowiek, którego policja aresztowała parę lat wcześniej w... Lesznie, gdy podczas żużlowego meczu miejscowej Unii z „moją" Spartą Wrocław napadł na mnie i uderzył mnie w głowę. Niedawno do tego wydarzenia wróciła nieoceniona TVN24, puszczając wypowiedź działacza miejscowego klubu, że wówczas pan Czarnecki robił sobie „kampanię wyborczą". Akurat nie robiłem, ale rozumiem, że byłby to wystarczający powód, żeby prawicowemu politykowi „spuścić łomot".

Już przestaję czytać w Internecie nienawistników, którzy zapowiadają wobec mnie fizyczną przemoc. Ostatnie takie wpisy pojawiły się po debacie w PE w Strasburgu z udziałem polskiego premiera. Problem polega jednak na swoistej asymetrii: emocjonalne wpisy naszych zwolenników są nagłośniane i traktowane w mediach jako wręcz „podżeganie do zbrodni". Nie ma natomiast żadnej woli, chęci, potrzeby informowania o życzeniach śmierci kierowanych do nas (w tym do mnie) i wobec – uwaga! – członków naszych rodzin.

Pewnie do czasu, aż pojawi się nowy Ryszard Cyba. I od słów przejdzie do czynów. ■

eprasa.pl a536663907



Dawid Wildstein



PROSTACKIE SZTUCZKI, CZYLI POGARDA WEDŁUG PO

Okazuje się, że w celu wzbudzenia możliwie skrajnej pogardy i nienawiści wobec ludzi, z którymi dzieli się państwo, wyjątkowo skuteczna jest propaganda, która odwołuje się do najpiękniejszych idei. Widać to szczególnie mocno dziś, podczas kryzysu na granicy polsko- białoruskiej.

eprasa.pl a536663907

21 października wyłowiono z Bugu ciało 21-letniego Syryjczyka. Jak się okazało, zmarły wraz z jeszcze jednym migrantem usiłował przekroczyć tę rzekę, mimo braku umiejętności pływania. Drugiego uratowała polska Służba Graniczna, z jego zeznań wynika, że obaj zostali siłą wepchnięci do wody przez służby białoruskie.

Geniusz propagandy?

Informacja o trupie błyskawicznie rozeszła się po internecie, podchwycona przez „Fundację Ocalenie", lewicę, rozmaitych „aktywistów", polityków i dziennikarzy totalnej opozycji. Z jednym „szczegółem". Otóż nikt z wymienionych nie raczył naszkicować kontekstu. Wrzucenie samej „suchej informacji" wywołało oczywisty efekt. Kolejna ofiara polskich służb, zamordowany przez okrutnych Polaków, PiS to mordercy. Nawet te portale i media opozycyjne, które zdecydowały się jednak uwzględnić informację o przyczynach zdarzenia, zrobiły to w bardzo specyficzny sposób. Idealnym przykładem jest tu Onet. Otóż w artykule na ten temat „zaszył" informację o działaniach białoruskich służb w drugiej części tekstu, bez właściwie żadnej ekspozycji. W ten sposób zapewne większość czytelników Onetu nawet jej nie dostrzeże. Oczywiście – mimo wielokrotnych dementi oraz wskazywania na prawdziwych sprawców tej sytuacji – nikogo to właściwie nie interesowało, nikt nie przeprosił, nikt nie postarał się opisać sprawy w sposób odnoszący się do rzeczywistości. Tak oto doszło do wyjątkowo perwersyjnego wypaczenia prawdy – sytuacja, w której polska Służba Graniczna uratowała niewinnego, zaś białoruscy funkcjonariusze innego zamordowali, okazała się tylko kolejną cegiełką do budowania narracji o złych Polakach, mordujących emigrantów. Co ciekawe, Łukaszenka nie musiał nawet swoim polskim „sojusznikom" za to płacić. W powyższej sytuacji jak na dłoni widać mechanizm manipulacji, sposób, w jaki można przedstawić prawdziwą informację tak, żeby stała się ona kolejnym fake newsem. To idealny przykład cynicznej gry funkcjonariuszy polskich mediów związanych z Berlinem i Platformą. Ci ludzie mają pełną świadomość, co robią i jakie są tego konsekwencje. Pojawia się jednak inne pytanie. Skąd ta łatwość w odbiorcy tychże fake newsów do uwierzenia w te brednie, skąd ta gotowość do łyknięcia każdej bzdury, nawet tak groteskowej, jak chociażby ta opisana wcześniej? Czyżby rzeczywiście był to efekt „propagandowego geniuszu" wspomnianych funkcjonariuszy medialnych? Raczej nie, zważywszy, jak toporne, zero-jedynkowe, prostackie są te fake newsy. Wszystko wskazuje na to, że oni dobrze wiedzą, że nie muszą się nawet starać. Że odbiorcy ich treści po prostu chcą tak widzieć swoich rodaków, resztę Polaków.

Zgoda największym z grzechów

To, że Platforma Obywatelska jednocześnie pasożytuje na nienawiści oraz ją nakręca, jest oczywiste. Świadczą o tym kolejne badania wyraźnie pokazujące, że to właśnie wyborcy tej partii są najbardziej negatywnie nastawieni do zwolenników innych opcji politycznych (rzecz jasna z PiS-em na czele). Użyte określenie „pasożytuje" oddaje zresztą idealnie podstawowe modus operandi tej partii. Pasożyty w naturze cechuje postępująca atrofia cech swoistych dla ich gatunku. Wszystko zostaje nakierowane na jak największe dostosowanie się do żywiciela i czerpanie z niego pokarmu. Dokładnie to samo stało się z Platformą. Partia ta już dawno nie posiada żadnego programu. Nawet w wymiarze krytyki PiS-u nie jest samodzielna, nie usiłuje tworzyć własnej narracji. Wszystko zostaje dostosowane do aktualnej działalności partii Kaczyńskiego. PO istnieje tylko reaktywnie. Zmiany, jakie zachodzą w jej propagandzie, są uzależnione od tego, co PiS zaproponuje. Gdyby Prawo i Sprawiedliwość nagle zniknęło, zniknęłaby w tym samym momencie cała narracja Platformy. Jedyne, co by zostało, to najbardziej pierwotny sposób widzenia Polski, która determinuje sposób prowadzenia przez nią polityki. Niezależnie bowiem od realnych poglądów, postulatów, deklarowanych idei – te zmieniają się co chwila – jedno pozostaje niezmienne. Postrzeganie polskiego narodu jako trwale pękniętej wspólnoty, której części muszą istnieć w stanie ciągłego konfliktu, niezdolnego już do wewnętrznej rozmowy, w której dobrobyt jednych jest uzależniony od przygięcia karku drugim, czasem nawet więcej – pełnego ich zniszczenia w wymiarze publicznym. Wizja ta jest mocno sekciarska, jest rodzajem spauperyzowanej, prymitywnej religii, w której, z jednej strony, mamy do czynienia z elementem manichejskim, wiecznym pęknięciem między dobrymi i oświeconymi, z drugiej – gnostyckim, z wiarą, że jeśli uda się – a dokonując właściwych wyborów, jest to możliwe – pokonać siły ciemności, to wspólnota mądrzejszych może dosięgnąć nieba (które w wydaniu Platformy sytuuje się w okolicach Brukseli). Niezależnie od prostactwa tej narracji, jej największe zło jest widoczne jak na dłoni. Następuje połączenie aspiracji ze wskazaniem wroga, który nie pozwala na realizację tychże. Sukces jest więc możliwy, tylko jeśli przeciwnik zostanie pokonany, przestanie mieć wpływ na rzeczywistość. Co więcej, wróg ten istnieje wewnątrz narodu, jest współobywatelem, okazuje się więc, że współpraca i zgoda są najgorszymi z możliwych celów, w przeci-

FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

eprasa.pl a536663907

wieństwie do jak największej intensyfikacji konfliktu, co okazuje się moralnie właściwą działalnością. Jest to niebywale destrukcyjna postawa względem systemu demokratycznego (który jednak bazuje na uznaniu, że każdy ma prawo do swojej reprezentacji politycznej) czy nawet samej koncepcji suwerenności (okazuje się, że nie jest niczym moralnie nagannym współpracowanie z zewnętrznymi podmiotami, w imię ograniczenia wewnętrznego zła).

▶ Wymyślić migranta

Opisana powyżej narracja potrzebuje odpowiednich narzędzi, które pozwolą przedstawić rodaka jako kogoś gorszego, rodzaj mrocznej siły, która uniemożliwia rozwój dobra, która, niczym kula u nogi ciągnie tę lepszą i bardziej oświeconą część społeczeństwa w czeluści prymitywności i zabobonu. Co ciekawe i jednocześnie wyjątkowo ponure, okazuje się, że w celu osiągnięcia wspomnianego celu, wzbudzenia możliwie skrajnej pogardy i nienawiści wobec ludzi, z którymi dzieli się państwo, wyjątkowo skuteczna jest propaganda, która odwołuje się do najpiękniejszych idei. Do otwarcia na bliźniego, do opieki nad innym, do miłości wobec drugiego człowieka i obowiązku troski względem niego. Widać to szczególnie mocno dziś, podczas kryzysu na granicy polsko-białoruskiej. Najlepszym sposobem na oplucie bliźniego, rodaka, okazuje się wymyślenie sobie innego. W ten sposób deklaratywny „humanitaryzm" staje się swoją odwrotnością. Jakie są więc podstawowe elementy składowe tej narracji „w imię bliźniego", który okazuje się postawiony ponad własnego rodaka, stając się pretekstem do ataku na tego ostatniego? Najlepiej żeby... nie istniał. Żeby zaangażowanie w „pomoc", by ta miłość i współczucie mu okazywane, mogły pozostać jak najbardziej bez konsekwencji. Migranci na granicy nie są stałym elementem polskiego życia społecznego, a już szczególnie mieszczańskiej klasy średniej, która jest podstawowym elektoratem PO oraz wykazuje najbardziej lewicowy przechył ideologiczny. Są odległym bytem, którego bezpośredni wpływ na ich życie jest żaden. Możliwość realnego kontaktu i współżycia de facto nie istnieje, w związku z czym można ze spokojem wznosić najbardziej górnolotne hasła, traktować ich jako pretekst do skrajnego wzmożenia emocjonalnego, deklarować najwyższe poświęcenie – wiadomo bowiem, że nie będzie żadnego „sprawdzam", kolokwialnie rzecz ujmując. Czasem to deklarowane męczeństwo wobec innego, którego się i tak nie spotka, bywa jeszcze bardziej groteskowe. Warto zauważyć, jak pseudo-elity i środowiska związane z Platformą i jej mediami, z chęcią epatują swoją gotowością pomocy... zamordowanym podczas II wojny światowej Żydom. Od kilku miesięcy, także w kontekście awantury na granicy, w narracji tych ośrodków radykalnie wzrosła liczba analogii z okresem niemieckiej okupacji. Okazuje się więc, że ci, którzy dziś są skłonni cierpieć nad losem migrantów, to ten sam sort lepszych, godniejszych Polaków, który gotowy byłby ratować osoby żydowskiego pochodzenia. Warto zwrócić uwagę na to groteskowe porównanie, ponieważ symptomatyczne jest to, przed kim najczęściej ratowani byliby wspomniani Żydzi. Nie przed Niemcami, ale właśnie przed innymi Polakami (jak to w filmie Smarzowskiego). Znów chodzi tu o jedno – o możliwość ataku na rodaka i odpowiednie spozycjonowanie się względem niego. Wspomniany bliźni powinien być jak najmniej istniejący, bo wtedy też najłatwiej go wymyślić, odpowiednio wykreować, nie patrzeć na niego takim, jakim jest naprawdę, ale wykorzystywać go jako dogodne, ideologiczne narzędzie. Prawda o irackim migrancie byłaby bowiem dość niewygodna dla środowisk, które dziś tak intensywnie wycierają sobie nimi usta – zważywszy, jak konserwatywni i wierzący są to najczęściej ludzie. Lepiej więc ich sprowadzać do dzieci z kotkami i zapłakanych babć. Tacy są lepszym „bejsbolem", którym następnie będzie się okładać drugiego Polaka. Ciężko chyba o bardziej perwersyjne wypaczenie idei „braterstwa", które staje się mechanizmem niszczenia wspólnoty, więcej, docelowo przechodzi na pozycje antypaństwowe i akceptujące obcy imperializm. Idealnie splata się bowiem z wymierzonym przeciw Polsce dyskursem kolonialnym, w którym przedstawia się nasz naród jako bandę troglodytów, dla których jedynym ratunkiem jest nałożenie obcego, odpowiednio europejskiego jarzma, by wprowadzić te „ludzkie", „postępowe" i brukselskie normy prawne. Wszystkie te konsekwencje widzimy dziś przy okazji prowokacji Putina i Łukaszenki wobec Polski. Widzimy, jak łatwo wchodzi w pewne środowiska narracja o „Polakach mordujących afgańskie dzieci", mimo że żadne dziecko nie zginęło (oraz że właściwie nie ma na granicy Afgańczyków). Widzimy gotowość przymykania oczu na prowokację względem własnego państwa, więcej, akceptację dla ataków na naszą granicę, w których biorą udział, jak się okazuje, nie tylko migranci, lecz także funkcjonariusze białoruscy, traktowania tego nawet jako akceptowalną sytuację. Ponura prawda jest taka, że ani Putin, ani Łukaszenka nie muszą się specjalnie starać, żeby sprzedać u nas swoje fejki – ponieważ jest na nie, niestety, duży popyt. Oto bowiem spora grupa Polaków chce widzieć świat i własnych rodaków dokładnie tak, jak opisują go ci dwaj dyktatorzy. Ciężko o bardziej przerażającą konstatację. ■

eprasa.pl a536663907

Małgorzata Matuszak

Czym jest... żałoba

Żałoba to tradycyjne uzewnętrznione odzwierciedlenie tego, co się dzieje z kimś, kto stracił bliskiego. Tak czytamy w różnych słownikach definiujących pojęcie „żałoba". Zasadniczym jednak przejawem żałoby nie jest jej zewnętrze, lecz wnętrze tego, kto ją przeżywa, przynajmniej w czasach współczesnych. Dzisiaj śmierć bliskiej osoby nie przejawia się w oznakach zewnętrznych, odeszliśmy bowiem od wspólnotowych rytuałów przeżywania straty bliskiej osoby w przestrzeni społecznej, skupiając się na tym, co odczuwamy po śmierci bliskiej osoby indywidualnie, pozostając niejako sami w obliczu tak niewyobrażalnej straty, jaką jest śmierć bliskiej, najbliższej nam osoby.

Tak o przeżywaniu żałoby pisał Adam Zagajewski: „Pierwszy moment żałoby, zaraz po otrzymaniu wiadomości o zgonie bliskiej nam osoby, jest czymś straszliwym. To nawet nie jest jeszcze żałoba, to ból i bunt w stanie czystym, a słowo »żałoba« już zawiera w sobie pierwiastek rezygnacji, paktowania z tym, co się stało. Lecz w pierwszym momencie nie ma jeszcze słów, nie ma zgody, nie ma rezygnacji. Jest tak, jakby otworzyła się dziura w istnieniu. To jest trzęsienie ziemi otwierające przepaść. Moment płaczu i wściekłości, kiedy Logos jest bezradny. Logos dyskretnie odsuwa się na bok. Potem ta szczelina powoli, stopniowo zamyka się i zaczyna się długotrwały proces żałoby, zaczynamy ostrożnie chodzić po kładce nad rozpadliną; z czasem blizna zmienia kolor i prawie upodabnia się do zdrowej skóry. Są jednak śmierci, z którymi nie można się pogodzić".

Według Elizabeth Kübler-Ross [amerykańskiej lekarki, autorki m.in. książki „Rozmowy o śmierci i umieraniu" – przyp.red.] żałoba składa się z pięciu faz, będących typową emocjonalną reakcją na stratę. Pierwsza faza to wyparcie, które stanowi swoisty mechanizm obronny naszej psychiki. Podczas niej człowiek kwestionuje realność straty, wierzy, że to tylko jakaś pomyłka, że to, co się stało, jest niemożliwe. W drugiej fazie żałobnika ogarnia złość. Zaczyna szukać winnych, pytać: „Dlaczego ja?", „Dlaczego nikt nie pomógł?", „Dlaczego nic nie zrobiłem?", czuć złość także względem osoby zmarłej. Następny, trzeci etap, to faza negocjacji, czyli budowania alternatywnych scenariuszy powstających na rozważaniach „Co by było, gdyby...?". W osobie przeżywającej żałobę pojawiać się może poczucie winy, wyrzuty, tak samo jak na etapie złości, teraz jednak chcielibyśmy, by nasze słowa czy nadzieje miały moc sprawczą „naprawienia" zaistniałej sytuacji. W czwartej fazie osoba dotknięta stratą wchodzi w okres depresji, najbardziej charakterystyczny etap żałoby i często z nią utożsamiany. Osobę będącą w żałobie ogarnia obezwładniająca pustka, może stać się otępiała i apatyczna, utracić chęć do życia, izolować się od innych i płakać. Jej przyszłość jawi się jedynie w ciemnych barwach, a odczuwany ból nie pozwala na codzienne funkcjonowanie. Na samym końcu żałoby, drogi często długiej i mozolnej, następuje piąta jej faza: akceptacja. Człowiek, choć wciąż odczuwa ból, zaczyna godzić się ze stratą, akceptować rzeczywistość, czemu towarzyszy pojawiające się poczucie spokoju i powrót do aktywności życiowej, przeorganizowanej i dostosowanej do nowych warunków.

Dodać trzeba, że model ten, choć przedstawiony jako liniowy, liniowym nie jest. Nie każdy doświadcza wszystkich etapów żałoby, niektórzy zatrzymują się długo na jednym i w nim trwają, inni, nawet jeśli kolejny etap przejdą, wciąż do niego powracają, nie mogąc dojść do punktu, od którego życie zaczyna toczyć się dalej. W procesie żałoby ważne jest bowiem to, by ją przezwyciężyć. Nieprzepracowany ból uderzy kiedyś ze zwielokrotnioną siłą.

Żałoba może być jednak początkiem przewartościowania naszego życia. Z jednej strony żałoba wystawia na próbę nasze przekonanie o znaczeniu życia z powodu jego kruchości. Z drugiej strony jest też w stanie otworzyć nas na bardziej etyczne postępowanie oraz większy szacunek dla życia. Ceńmy życie! Pamiętajmy o tym w listopadzie, odwiedzając groby naszych bliskich. Żałoba to cena, jaką płacimy za miłość. Warto jednak kochać. ■

eprasa.pl a536663907



Jakub Augustyn Maciejewski

CZY ANTYKOMUNIZM WYSSALIŚMY Z MLEKIEM MATEK?

Leżąc na skraju zachodniej cywilizacji Polacy stawali często przed koniecznością walki ze wschodnią barbarią. Nasi przodkowie jako jedni z pierwszych w Europie dostrzegli truciznę komunizmu.

eprasa.pl a536663907



eprasa.pl a538663907

Komuniści, którzy jesienią 1939 roku zajęli wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, mieli problem z nazewnictwem własnej władzy. Owszem, uznali się za „wyzwolicieli" ludności ukraińskiej i białoruskiej, ale nowej władzy trzeba było podporządkować przede wszystkim Polaków. Już samo określenie bolszewickiego imperium stało się problemem, bowiem nad Wisłą nienawidzono określenia „sowiecki".

Inspiracja polska czy komunistyczna?

Polacy doskonale pamiętali Armię Czerwoną z 1920 roku – brudną, dziką, barbarzyńską. Wielu pamiętało jeszcze bolszewicki przewrót z 1917 roku i dantejskie sceny z Czekistami Dzierżyńskiego albo krasnoarmiejcami zaprowadzającymi leninowskie porządki. W wolnej Polsce popularnością cieszyły się książki antykomunistyczne – prawdziwymi bestsellerami były „Pożoga" Zofii Kossak czy „Lenin" Ferdynanda Ossendowskiego. Młodziutka Zofia Kossak napisała swoją pierwszą książkę o bolszewikach na Kresach – pisała jak nawet normalni chłopcy stawali się tam zezwierzęconymi postaciami bez duszy, z pustką w oczach. Ossendowski opisywał barbarzyństwo bolszewickiego wodza i jego antycywilizacyjną psychikę. Wydawnictwa na potęgę drukowały wspomnienia inteligentów i żołnierzy, którzy relacjonowali, co naprawdę działo się pod panowaniem czerwonych. Tadeusz Hołówko wspominał nawet o tym, że bolszewicy gwałcili... świnie.

Specjalna jednostka wojskowa, Korpus Ochrony Pogranicza, stała się synonimem polskiego etosu i obrony cywilizacji, ówczesnym Antemurale Christianitatis – uciekinierzy z Rosji opowiadali o szczegółach kolektywizacji, czystkach, partyjnych prymitywach i biedzie.

Nic dziwnego, że określenie „sowiecki" zaczęło brzmieć obelżywie, wręcz można było kogoś obrazić, wyzywając go od „sowieciarzy". I oto nagle armia Stalina zajmuje wschodnią Rzeczpospolitą i ma podpisywać rozporządzenia tym przeklętym terminem?

Bolszewicy dobrze zdawali sobie sprawę z antykomunistycznych nastrojów w Polsce, bo Rzeczpospolita okazała się najbardziej zwartym antysowiecko sąsiadem. Pierwsze odezwy nowej władzy były więc podpisywane nie przez władzę „sowiecką", ale władzę „rad". Rosyjskie słowo „sowiet" faktycznie można przetłumaczyć jako „rada", ale przymiotnik brzmiał już dziwnie. Określenie „radziecki" używano w Polsce jedynie wobec średniowiecznych rad miast, a późniejsze działania samorządów określano dopełnieniem, a nie przymiotnikiem: uchwała rady, decyzja rady, a nie uchwała radziecka czy decyzja radziecka.

Co prawda jeszcze przed wojną profesor Wiktor Sukiennicki, historyk, zaproponował stosowanie nazwy „Związek Radziecki", ale wraz z wybuchem wojny zarzucił ten słowny eksperyment. Aż do śmierci w 1983 roku używał określenia „sowiecki" i ten podział na używających „sowiecki" i „radziecki" jako podział polityczny stał się podstawą rozróżnienia, z czyjej inspiracji się pisze – polskiej czy komunistycznej.

W innych krajach nie zmieniano nazwy komunistycznego imperium – po angielsku ten rosyjski „sowiecki sajuz" tłumaczono na „Soviet Union", a nie na „Council (rada) Union". Wstrzyknięcie do polskiego języka słowa „radziecki", by wymazać negatywne określenie „sowiecki", przetrwało do dziś.

Geneza tego zjawiska pokazuje jednak, jak bardzo mocny był antykomunistyczny stosunek Polaków do swojego wschodniego sąsiada, a szczególnie do komunizmu. I to się zaczęło na długo przed leninowskim przewrotem i utworzeniem Związku Sowieckiego.

Ostrzeżenie jeszcze przed Marksem

Socjalistyczne i rewolucyjne idee budziły wątpliwości w polskich elitach jeszcze przed publicznym zaistnieniem Karola Marksa. Ostrzeżenie przed czerwonymi mamy już w znanym dramacie Zygmunta Krasińskiego (1812–1859) „Nie-boska komedia" napisanym już w 1833 roku.

Przecież jednym z pierwszych aktów rozpoznania czerwonej apokalipsy była „Nie-boska komedia", która została napisana jeszcze w 1833 roku, gdy socjaliści-fantaści próbowali zakładać nieudolne komuny, a Karol Marks miał dopiero 15 lat. Poecie bezsprzecznie należy się palma pierwszeństwa w biciu na trwogę przed nadchodzącym zagrożeniem, bowiem nie tylko wcześnie, lecz także z nadzwyczajną trafnością opisał najważniejsze mechanizmy zbliżającego się totalitaryzmu.

W romantycznym dramacie pojawia się postać myśliciela-rewolucjonisty, który przekonuje: „wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych". Rewolucjonista Pankracy wzywa arystokrację: „zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym". W innym miejscu chłopi podżegani do rewolucji śpiewają pieśni, które zdają się przepowiadać bolszewickie hymny: „Panom tyranom śmierć – nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym jeść, spać i pić. – Jako snopy na polu, tak ich trupy będą – jako plewy w młockarniach, tak perzyny ich zamków – przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia, naprzód". Niewielką znajdziemy różnicę pomiędzy chórem z dramatu Krasińskiego a wezwaniem Marksa do bicia burżujów.

eprasa.pl a536663907

Jakby tego było mało, autor „Nie-boskiej komedii" nie tylko przewiduje działalność ruchu komunistycznego, lecz także jego hipokryzję i degenerację. Rewolucjonista Bianchetti, bohater dramatu, wychwala swój geniusz przed innymi i utajnia swoje plany na przyszłość. Główny bohater dzieła, Hrabia, ostrzega rewolucjonistów, że „tak się rodzi nowa arystokracja", co brzmi identycznie z tezami późniejszej o 120 lat analizy uciekiniera z Jugosławii Milovana Dżilasa, autora pracy „Nowa klasa wyzyskiwaczy". Dysydent był wcześniej prominentnym działaczem partii komunistycznej, który znał system komunistyczny od wewnątrz, zaś Krasiński stworzył swój dramat 40 lat przed narodzinami Lenina.

Gdy Karol Marks pisał swój „Manifest komunistyczny", Krasiński w tym samym roku ostrzegał: „Na ustach wielu słowo postęp, ale w tejże samej chwili na dnie ich serc pomimo ich wiedzy, lecz nie woli, chuć zawistna wszelkiemu światłu, wszelkiej powadze, wszelkiej miłości, zatem chęć poniżenia tego, co wyższe, a nie podwyższenia tego, co niższe, zatem chęć zwrotu". Wieszcz portretuje też samych rewolucjonistów i ich motywację: „Stąd w republikanach czerwonych zamiary, godzące na wszelki ład i strój – wściekłe podrywy przeciwko rodzinie i własności – pogarda wszystkich religijnych podań rodu ludzkiego – natomiast niesłychane nabożeństwo do wszelakiego gwałtu – wreszcie dziecinna, dzika, namiętna żądza zupełnego zerwania z przeszłością [...]". Krasiński potrafił więc w jednym zdaniu streścić cały program komunistyczny, ale poeta przewidywał także: „I nie tylko osobniki, całe zbiory pojedynczych duchów, całe miasta, ludy pójdą takim torem. To mongolski żywioł, uosobiony w Moskwie, to znów zachodni, komunistyczny, gwałt tylko uznający, równie jak i tamten, za posłannictwo swoje, na społeczeństwo wywierać się będzie [...]". W polskiej specyfice geograficznej, wobec bliskości i odmienności Rosji od innych krajów Starego Kontynentu, ostrzeżenia przed totalitaryzmem łączono z obawami przed wschodnim ekspansjonizmem. Tak też czynił i Krasiński, gdy pisał:

„Moskwa czyha na rozkład cywilizacji zachodniej, czeka aż wojnami domowymi, bratobójstwem społecznym osłabnie Europa, aż świat wszystek zanękany krwi upływem niezmierny i ubytkiem równie wielkim prawości, z mordów przerzuciwszy się w przedajność i zepsucie [...]. Wtedy azjatycką stopą nastąpi na Europę i knut do pocałowania suchotnikom europejskim, znędzniałym, wycieńczonym leżącym na gruzach dymiących się wśród kałuż czerwonych!".

Powiedzieć, że prorocze – to mało!

Kto przewidział komunizm rosyjski

Gdy pierwsi socjaliści europejscy szukali państwa przyszłej utopii, polski filozof Henryk Kamieński (1813–1866) wskazał na Rosję ze specyficzną diagnozą. W 1857 roku ten publicysta emigrant wydał pracę pt. „Rosja i Europa. Polska. Wstęp do badań nad Rosją i Moskalami", w której opisywał wszystkie zjawiska, które 60 lat później stały się fundamentem nurtu politologiczno-rosjoznawczego – sowietologii. Oprócz opisywania cynizmu imperium i innego przez nią postrzegania własnej państwowości, mentalności, stosunków międzynarodowych, Kamieński wieszczył, że utopijna wizja komunizmu spełnić się może w Rosji jako wyjątkowo złowroga hybryda. Pisarz twierdził, że lud rosyjski, wiecznie do wszystkiego przymuszany, *de facto* niemający własności, niewolniczy, na swój sposób właśnie komunistyczny. Z jego traktatu można wywnioskować, że komunizm rosyjski będzie wyzyskiem biednych w imię biednych. „Gminy są środkiem rządu przeciwko ludowi, któryt do nich jest niejako przykutym", pisał Kamieński, jakby przewidywał powstawanie kołchozów (w Polsce: PGR-ów). Autor potępiał filozoficzne gdybania zachodnich teoretyków socjalizmu, którzy idealizowali Rosję i widzieli w niej kraj sielankowego narodu, który woli komunizm niż własność prywatną. Kamieński grzmiał: „Zaprawdę nie możebnemi są w Rossyi Socialiśći, Fourrier'owie, Lous Blacowie, i inni, ale dla tego, że tam właśnie jest pole dla Spartakusów i Pugaczowów". Autor twierdził tym samym, że w miejsce wysublimowanych marzycieli o zniesieniu nierówności przyjdą brutalni i krwawi pogromcy bogaczy – tak jak Spartakus w starożytnym Rzymie czy Kozak Pugaczow, który w czasach Katarzyny II wzywał do

Antoni Marcel Szymański opisał wszystkie zagrożenia komunizmu w tym samym czasie co Marks formułował obietnicę komunistycznego raju. XIX-wieczny prawnik zapewniał, że „przejść koleje komunizmu jest to więc przedstawić jego szaleństwo".

eprasa.pl a536663907

wojny z rosyjską arystokracją. Można śmiało powiedzieć, że Kamieński opisał nadejście Lenina – wynaturzoną wersję inteligenckiego socjalisty, który zamiast rozważać o wpływie własności na klasy społeczne, zrówna wszystkich ludzi karabinem i czekistowskim batem.

Komunizm jako zniewolenie człowieka

Ciekawe, że równocześnie do „Manifestu komunistycznego" Karola Marksa powstał artykuł „O komunizmie" Antoniego Marcelego Szymańskiego (1813–1894). Polak opisał wszystkie zagrożenia komunizmu, w tym samym czasie co Marks formułował obietnicę komunistycznego raju. Niektórym intelektualistom nie było trzeba znać Marksa, by wiedzieć, że marksizm się nie uda.

XIX-wieczny prawnik zapewniał, że „komunizm nie jest doktryną nową, ni w teorii, ni w czynie", a „przejść koleje komunizmu jest to więc przedstawić jego szaleństwo". Nie da się jednak wykazać objawów tego szaleństwa, jeśli nie wskaże się cech natury ludzkiej, toteż Szymański pisze, że: „najszanowniejszym objawem wolności człowieka jest własność i familia. Własność, będąca wynikiem pracy, pokazuje wyższość rozumu nad materią, a familia zaspokaja dążenie moralne serca. Z familii i z prawa rozporządzania własnością idzie dziedzictwo. Własność, familia i dziedzictwo stają się tym sposobem warunkiem pracy człowieka i narodu, warunkiem wzrostu i oświaty państw".

Szymański wiedział, że komunistom – bez własności prywatnej i bez oddolnej inicjatywy – będzie trudno zmotywować pracowników do zaangażowania, więc będą musieli zastosować ideologię, którą będą próbowali pobudzać do działania.

„W tym stanie społeczności człowiek staje się narzędziem, numerem bez woli i myśli" – pisał Szymański. „[...] bez żadnej pobudki do pracy, co prowadzi do zbękarcenia ludu. Aby uniknąć tych następstw, socjaliści starają się czynić pracę przyjemną albo budzić poświęcenie, co jest sprzecznością albowiem »poświęcenie pochodzi z indywidualizmu człowieka«".

Przecież w partii Lenina taką próbę „uczynienia pracy przyjemną" podjął Anatolij Łunaczarski, chcąc z siły i skuteczności uczynić nową religię. W latach 30. komuniści podjęli próbę wyzwolenia chęci do pracy poprzez system „współzawodnictwa pracy". To wtedy ZSRS obiegła wieść, że pracownik kopalni Aleksiej Stachanow jest w stanie wydobyć 15 razy więcej węgla niż przeciętny górnik. Szczegóły organizacji pracy w kopalni wówczas zatajono, bo w rzeczywistości Stachanowowi pomagał szereg ludzi, wykonując za niego te obowiązki, które nie były bezpośrednio związane z pozyskiwaniem węgla. W czasach Stalina próbowano zorganizować także system „kopert", czyli specjalnych dodatków dla pracowników, którzy pełnili odpowiednio ważne funkcje w partyjnych priorytetach – rzecz jasna niewiele to pomogło i gospodarka sowiecka pozostała jedną z najmniej wydajnych i najbardziej ekstensywnych na świecie. A przecież Szymański pisał to 100 lat przed omawianymi wydarzeniami – intelektualista pokazał, jak wiele konsekwencji można przewidzieć, znając naturę ludzką i założenia filozoficzne, które chcą ją zmienić.

Podobnie autor tekstu nie znał Karola Marksa ani nie mógł znać członków późniejszej o 16 lat Międzynarodówki, a jednak napisał, że „komunizm przemawia ciągle w imię ludu, a do polepszenia jego losu w niczym się nie przyczynia".

Komunizm może wygrać

Zanim jeszcze XIX wiek wyczerpał swoje prace nad komunistycznymi doktrynami, na ćwierć wieku przed zbudowaniem pierwszego komunistycznego państwa, polski historyk, ksiądz Walerian Kalinka (1826–1886), przekonywał, że czerwona ideologia może zwyciężyć:

„A jednak socjalizm może doczekać się tryumfu. Prowadzi do niego, jak widzieliśmy, nieubłagane następstwo zasad liberalnych. Będzie to chwila straszliwa: wywrotu wszystkiego, co istnieje, zgnębienia klas bogatszych, gorzka chwila rozczarowania dla zwycięzców, ale będzie to tylko chwila. Bywają trzęsienia ziemi, które całe okolice pochłaniają, ale potem grunt się uspokaja i na ruinach znów zieloność porasta. Nigdy jeszcze żadna utopia tak skutecznie do absurdum nie była doprowadzona, jak będzie socjalizm, jeśli zapanuje" – ostrzegał polski duchowny.

Ksiądz Kalinka przyznawał, że robotnicy doznają wielu krzywd i ich sytuacja pozostawia wiele do życzenia, wszak do europejskiej biedoty płynęła pomoc, nie tylko materialna, od wielu instytucji, a socjalizm próbował sobie przywłaszczyć monopol na troskę o pracowników. „Ale któż się zgodzi na to, by tej niedoli społecznej i politycznej zaradzić miało urzeczywistnienie zasad socjalizmu, by Sparta nowożytna, bez wiary, miała być postępem cywilizacji. Nie byłżeby to raczej powrót do ostatniego barbarzyństwa?".

Ciekawe, że jeszcze dwie dekady później sam Włodzimierz Lenin przekonywał na wykładach w Szwajcarii, że za jego życia nie uda się stworzyć bolszewickiej władzy, gdy krakowski ksiądz już

eprasa.pl a536663907

wcześniej ze smutkiem wieszczył zdobycie władzy przez komunistów.

Przewidział Związek Sowiecki

Jeszcze więcej szczegółów skutków socjalistycznych rozwiązań przewidział polski arystokrata i galicyjski polityk Wojciech Dzieduszycki (1848–1909), który opisywał przyszłe komunistyczne państwo z takimi detalami, jakby znał Związek Sowiecki z autopsji – choć ten powstał 8 lat po jego śmierci. Tak hrabia opisywał skutki „uspołecznienia narzędzi pracy" i kolektywizacji własności: „będzie trzeba zabrać obecnym właścicielom ziemię, a zatem pola, lasy, łąki i ogrody warzywne, a oprócz tego bydło i narzędzia gospodarskie; że trzeba podobnież zabrać właścicielom prywatnym fabryki, maszyny, warsztaty, podobno także sklepy". Trudno o lepszą prognozę kolektywizacji w Rosji z lat 20. albo „nacjonalizacji" we wczesnym PRL: „wszystko, co wywłaszczono, obejmie na własność państwo; rozumie się nie dzisiejsze państwa, tylko jakaś rzeczpospolita socjalistyczna przyszłości". XIX-wieczny polityk ocenił, że wraz z zarządzaniem przez państwo wszystkimi dziedzinami życia, będzie trzeba zabrać ludziom wolność osobistą: „Państwo będzie musiało tym wszystkim zarządzać samo; nie wolno mu będzie narzędzi produkcji wypuszczać w dzierżawę, bo to by było powrotem do metod kapitalistycznych, potępionych nieodwołalnie przez socjalną demokrację. Będzie tedy istniała chmara urzędników hierarchicznie zorganizowanych, posiadająca władzę, jakiej dotąd na świecie nie było, i obarczona odpowiedzialnością i nawałem pracy, o których nikt wyobrażenia dziś nie ma!".

Czy nie jest to najlepszy opis Związku Sowieckiego? Gdy 80 lat później Richard Pipes czy inni sowietolodzy nazywali komunizm swoistego rodzaju religią, Dzieduszycki takie tezy stawiał jeszcze w XIX wieku: „Religia owa ma też swoją biblię, której przenajświętszymi jak gdyby księgami są pisma teoretyków. Trzeba zatem zajrzeć do socjalistycznej biblii i stamtąd zaczerpnąć dogmaty mające ludzkość zbawić. W tym tylko bieda, że kanon owego świętego pisma nie jest jeszcze ostatecznie ustalony i że sporo bywa heretyków między socjalistami, boję się zatem wpaść i ja w herezję jakowąś zamiast ortodoksję poznać".

Dzieduszycki przypuszczał nawet, że dyrektorzy fabryk w socjalistycznym kraju staną się *de facto* ich właścicielami, którzy będą w stanie przekazywać przedsiębiorstwa z ojca na syna, tworząc nową arystokrację. Trudno się oprzeć wrażeniu, że uwłaszczanie się nomenklatury partyjnej po upadku państw komunistycznych miało właśnie taki przebieg. Konserwatyście udało się także przewidzieć, że leninowska Engelsowska koncepcja, jakoby ilość przechodziła w jakość (także w produkcji) się zupełnie nie sprawdzi, bowiem: „Gałęzie produkcji wymagające ciągłej, bezpośredniej uwagi, zamiłowanego w swoim zawodzie właściciela, nie tylko wszelki przemysł, choćby trochę artystyczny, ale nawet wyrabianie sprzętów istotnie dobrych i odzieży istotnie porządnej, nie tylko hodowla kwiatów, lepszych warzyw, rasowego bydła lub drobiu, ale nawet staranna uprawa roli, nie związanej bezpośrednio z wielkim przemysłowym przedsiębiorstwem, musiałaby chromać ze wszystkim, stałyby się niezadługo niepodobieństwem".

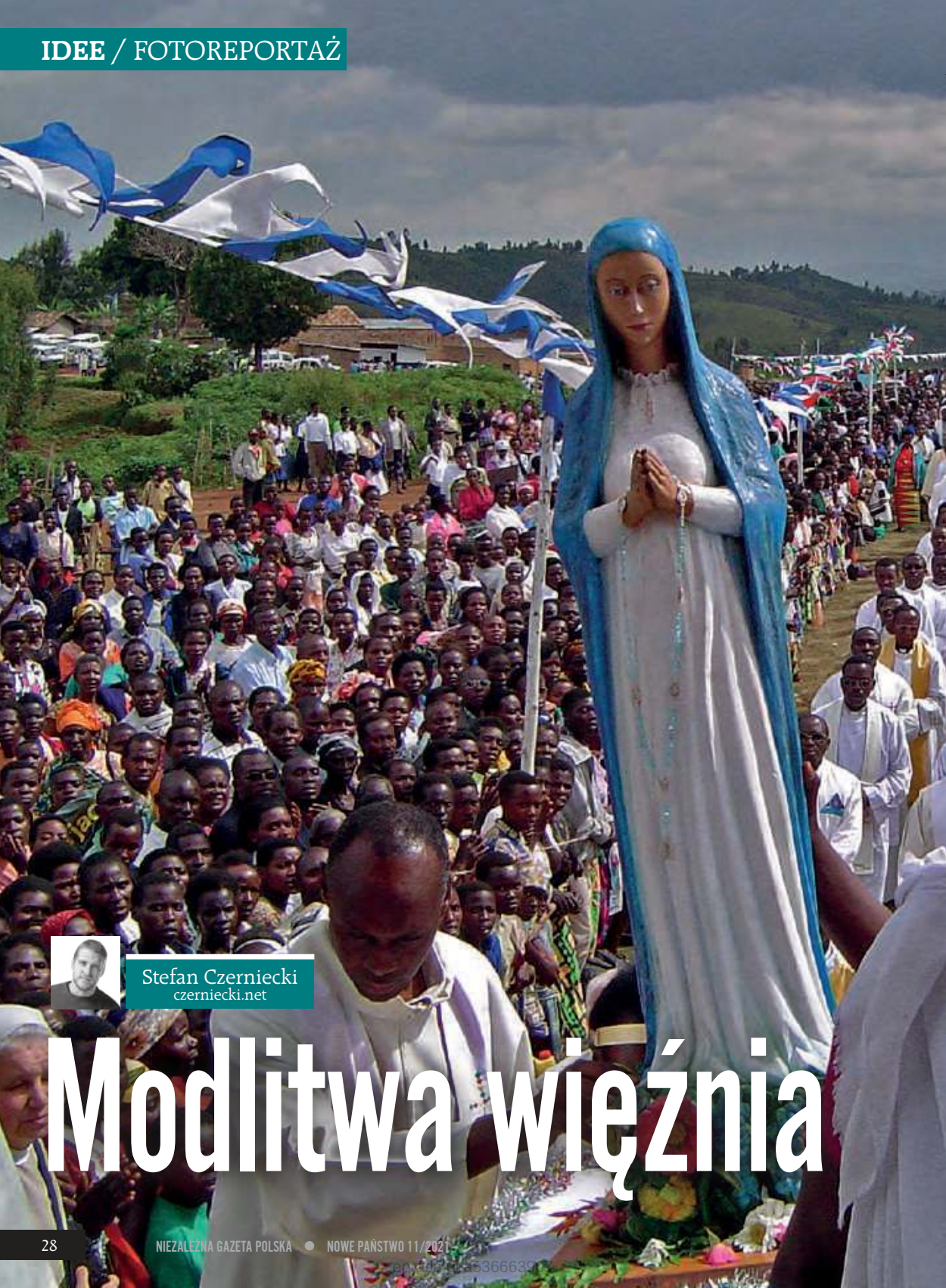
Cenne dziedzictwo

Rzecz jasna lista powyższych autorów nie wyczerpuje grona intelektualistów polskich, którzy zauważyli, że faktycznie „widmo komunizmu krąży nad Europą", i przewidywali, że będzie to oznaczać zbrodnie, biedę i duchowe wyjałowienie. XX wiek przyniósł spełnienie tych proroctw, a co za tym idzie, kolejne pokolenia myślicieli, którzy lepiej rozumieli i Rosję, i komunizm niż świat Zachodu. Jednak warto przy tym wspomnieć, że antykomunizm Polski był dziełem nie tylko elit, lecz także całego społeczeństwa. Przecież chłopi II Rzeczypospolitej nie znali dzieł Kamieńskiego czy Kalinki, by iść masowo do wojska przeciwko bolszewikom w 1920 roku, a kobiety, które masowo kładły się na polach, by traktory komunistów nie zaorały ich ziemi w latach 50. XX wieku, nie analizowały pism Szymańskiego czy Dzieduszyckiego. Słowo „sowiecki" kojarzyło się obrzydliwie niejako automatycznie, z oddolnej mądrości, a nie traktatów filozoficznych, tak jak „Solidarność" zerwała się w liczbie 10 milionów Polaków nie z analiz socjologiczno-filozoficznych, lecz z naturalnej intuicji.

Choć także w Polsce mieliśmy elity kolaborujące z Sowietami, choć miliony Polaków dały się zbałamucić komunistycznej doktrynie i przerobić na jakąś nadwiślańską wersję *homo sovieticus*, to jednak bezspornie to właśnie w naszym kraju wyrosła najsilniejsza tradycja antykomunizmu.

A skąd to się wzięło? A jak to powstało? Czy bliskość Rosji, katolicki korzeń, umiłowanie wolności, zaważyły na tym sceptycyzmie wobec marksistowsko-leninowskiego eksperymentu? Myśliciele nie dali jednoznacznej odpowiedzi – warto jednak ten dar przenikliwości zachować i pielęgnować. Bo i w nowych czasach przyjdzie nam się zmierzyć z nową odmianą komunistycznych marzeń. ■

eprasa.pl a536663907



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Modlitwa więźnia

Już za kilka dni minie równo 40 lat od pierwszych maryjnych objawień w afrykańskiej wioseczce Kibeho. Czy po tych czterech dekadach możemy jednoznacznie stwierdzić, że pilna prośba Matki Bożej o odmawianie pewnej konkretnej modlitwy, o której ludzkość zupełnie zapomniała, została wysłuchana? I jaka jest w całej tej historii rola pewnego przedsiębiorcy z polskiego Pomorza?



Na złączonych dłoniach Matka Boża z Kibeho trzyma Różaniec do 7 Boleści, o który tyle razy mówiła widzącym

FOT. ARCHIWUM SPM, ANDRZEJ CZACHOROWSKI

Cześć, Mirku... – do celi Andrzej zostaje wpuszczony sam. Towarzyszący mu do tej pory strażnik zostaje przed drzwiami.

– O, pan Andrzej! Dzień dobry! Nie spodziewałem się! – siedzący tyłem do drzwi na swojej pryczy mężczyzna odrywa na chwilę wzrok w stronę wyjścia. Widać, że jest czymś zajęty.

– Wszystko dobrze? – Andrzej kładzie przyjaźnie dłoń na potężnym barku osadzonego.

– Tak, w najlepszym porządku! Poczekaj chwilkę, dobrze? Skończę tylko dosztukowywać te dwa paciorki i pogadamy... – mężczyzna raz jeszcze pogrąża się w jakiejś czynności. Spuszcza wzrok. Jest skoncentrowany. Najwidoczniej nie chce zepsuć dotychczasowego efektu mozolnej pracy. Przez dłuższą chwilę w celi panuje zupełna cisza. Andrzejowi to zupełnie nie przeszkadza. Siada na skromnym drewnianym krzesełku w kącie celi, by rozejrzeć się dokoła. Nie jest tu po raz pierwszy. Zna to miejsce. W tej sytuacji, gdy jego rozmówca potrzebuje jeszcze chwili skupienia, nie ma żadnego innego pomysłu, aby zająć myśli. Spogląda więc na niewielką szafeczkę przy łóżku osadzonego. Dwie książki, gazeta. Obok długopis i jakaś zapisana kartka. Na ścianie wiszący plakat z jakimś bokserem. W końcu łóżka starannie złożony ręcznik i para skarpetek. W ogóle w tej celi panuje przyjemny porządek i ład.

▶ Więzienna terapia

– Skończyłem – wyrywa Andrzeja z jego przemyśleń głos skazanego. – To już czternasty dzisiaj!

Mężczyzna triumfująco podnosi do góry sznureczek z zawieszonymi nań paciorkami. To różaniec. Skazany właśnie skończył go splątywać.

– Widzę, że cię wzięło? – uśmiecha się Andrzej.

– Jeszcze jak – więzień nie odpowiada jednak uśmiechem. Nadal ma poważną minę. – Wiesz... Dla mnie to jest niczym najlepsza terapia.

– I nie miewasz zniechęceń? Stanu, w którym wszystko rzuciłbyś w pieruny? – Andrzej, widząc, że jego rozmówca najwyraźniej chce poważnie pogadać, także poważnieje.

– Stary... I to ile razy? Ze sto pokus na godzinę! – śmieje się wreszcie Mirek, zdradzając przy okazji tego szerokiego uśmiechu dwa spore ubytki. – Ale gdyby nie ta walka, już dawno bym leżał. To właśnie ona mnie trzyma. A wiesz, poza tym...

– Tak, Mirek?... – Andrzej pochyla się troskliwie w stronę rozmówcy, chcąc jakby zachęcić do kontynuowania powziętej przed momentem myśli.

– Ta praca daje mi jakiś niewysłowiony pokój. Odpoczywam psychicznie. Nie myślę o głupotach. I mam jednocześnie wrażenie, że otwiera się właśnie jakiś nowy rozdział w moim życiu.

Prasa.pl 836663907



„Przyszłam wam o tym przypomnieć, szczególnie tu, w Rwandzie, gdyż znajduję tu jeszcze ludzi pokornych, którzy nie są przywiązani do bogactw ani do pieniędzy”

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę. U mnie było bardzo podobnie. Gdy przed dwoma laty poleciałem po raz pierwszy do Kibeho, też miałem wrażenie, że w moim życiu zaczyna się coś zupełnie nowego... – Andrzej przerywa wypowiedź, gdyż widzi, jak Mirek dyskretnie podnosi palec, aby ten dał mu dokończyć myśl. Najwidoczniej skazany chce coś jeszcze powiedzieć.

– Andrzej, bo widzisz... Ja się wreszcie zacząłem modlić...

Tym razem Andrzej nie ma odwagi przerwać mężczyźnie. Widzi, że ten toczy jakąś wewnętrzną walkę, aby otworzyć się przed rozmówcą i powierzyć mu jakąś bardzo osobistą sprawę.

– Jest w tym Różańcu do Siedmiu Boleści coś niezwykłego. Kiedy modlę się tradycyjnym różańcem, rozważam po kolei każdą z tajemnic. Wiadomo: radosne, bolesne, chwalebne. Ale gdy zaczynam modlić się tym różańcem... – w tym momencie Mirek podnosi w górę ukończony przed chwilą przez siebie różaniec; nieco dłuższy od tradycyjnego, bo składający się aż z 49 paciorków, podzielonych na siedem części. – To wtedy nie rozważam już tylko tajemnic z życia Jezusa. Zaczynam rozważać boleści Jego Matki. *De facto* wchodzę w tę boleść. I wiesz co, Andrzeju? To współprzeżywanie tej boleści jest dla mnie, drania skazanego na długoletni wyrok... – Mirek na chwilę spuszcza wzrok, a w jego oczu wypływa na więzienną posadzkę obfita łza. – Jest w tym wszystkim najpiękniejsze.

„Dziecko moje! NdiNyinaWaJambo”

Afryka. Właściwie sam jej geometryczny środek. Niewielkie państewko. Z zielonym lasem deszczowym na zachodzie. I sawanną na wschodzie. Z licznymi górami i pagórkami. Z ulokowanymi pomiędzy nimi malowniczymi jeziorami. Ze schodkowo układającymi się tarasami oraz gruntami ornymi. Oraz niespełna 6 mln mieszkańców. Tak wygląda Rwanda początku lat 80. XX wieku.

Znajdująca się w południowo-wschodniej części kraju niewielka wioseczka Zaza wydaje się afrykańskim rajem na ziemi. Sąsiadująca ze słodkowodnym Jeziorem Mugesera otoczona jest zielonymi pagórkami i plantacjami bananowców. To właśnie w tej zapomnianej przez świat mieścinie przychodzi na świat maleńka Alphonsine Mumureke. Jest rok 1965. Pochodzi z rozbitej rodziny. Rodzice rozwodzą się i opiekę nad dziewczynką zaczyna sprawować wyłącznie matka. Dziewczynka od maleńkości cechuje się wewnętrzną skrytością i tajemniczością. Jest w tym wszystkim jednak bardzo pobożna. Przejawia wielką miłość ku Matce Bożej. Chętnie uczestniczy we Mszy świętej. Wreszcie kierowana szlachetnymi ideałami zapisuje się w gimnazjum do miejscowego harcerstwa. Z czasem rodzina przenosi się na drugi koniec kraju. Na południowy-zachód. Do miasteczka Kibeho. Tutaj Alphonsine zostaje zapisana do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne ze Zgromadzenia Córek Maryi. Ma 16 lat.

FOT. ANDRZEJ CZACHOROWSKI

eprasa.pl a536663907



Tegoroczne uroczystości będą wyjątkowe. To już 40. lat od pierwszych objawień Maryi w tym miejscu

Jest sobota 28 listopada 1981 roku. Zegar wskazuje godzinę12:35. Alphonsine krząta się w refektarzu dla uczennic. Usługuje przy stole. W pewnej chwili słyszy wyraźny głos wołający w jej stronę słowa: „Dziecko moje!". Dziewczynka prędko wychodzi na korytarz, skąd dobiegają słowa. Tutaj pada na kolana, bo widzi niezwykle piękną i urodziwą kobietę. Nastolatka uczyniwszy znak krzyża pyta widzianą panią, kim Ona jest. W odpowiedzi słyszy: „NdiNyinaWaJambo". Dziewczynka doskonale rozumie te słowa. W miejscowym języku oznaczają one „Jestem Matką Słowa". Tak zaczynają się najbardziej nam współczesne z potwierdzonych przez Kościół maryjnych objawień. Objawienia w Kibeho. W listopadzie tego roku obchodzimy ich jubileuszową 40. rocznicę.

Natychmiastowa decyzja

Andrzej Czachorowski nie może narzekać. Czuje się człowiekiem spełnionym. Także jako przedsiębiorca. Jego firma zajmująca się obrotem artykułami spożywczymi nabiera coraz lepszej kondycji. Wyniki są coraz lepsze. Wydawać by się więc mogło, że finanse nie są w przypadku Andrzeja tym, czym powinien się dziś najbardziej przejmować. On sam zresztą doskonale zdążył się już przekonać, że to wcale nie pieniądze, nie firma, nie zyski są w życiu najważniejsze. – Można być w życiu człowiekiem uważającym się za wierzącego, a wcale się nie modlić. To prosta droga do upadku. Do niewiary *de facto* – opowiada dziś o swoim nawróceniu.

Niewątpliwie wielką rolę w nawróceniu Andrzeja miała sama Maryja. To właśnie dla Niej przedsiębiorca zaczął zgłębiać tajemnice kolejnych maryjnych objawień. Zaczytywał się tak w orędziu wygłoszonym przez Matkę Bożą pod meksykańskim wzgórzem Tepeyac, jak w słowach, które Maryja powiedziała młodej Bernadetce we francuskich Pirenejach. Póki co były to jednak podróże palcem po mapie. Z wnikliwą lekturą szczegółów tych objawień. Z czasem przybył do Gietrzwałdu. I gdy myślał, że z maryjnych miejsc poznał już praktycznie wszystkie, pewnego dnia podczas wertowania wiadomości w telefonie wpadła mu w oko informacja o najbardziej nam współczesnych objawieniach. Tych w rwandyjskim Kibeho. Decyzja była natychmiastowa. Czachorowski nie miał jeszcze świadomości, jak bardzo pielgrzymka do Afryki Centralnej wywróci jego życie do góry nogami.

Fatimski cud pośrodku Afryki

Mało kto wierzy Alphonsine. Dziewczynka z zapałem opisuje piękno zobaczonej postaci. Opowiada, że skóra Matki Bożej wcale nie była zupełnie biała. Że Maryja była boso. Że widziała Ją ubraną w białą tunikę i biały welon. Że ręce miała mieć złożone na wysokości pier-

FOT. ANDRZEJ CZACHOROWSKI

eprasa.pl a536663907

si, z palcami skierowanymi ku górze. Niestety niewielu słucha tych zwierzeń z uwagą. Część zaczyna wręcz podejrzewać dziewczynkę o poważną chorobę umysłową.

Tymczasem Matka Boża ukazuje się nastolatce po raz kolejny. I to już następnego dnia, w niedzielę 29 listopada. Od tej pory będzie się objawiać dziewczynce niemal co tydzień przez cały grudzień. Nie pomaga to jednak nastolatce. Jej opowieści narażają ją na kolejne szyderstwa i kpiny. Zwłaszcza ze strony rówieśników.

8 maja 1982 roku dziewczynka skarży się Matce Bożej: „Ludzie mówią, że jestem szalona". Na odpowiedź Maryi nie trzeba długo czekać. Wpierw z podanymi Jej do poświęcenia przez dziewczynkę różańcami zaczyna dziać się coś dziwnego. A zwłaszcza z jednym. Staje się nienaturalnie ciężki. Jak się potem okaże, należy do jednej z uczennic, które najbardziej zaciekle krytykują Alphonsine za jej opowieści o objawieniach. To jednak nie koniec. Jeszcze tego samego dnia zarówno nauczyciele, jak i uczniowie będą świadkami niezwykłych znaków na niebie. Zaobserwują choćby znany z fatimskich objawień taniec słońca. Ujrzą zielonkawy księżyc, zauważą taniec gwiazd czy świetliste krzyże.

Jednak to wcale nie niebiańskie cuda będą tym, dlaczego Maryja pojawiła się w maleńkiej rwandyjskiej wiosce. Matka Boża ma dla dziewczynek (wkrótce do Alphonsine dołączą jeszcze dwie widzące: Nathalie Mukamazimpaka i Marie Claire Mukangango) do przekazania istotne orędzie dla ludzkości.

Podczas objawienia się Matki Bożej Marie Claire Mukangango 2 marca 1982 roku Maryja przekaże jej piorunujące słowa. Słowa, które dziewczynka ma przekazać wszystkim, których spotka: „Żałuj za grzechy! Żałuj za grzechy! Żałuj za grzechy! Nie zwracam się tylko do ciebie, lecz do wszystkich. Ludzie współcześni nie czują już tego zła, które czynią. Kiedy ktoś popełni grzech, nie przyznaje się, że źle postąpił. Proszę was, żałujcie za grzechy. Jeśli będziecie odmawiać tę koronkę, rozważając ją, będziecie mieli siłę do wzbudzenia w sobie skruchy. Dzisiaj wielu ludzi nie potrafi już prosić o przebaczenie. Ci ludzie znów krzyżują Syna Bożego. Przyszłam wam o tym przypomnieć, szczególnie tu, w Rwandzie, gdyż znajduję tu jeszcze ludzi pokornych, którzy nie są przywiązani do bogactw ani do pieniędzy".

Koronka, o której mówi Marie Claire Mukangango Maryja, to Różaniec do Siedmiu Boleści. Tajemnicza modlitwa, o której wierni zapomnieli. Odmawiana jedynie przez pojedyncze zgromadzenia zakonne stała się obecnie zanikającym zjawiskiem praktycznie w całym Kościele. Musiała pojawić się sama Matka Jezusa, aby przypomnieć ludzkości o zbawiennej praktyce wypływającej z nabożnego odmawiania tej modlitwy. Od tej pory Marie Claire Mukangango otrzyma za zadanie rozpowszechnienie zapomnianej przez ludzkość modlitwy Różańca do



Zanim rzeźba Jezusa Miłosiernego autorstwa meksykańskiej artystki Gogy Farias trafiła do Kibeho, stała 3 lata w USA

Siedmiu Boleści po całym świecie. Z jednoczesnym poleceniem, aby nie opuszczać Kibeho. Dziewczynka nie ma zupełnie pomysłu, jak pogodzić te dwa żądania.

▶ Niebo i tak ma swój plan

Wróciwszy z rwandyjskiej ziemi Andrzej nadal nie potrafi otrząsnąć się z szoku. Wyjść ze zdumienia. Teraz już doskonale wie, po co tam pojechał. Od poznanego na miejscu księdza Leszka Czeluśniaka, mariańskiego misjonarza posługującego od lat w Rwandzie, otrzymuje przed wyjazdem kilkadziesiąt różańców. Różańców, których w Polsce praktycznie nikt już nie produkuje. Czachorowski ma je rozdać w ojczyźnie. Jako zaczyn. Ziarno mające dać początek czemuś większemu.

– Pójdziesz teraz ze mną do osadzonych i powiesz im dokładnie to samo, co mi przed chwilą – poruszony świadectwem Andrzeja ksiądz Tomasz wstaje powoli od drewnianego stołu w więziennej rozmównicy. Jest tutejszym kapelanem. Posługuje w sztumskim Zakładzie Karnym już czwarty rok.

– A jak nikt nie przyjdzie na spotkanie? – oponuje zaskoczony propozycją Andrzej.

– To trudno. Bądźmy otwarci i róbmy swoje – dodaje z delikatnym uśmiechem duchowny.

FOT. ANDRZEJ CZACHOROWSKI

eprasa.pl a536663907



Podczas objawień Alphonsine podała Matce Bożej różańce do poświęcenia

Na salce, w której zwykle odbywają się podobnego rodzaju spotkania, póki co nadal nikt się nie pojawił. Andrzej siedzi obok księdza Tomasza i ze zdenerwowania rysuje długopisem po kartce. Czy to właśnie tak ma wyglądać? Jego „wielka misja" propagowania modlitwy Maryi?

W pewnym momencie drzwi do salki uchylają się. Pojawia się w nich twarz mężczyzny.

– To tutaj ma odbywać się spotkanie z panem, co będzie mówić o Maryi z Kibeho? – pyta nieśmiało.

– Tak, tak, zapraszamy – Andrzej z podekscytowania aż wstaje z miejsca.

Mężczyzna zasiada na jednym z rozstawionych plastikowych krzesełek. Póki co jest jedynym, który się pojawił. Nie mija jednak minuta, jak w drzwiach pojawia się kolejny osadzony. I zaraz następny. Finalnie na spotkanie przychodzi siedmiu więźniów.

– Co ksiądz na to? – szepcze do kapelana nieco zawiedziony frekwencją Andrzej. Za parę chwil rozpoczyna swoje świadectwo.

– Ty rób swoje. A resztę zostaw Maryi... – odpowiada ze spokojem duchowny.

Dopiero opowiadając historię maryjnych objawień w afrykańskim Kibeho i matczyną prośbę Najświętszej Panienki odnośnie Różańca do Siedmiu Boleści dociera do Andrzeja, że słuchających go w tej chwili jest dokładnie tylu, ilu potrzeba do wspólnego odmówienia tej modlitwy.

Więźniowie z entuzjazmem podchwytują propozycję Andrzeja co do tkania specyficznych różańców, których tak bardzo brakuje w Polsce. Wieść o niezwykłej historii, jaka wydarzyła się w dalekiej Afryce, obiega zakład coraz szybciej. Na następne spotkanie z Andrzejem przyjdzie już nie siedmiu, ale prawie pięćdziesięciu osadzonych.

– Widzisz? – uśmiecha się ksiądz Tomasz. – To nie nasza rzecz martwić się o efekty naszej posługi. Niebo i tak ma swój plan.

▶ „Napisz o tym! To cud, o którym trzeba głosić na dachach!"

– W tym roku mamy jubileusz objawień – na twarzy księdza Leszka Czeluśniaka MIC pojawia się rumieniec poruszenia. – Po ludzku patrząc to fatalny czas. W Rwandzie mamy kolejny lockdown. Pielgrzymów jest dużo mniej niż przed pandemią. Prace remontowe stanęły, bo nie ma funduszy. Ale przecież nie jesteśmy sami...

Marianin z pomocą Stowarzyszenia Pomocników Maryjnych na warszawskich Stegnach pragnie rozpowszechnić tegoroczne obchody jubileuszu pierwszych objawień w Kibeho.

– Na pewno będzie z nami Nathalie. Jestem z nią tutaj w stałym kontakcie – oznajmia marianin. – Pla-

FOT. ANDRZEJ CZACHOROWSKI

eprasa.pl a536663907



Dorastające w tej chwili już drugie pokolenie, licząc od pamiętnego ludobójstwa w Rwandzie, ma wreszcie szanse wychowywać się w poczuciu bezpieczeństwa. Bez wojennej traumy. I oby tak było...

nujemy satelitarne połączenie z kilkoma krajami, aby w różnych językach odmówić Różaniec do Siedmiu Boleści, o który tak bardzo prosiła Matka Boża.

– W Polsce centralą tego jubileuszu będzie mój rodzimy kościół w Gdańsku Jelitkowie – dopowiada Andrzej Czachorowski. – Swój udział we mszy w piątek 26 listopada zapowiedział już biskup Tadeusz Wojda. Będziemy czynić starania, aby po mszy połączyć się zdalnie z Kibeho i razem z widzącą Nathalie odmówić Różaniec do Siedmiu Boleści.

Słuchając tego przedsiębiorcy nie sposób nie zarazić się jego entuzjazmem. Podobnie jak zdążyli się już nim zarazić więźniowie wszystkich osiemnastu zakładów karnych, które odwiedził do tej pory Czachorowski. Angażując swoje siły w ręczną produkcję różańców.

– Niektórzy z nich poświęcają temu zajęciu praktycznie cały wolny czas. Tkają w dzień, tkają w nocy. Dla mnie to namacalny cud. Proszę o tym napisać – prosi Andrzej. – O tym powinno się trąbić na dachach! Osadzeni za ciężkie przestępstwa ludzie całymi dniami składają różańce i modlą się na nich!

Rzeczywiście. Zainspirowani historią Matki Bożej z Kibeho osadzeni wyprodukowali do tej pory już tysiące różańców. W samym zakładzie karnym w Wejherowie ich liczba przekroczyła już 150 tysięcy.

– Dla mnie ta historia to prawdziwy fenomen. Dowód żywej wiary. I namacalnego wstawiennictwa samej Maryi – wykrzykuje z radością Andrzej. – Czy potrzeba nam jeszcze dowodów?

Boleść matki skazanego

A co z produkowanymi przez skazanych różańcami dzieje się dalej? Odpowiedź jest zupełnie prosta. Są rozdawane. Tak, jak o to prosiła nastoletnią Marie Claire Mukangango sama Maryja. By modlitwa ta na nowo otoczyła świat. Młoda Afrykanka z pewnością nie mogła się spodziewać, że narzędziem pomocy w jej posłudze okaże się pewien nieznany jej Polak z Pomorza. Prócz inspirowania samych osadzonych do produkcji różańców Andrzej Czachorowski także je bowiem rozwozi. I to po całym świecie. Robi to najczęściej przy okazji swoich biznesowych podróży. Więzienne różańce trafiły w ten sposób już do 24 krajów. Od Stanów Zjednoczonych po Meksyk. Od Syrii po Australię. Na egzotycznych Filipinach skończywszy.

– Dopiero z czasem doszło do mnie, jak bardzo osobista może to być modlitwa dla samych osadzonych – opowiada mocno wzruszony Andrzej. – Istotą tej modlitwy jest przecież rozważanie każdej z siedmiu boleści, o jakich w przypadku Maryi mówi nam Pismo. Jedną z tych boleści jest przepowiednia starca Symeona pod jerozolimską świątynią. Gdy to opowiada on Matce Jezusa, co czeka Jej Syna. Maryja już wówczas zaczyna przeżywać wszystko to, co przeżywa de facto każda matka, która dostaje informację o wyroku skazującym jej syna. Ci osadzeni w zakładach karnych mężczyźni doskonale to wyczuwają. Zwłaszcza gdy modlą się Różańcem Siedmiu Boleści po raz pierwszy. ■

eprasa.pl a536663907

Małgorzata Matuszak



Po co nam święci?

Święci w przeróżny sposób uobecniają się w naszym życiu. Są naszymi orędownikami u Boga. A wielu z nich „wyspecjalizowało się" w jakiejś konkretnej dziedzinie. Kiedy mamy jakiś problem, zwracamy się do któregoś ze świętych, mocno wierząc w to, że nie zostawi nas bez pomocy.

FOT. GABRIEL BOUYS/PAP/EPA

eprasa.pl a536663907

Na początku listopada odwiedzamy groby naszych bliskich. Składamy kwiaty, zapalamy znicze, pogrążamy się w zadumie i modlitwie, powracamy pamięcią do wspólnie spędzonego czasu. Szczególnie 1 listopada, czyli dzień Wszystkich Świętych, i następujący po nim Dzień Zaduszny, to dni dla Polaków niezwykle ważne. Idąc na cmentarz, konfrontujemy się z tajemnicą śmierci, rozmyślając nad doczesnością i wiecznością, nad przemijaniem i kruchością życia tu, na ziemi, i powrotem do Domu Ojca. Dni te zmuszają nas do zastanowienia się nad tym, kim jesteśmy i do czego dążymy, co jest dla nas najważniejsze w kontekście przemijania i śmierci. Skłaniają nas do tego właśnie święci. Joseph Ratzinger w „Raporcie o stanie wiary" pisał wręcz, że w dzisiejszych czasach „jedyna naprawdę skuteczna apologia chrześcijaństwa opiera się na dwu argumentach – na świętych Kościoła i sztuce, która powstała w jego łonie".

Kim są święci?

W dniu Wszystkich Świętych, obchodzonym w Kościele katolickim od IX wieku, Kościół wspomina nie tylko tych, którzy zostali oficjalnie uznani za świętych, czyli beatyfikowanych i kanonizowanych, lecz także tych wszystkich wiernych zmarłych, których życie nacechowane było świętością. Bo właściwie świętym jest każdy człowiek, który „żyje w łasce". Zaszczytu wyniesienia na ołtarze dostępują jednak nieliczni. Kiedy papież uroczyście ogłasza kogoś świętym, oznacza to, że od tego momentu można mu oficjalnie publicznie oddawać cześć. Sam proces najpierw beatyfikacji, a później kanonizacji jest długi i żmudny. Osoba zaś, której dotyczy proces kanonizacyjny, spełnić musi szereg warunków, by mogła zostać uznana za świętą i czczoną przez cały Kościół. Wciąga się ją oficjalnie do kanonu świętych – stąd właśnie nazwa „kanonizacja" – i otrzymuje stały dzień w kalendarzu liturgicznym.

„Encyklopedja kościelna, podług teologicznej Encyklopedji Wetzera i Weltego z licznemi jej dopełnieniami przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób wydanej przez X. Michała Nowodworskiego" (Warszawa 1876) podaje: „Wielka zachodzi różnica między: być świętym a być czczonym jako święty, między świętością w tryumfującym a walczącym Kościele. Świętość w Kościele walczącym jest podwójna: za życia i po śmierci. Za życia nazywamy świętym tego, który osobliwie niewinnem i świątobliwem życiem się odznacza, a i po śmierci, możemy powiedzieć o wielu, że są świętemi, jak na przykład dzieci zmarłe zaraz po chrzcie świętym, ale w znaczeniu kościelnem ten tylko może być nazwanym i czczonym jako święty, o kim jest pewność, że jest w niebie. Żeby być świętym w Kościele tryumfującym, dosyć wytrwać do śmierci w zachowaniu przykazań (Mt 24, 13; Ap 2, 10), żeby zaś być uznanym za świętego w Kościele walczącym, oprócz szczególnie świętego życia, potrzeba oznaki po śmierci, że Bóg chce, żeby ten jego sługa był uznanym i czczonym na ziemi jako święty i tę wolę swoją objawia" (s. 489).

Doskonale święty jest tylko Bóg, człowiek może być jedynie uświęcony, święty mocą i łaską Tego, który jest Świętością samą. W historii Kościoła wielokrotnie pojawiały się pytania, po co modlić się do świętych, skoro można do samego Boga? Czy On nie wystarcza? Jeśli to Chrystus, Jedyny Pośrednik między Bogiem a ludźmi, wysłużył nam zbawienie, to czy potrzebni są nam jeszcze inni, ludzcy w dodatku pośrednicy? Czy modląc się poprzez nich nie obrażamy wręcz Boga? Kościół katolicki odpowiada na te pytania jednoznacznie. Odpowiedzi te wyrastają zaś z istoty samego Kościoła.

„Świętych obcowanie"

„Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, [...], żywot wieczny", wyznajemy pod koniec Składu Apostolskiego. Cóż jednak kryje się pod słowami „świętych obcowanie"? Czy ta rzeczywistość dotycząca świętych nam nie umyka?

Prawda wiary, jaką jest świętych obcowanie, mówi nam o tym, iż istnieje realna, chociaż duchowa, dostrzegalna zatem jedynie oczami wiary, więź między żywymi i umarłymi. Umarli, choć w inny już sposób, wciąż są wśród nas, wstawiają się za nami, troszczą się o nasze dobro i o to, byśmy potrafili rozwiązać problemy, których doświadczamy w naszym ziemskim życiu. Obcowanie świętych polega na tym właśnie duchowym połączeniu, jakie istnieje pomiędzy Kościołem walczącym – tu na ziemi, Kościołem cierpiącym – w czyśćcu – i Kościołem triumfującym – w niebie. Wszyscy wierni, ci na ziemi, w czyśćcu i w niebie – są bowiem członkami tego samego Kościoła – mistycznego Ciała Chrystusa. Wyraża to wyznanie wiary sformułowane przez papieża Pawła VI po Soborze Watykańskim II: „Wierzymy we wspólnotę wszystkich wiernych chrześcijan, a mianowicie tych, którzy pielgrzymują na ziemi, zmarłych, którzy jeszcze oczyszczają się, oraz tych, którzy cieszą się już szczęściem nieba, i że wszyscy łączą się w jeden Kościół; wierzymy również, że w tej wspólnocie mamy zwróconą ku sobie miłość miłosiernego Boga i Jego świętych, którzy zawsze są gotowi na słuchanie naszych próśb" („Wyznanie wiary Ludu Bożego", 30).

Święci w przeróżny sposób uobecniają się w naszym życiu. Są naszymi orędownikami u Boga. Wielu z nich „wyspecjalizowało się" w jakiejś konkretnej dziedzinie. Kiedy mamy jakiś problem, zwracamy się do któregoś ze świętych, mocno wierząc w to, że nie zostawi nas bez pomocy. Zajmujący się muzyką mogą prosić o wstawiennictwo nie tylko św. Cecylię, lecz także św. Germa-

eprasa.pl a536663907

na z Paryża, św. Leona Wielkiego Papieża, św. Odona z Cluny czy św. Piusa X Papieża. W przypadku przeciążenia strun głosowych śpiewem warto zwrócić się o pomoc do św. Błażeja, św. Otylii czy św. Bernarda ze Sieny. Narzeczonych wspomogą św. Agnieszka Rzymska, Antoni z Padwy, św. Dorota, św. Filmoena, św. Jadwiga Śląska i św. Wunibald, młode małżeństwa zaś św. Zdzisława. Małżeństwom z dłuższym stażem pomóc może św. Joachim czy św. Józef, a zakochani mogą prosić o wsparcie św. Andrzeja Apostoła, pomocnika w sprawach matrymonialnych, bądź św. Walentego, będącego również orędownikiem osób chorych psychicznie i niepełnosprawnych umysłowo. Kiedy coś zgubimy, prosimy o pomoc św. Antoniego, który wspiera również dzieci, górników i narzeczonych. Jeśli zaś mamy problemy z komputerem i Internetem, winniśmy wezwać św. Izydora z Sewilli. Święci towarzyszą nam nie tylko w codziennym życiu, lecz także patronują parafiom, miastom, państwom. Skuteczność ich działania często zaskakuje. Za ich wstawiennictwem Bóg naprawdę dokonuje cudów – tych małych, codziennych, i tych wielkich, przekraczających nasze wyobrażenie.

Trudna droga do świętości

Hebrajskie słowo „święty", oznaczające „oddzielony", zawiera w istocie dwa aspekty: oddzielenie od czegoś i oddzielenie dla czegoś, najprościej więc rzecz ujmując, „święty" to ktoś, kto oddzielił się od grzechu dla Boga. Trzeba pamiętać jednak o tym, że święci byli ludźmi z krwi i kości, za swego życia mieli takie jak my problemy, wady i słabości. Innymi słowy, byli ludźmi grzesznymi. Nie możemy zachowywać się tak jak przełożona św. Teresy z Lisieux, która po jej śmierci wykreśliła z jej zapisków zdanie, w którym św. Teresa przyznaje się do tego, że nigdy nie udało się jej odmówić różańca bez zaproszenia. W słabościach świętych tkwi bowiem ich największa siła. Nie zawsze się o tym mówi, ale nawet bardzo wielcy i uznani święci mieli trudne charaktery, problemy ze sobą, popełniali czyny bardzo dalekie od tego, by można je nazwać dobrymi. Zostali jednak świętymi. I to nie dzięki tym wadom, ale pomimo nich. Pan Bóg nie wybrał ich dlatego, że byli chodzącymi ideałami, lecz dlatego, że w pewnym momencie dobrze zrozumieli swoje powołanie do świętości i odpowiedzieli na nie swoim życiem. I to jest dla nas szansa.

Święty Tomasz z Akwinu na przykład, dominikanin i wielki filozof scholastyczny, jeden z najwybitniejszych myślicieli w dziejach chrześcijaństwa, borykał się z grzechem... obżarstwa. Anegdoty na temat masy ciała św. Tomasza zachowały się do dzisiaj – ponoć jego brzuch był powodem, dla którego wycięto w stole jadalnym w refektarzu specjalny uskok, a jego współbracia mieli go nazywać „milczącym wołem". Święty Ignacy Loyola z kolei, ojciec założyciel zakonu jezuitów, za młodu prowadził bardzo burzliwe życie. Oddawał się hazardowi, często się pojedynkował, fascynował wojną i dworską sławą, prowadził bogate życie erotyczne i nie stronił od różnego rodzaju rozrywek. Kiedy miał 30 lat, został ranny w bitwie o Pampelunę. W czasie rekonwalescencji w szpitalu, po lekturze „Vita Christi" Ludolfa z Saksonii, rozpoczął się proces jego nawrócenia. Święty Albert Chmielowski, franciszkanin i założyciel zgromadzenia albertynów i albertynek, będąc w wieku studenckim wyłudzał pieniądze, a jedną z jego „sztuczek" było podkładanie swej drewnianej nogi pod przejeżdżające bryczki i udawanie rannego, by w ten sposób uzyskać odszkodowanie od „sprawcy" wypadku. Jako Brat Albert znany jest z pełnego poświęcenia na rzecz biednych i bezdomnych, a jego dzieło kontynuuje się do dziś.

Przykładów życia świętych, których życie do pewnego momentu trudno uznać za święte, czy też takich, w których święci do końca swego życia zmagali się z swymi słabościami, można przytoczyć jeszcze wiele. Nie po to, by ich zdyskredytować, lecz po to, by pokazać, że święci, wraz ze swoimi, trudnymi nieraz, doświadczeniami, mogą stać się dla nas światłem, które może nas prowadzić bądź przynajmniej wskazać właściwy kierunek – ku świętości właśnie, która polega (również) na umiejętności przezwyciężania własnych słabości, oddaniu się Bogu i Jego łasce.

Powołani do świętości

Jezus zaprasza do świętości wszystkich. W „Kazaniu na Górze" zachęca nas do wkroczenia na drogę prowadzącej do szczęścia – „błogosławieni" to przecież „szczęśliwi". Jak to zrobić, w najlepszy sposób pokazują nam święci. Zetknięcie z wielkością drugiego człowieka powoduje, że zmieniamy się na lepsze. Obcowanie z kimś takim otwiera nas na miłość do Boga i wszystkiego, co nas otacza. Świętość budzi nadzieję i radość.

Ksiądz Janusz St. Pasierb zauważył kiedyś, że święci są tak bardzo niepodobni do siebie nawzajem, a jednocześnie wszyscy tak bardzo podobni do Pana Jezusa. Powołani jesteśmy przede wszystkim do tego, by naśladować Chrystusa. Jak pisze ks. Andrzej Persidok, można to jednak robić na wiele sposobów, co właśnie ukazuje nam wielobarwny tłum świętych. Każdy z nich naśladował Chrystusa na swój sposób, co nam dobitnie pokazuje, że drogi prowadzące do Boga mogą być bardzo różne, nie można ich zatem mechanicznie powielać. Podążając ku Bogu ważne jest bowiem to, by pozostać sobą. Dlatego też, oprócz praktykowania modlitwy za wstawiennictwem świętych, warto ich poznawać i szukać w nich inspiracji dla siebie, dla swojej własnej drogi wiary. ■

eprasa.pl a536663907



Ewa Polak-Pałkiewicz



Ta inna Francja

Tymon Terlecki w 1940 roku wyznawał: „Nie znam narodu, w którym by współistniał w takim samym natężeniu i w takiej harmonii talent do szczęścia i talent do wielkości [...]. Są we Francji siły odwieczne i niezmożone. Jest katolicyzm, nieprzejednanie antytotalistyczny, od mgra Baudrillarta i Maritaina aż do naiwnych daudetowskich proboszczów z Cucugnan. Jest instynkt wolności. Jest gallicki duch konstrukcji, ten, z którego na Isle de France narodził się gotyk. Duch, który budował, nie burzył".

eprasa.pl a536663907

Co takiego Unia może zrobić Francji?", pyta Éric Zemmour. „Nic nie może zrobić! Francja musi tylko przestać być tym prymusikiem, pupilem UE, który ciągle domaga się jeszcze większej integracji Europy. Niech państwa europejskie przejmą maksimum swoich kompetencji, można to wszystko uczynić bez wychodzenia z UE: zobaczcie, co robią Polacy!". Słysząc te słowa, przypominam sobie Paryż. Paryż z wczesnych lat 90. Tę inną Francję, którą wtedy poznałam.

Kloszard, prowincja, okrzyk zachwytu

Jedna z najlepszych dzielnic miasta, XVII-stka. W XIX-wiecznej kamienicy apartament na pierwszym piętrze. Dzwonimy do drzwi. Gosposia zaprasza do środka. Przechodzimy przez amfiladę pokoi; każdy jest utrzymany w innej gamie mocno nasyconych kolorów, ściany wyłożone tkaninami, wszystko tu przypomina klejnoty ułożone w szkatułce. W salonie wita nas elegancko ubrana para ludzi w średnim wieku. Są niezdawkowo uprzejmi; gosposia wnosi na tacy kieliszki z białym winem z dodatkiem likieru z czarnej porzeczki (Kir Royal). Rozmowa trwa długo jak na tę południową porę, małżonkowie ściskają nam ręce, a naszemu przewodnikowi François serdecznie gratulują: niedawno wziął ślub. François jest kierowcą w jednym ze zgromadzeń zakonnych, które w Paryżu ma swój dom generalny; jeszcze kilka lat temu był bezdomnym kloszardem. Jego żona, Antonina, jest Polką, lekarzem stomatologiem, która w Paryżu zatrudnia się jako opiekunka starszych osób. Po śmierci pierwszej żony Françoisa pobrali się – oboje już dobrze po sześćdziesiątce. Znajome Francuzki z agencji opiekunek uznały za faux pas, że François ożenił się z niezamożną Polką. Kloszard kloszardem, ale to przecież spadkobierca historycznego nazwiska i brat cioteczny gwiazdora Jeana Maraisa...

Dzięki protekcji Antoniny razem z moją przyjaciółką Teresą otrzymałyśmy pokój w jednym z gmachów wspomnianego zakonu. Codziennie rano, gdy wychodzimy zwiedzać Paryż, mijamy mieszkających tu ojców. Ubrani po świecku, rozluźnieni, zaaferowani, nie chodzą, ale biegają, przypominają sportsmenów, nauczycieli, pracowników socjalnych, ale nie zakonników.

Antonina, która wyjechała do Francji tuż przed stanem wojennym i nie mogła wrócić do Polski, zamierza pokazać nam cały polski Paryż. Wyspę św. Ludwika, Bibliotekę Polską, klasztor w Ivry, a w nim przytułek, gdzie mieszkał u schyłku życia Norwid, jego grób na cmentarzu Montmorency.

Jesteśmy we Francji na krótko. Po Paryżu Antonina i François postanowili zawieźć nas na prowincję, gdzie mają przyjaciół, którzy pragną poznać przybyszy z Polski. Miejscowość leży w Masywie Centralnym, kilka godzin jazdy samochodem. François prowadzi z widoczną przyjemnością. Chwali fantastycznie gładką i szeroką drogę, prawie pustą o tej porze roku (późny wrzesień). François jest gorącym patriotą. Zanim został kloszardem, był jednym z dowódców floty francuskiej w wojnie indochińskiej i bohaterem batalii, którą Sowieci nazywali „brudną wojną". Gdy wrócił do domu w 1954 roku – domem był stary rodzinny zamek – dowiedział się, że ukochana żona odeszła i jego małżeństwo „nie istnieje". Dzielny oficer frontowy nie był w stanie znieść tego ciosu. Nie przyjął żadnego z przyznanych mu odznaczeń bojowych. Zapadł się pod ziemię. Zmienił tożsamość. Jego bliscy nie mieli z nim kontaktu przez kilkadziesiąt lat. Tułał się po przeróżnych norach, dworcach i parkach starego Paryża. Rozmowa na ulicy bezdomnego kloszarda z opiekunką staruszków, która nie mogła wrócić do rodzinnego kraju, stała się nieoczekiwanym zwrotem w życiu tych dwojga.

Jesteśmy na miejscu. Wioska położona jest wśród zalesionych wzgórz. Przyjaciółmi François i Antoniny są miejscowi nauczyciele. Wszystkie domy są tu z kamienia, podobne do siebie. Jednak gdy gospodarze otwierają drzwi swej siedziby i prowadzą do jadalni, obie z Teresą wydajemy okrzyk zachwytu. Ogromny owalny stół nakryty jest adamaszkowym obrusem. Płoną świece w wysokich srebrnych świecznikach. Wspaniałe bukiety kwiatów i półmiski z owocami ozdabiają stół. Przyjęcie jest na naszą cześć, dwóch kobiet przybyłych całkiem prywatnie z Polski. Wokół stołu gromadzi się około dwudziestu osób – rodzina, znajomi, współpracownicy. Wszyscy chcą poznać młode Polki, które przywiózł przyjaciel z dzieciństwa pani domu. Upadek komunizmu w Polsce, zwycięstwo „Solidarności" jest czymś, co ich naprawdę głęboko obchodzi. Przyjęcie typowo francuskie, z przystawkami (przystawka to amuse-gueule, czyli „bawigęba"), pieczystym i płonącymi lodami na koniec. Dzięki zachętom pani domu zapominam na chwilę, że mój francuski nie może być specjalnym powodem do dumy, i opowiadam, jaka jest sytuacja w Polsce. Teresa jest anglojęzyczna, a we Francji – zwłaszcza na prowincji – angielski nie jest używany. Wszyscy słuchają w skupieniu. Pojawiają się toasty „za Polskę", „za Francję". Pani domu mówi: „Zawsze słyszałam, że Polacy to dzielni ludzie i bardzo sympatyczni. Teraz wiem, że to prawda".

Kapitel, czyli rozmowa

Rodziny francuskie żyjące w pałacach i zamożnych domach szlacheckich naśladowały w swych obyczajach życie na dworze królewskim. Były z reguły patriarchalne, a stare porzekadło mówiło, że król jest ojcem wszystkich ojców, zaś ojciec – królem wszystkich dzieci – przypominał francuski historyk Jean de Goyard podczas wykładu, którego słuchałam kilka lat później w Krakowie. W ta-

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl a536663907

kich rodzinach i wśród takich rodzin formy towarzyskie nie służyły komplikowaniu sobie życia, lecz wyrażały subtelne odcienie miłości bliźniego. Mówiąc o umiejętności prowadzenia przy stole lekkiej, finezyjnej rozmowy jego rodaków, Jean de Goyard dodawał: „Kultura katolicka stopniowo na przestrzeni tysiąca lat zdołała poskromić egoizm w stosunkach towarzyskich; ludzie przestali interesować się wyłącznie sobą, nie mówili już tylko o sobie, zaczęli interesować się innymi. Nabrali zmysłu lekkości i niepospolitości. Rozmowa stała się tradycją chrześcijańską, uczono jej w domu rodzinnym. Niektóre rody zaczęły być znane ze szczególnych talentów do prowadzenia wykwintnej rozmowy i z żywości umysłu, tak jak inni – z dziedziczonej brzydoty czy umiejętności dosiadania konia. Rewolucja francuska zniszczyła sztukę konwersacji. Ponieśliśmy niepowetowaną stratę. Po okresie terroru Paryż stracił tę słodycz i ogładę, która czyniła to miasto tak czarującym i powabnym przez kilka wieków. Wkrótce cała Francja utraciła umiejętność prowadzenia rozmowy. Ludzie nie potrafili już mówić przyciszonym głosem i przestali słuchać siebie nawzajem".

Jean de Goyard podkreślał, że to tradycja katolickich domów w jego ojczyźnie dokonała jedynego w swoim rodzaju połączenia w nierozerwalną całość sztuki kulinarnej, sztuki nakrywania do stołu i sztuki konwersacji. „Ludzie w epoce ancien regime`u traktowali posiłki jako okazję do spotkań, a raczej, powiedziałbym, jako kolumnę, która ma przyjąć kapitel – czyli konwersację. Dlatego właśnie wielkie rodziny szlacheckie prowadziły table ouverte – otwarte stoły: liczni przyjaciele i znajomi mogli się u nich pojawiać bez zapowiedzi w porze przeznaczonej na posiłki".

Historycy obyczajów podkreślają, że także dawne polskie domy, w których przyjmowano gości, celebrowały sztukę rozmowy ze szczególnym pietyzmem. Rozmowa była ważniejsza niż wystawność stołu, wspaniałość sreber, tańce, polowania i kuligi. Była esencją polskiej gościnności. W czasach Mickiewicza Polaków rozpoznawało się we Francji właśnie po ich „pańskim" sposobie bycia – niezależnie od ich pozycji majątkowej – czyli po naturalnej wytworności obejścia. Jej przedmiotem stawał się także partner konwersacji przy stole. Stary Wojski z „Pana Tadeusza" całym sobą odczuwał głęboki nietakt towarzyski, gdy milcząco delektowano się potrawami podczas uczty w Zamku i „uważając, że tak wszyscy milczą, / Nazwał tę wieczerzę nie polską, a wilczą". Powtarzał też: „Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć".

Żeby w pełni docenić wartość trzech uzupełniających się składników przyjęcia w rodzinnym domu, konwersacji, starannie nakrytego stołu i posiłku, trzeba być katolikiem, zaznacza Jean de Goyard, „ponieważ bez łaski to otwarcie duszy na kurtuazję, na grzeczność, gościnność, życzliwość, nie trwałoby długo. Te cechy mają źródło w miłosierdziu i w katolickim podejściu do miłosierdzia; mają źródło w miłości Boga. W miarę jak rozpanoszyło się ateistyczne oświecenie i naturalizm, uroki dawnego życia zastąpione zostały głównie przez czysto zewnętrzny sposób przyjmowania gości i powoli przestały odpowiadać na odruch serca i duszy".

Okiem licealisty

„Francuzi jawią się nam zazwyczaj jako ludzie beztroscy, nieco lekkomyślni, poza tym świetnie znający się na kuchni i dobrym winie, a także wielce szykowni", pisał na początku XXI wieku mój syn, uczeń francuskiej szkoły katolickiej (jednej z tych tradycyjnych), w liście do domu. „Taki obraz Francuzów wyłania się z filmów i powieści i jest on w dużej mierze prawdziwy. Ale jest to zarazem naród bardzo rodzinny. Nie wyrzekli się rodzinnych obyczajów pod presją nowoczesnego świata. Miałem ostatnio okazję przyjrzeć się kilku rodzinom moich kolegów. Byłem zbudowany, bo każdego wieczora odmawiano tu różaniec. Domownicy bez przynaglania odrywali się od zajęć. Buduje to silną więź w rodzinie – tego właśnie doświadczyłem w tych domach – i daje poczucie stałości, niezmienności. Również wspólny wieczorny posiłek tworzy tę więź. W domach, w których byłem, wieczór to nie jest czas, gdy wszyscy chcą oglądać telewizję czy sprawdzać nowości na tablecie. W pełni poświęca się ten czas bliskim, są wspólne żarty, nawet i piosenki. W rodzinie Maxa zostałem w czasie kolacji uraczony piosenkami marynarskimi w wykonaniu pana domu i jego najmłodszej córeczki. Byłem też na zaręczynach siostry mojego przyjaciela Jacquesa i uczestniczyłem w biesiadzie trwającej do wczesnych godzin porannych. Najpierw była Msza, w domu młoda para otrzymała od każdego z gości prezenty, a potem uczta, której główną atrakcją były toasty, żarty i anegdoty. Zaproszono mnie do udziału w tym święcie, choć rodzina ta znała mnie od niedawna. Uważali mnie za specjalnego gościa, bo jestem z Polski. Wszystkim gościom zaoferowano nocleg; cały dom oddano do ich dyspozycji. Nigdy dotąd nie spotkałem się z taką gościnnością".

Wieśniak zdradzony

Następnego dnia po uroczystej biesiadzie w Masywie Centralnym mieliśmy razem z naszymi nowymi przyjaciółmi iść na niedzielną Mszę. Nasi gospodarze byli jednak wyraźnie zakłopotani, a nawet skonsternowani. Tutejszy ksiądz dawał swoim sposobem życia najgorszy z możliwych przykładów. Przy ołtarzu w starym kamiennym kościele zobaczyłam opalonego, wysportowanego mężczyznę, który podczas ofiary Mszy rozdawał wszystkim wokół promienne uśmiechy.

eprasa.pl a536663907

François jest prawdziwym dżentelmenem. Jest dyskretny, uprzejmy, zapobiegliwie troskliwy wobec swoich gości. Gdy przemierzaliśmy prowincjonalne drogi centralnej Francji i zatrzymywaliśmy się w przydrożnych karczmach, on na dobry kwadrans znikał na zapleczu i omawiał ze znajomymi właścicielami szczegóły menu, dobór przystawek, i win i dopiero po tych ustaleniach podsuwał Teresie i mnie najlepsze propozycje dań. Choć ten dawny wojskowy, później kloszard, pochodził ze starej arystokracji, przypominał z wyglądu francuskiego rolnika. Siwa broda okalała okrągłą ogorzałą twarz. Nosił obszerne ubrania z grubych materiałów. Patrząc na jego z lekka wytartą kurtkę z granatowej wełny, szorstką od wilgoci, wysłużone, starannie podzelowane buty oraz dalekie od najnowszej mody rękawiczki, spostrzega się upodobanie do rzeczy ponadczasowych, wygodnych i „porządnych", których nie zmienia się co sezon, lecz przez lata dba o nie, wietrzy się je i łata, przyszywa guziki i wyczesuje mole.

Jean Raspail kreśląc w powieści „Pierścień Rybaka" hipotetyczne dzieje ostatnich papieży z linii awiniońskiej, osnuwa historię jednego z nich na tle pejzażu zdegradowanego dziś, a niegdyś najpotężniejszego rolniczego mocarstwa Europy, jakim obok Polski była Francja. Jego bohater, który przemierza kraj pieszo, „zostawiając po sobie ślad widoczny tylko z Góry", spiesząc ku Rzymowi, by dać Głowie Kościoła, „zagrożonego przez dwie sprzysiężone siły", specjalne ostrzeżenie, przypomina, wypisz-wymaluj, mojego znajomego z Paryża. Obaj są w typie ludzi, jakich wielu jeszcze przed paroma dziesiątkami lat kręciło się po drogach Francji, najmując się do pracy sezonowej w kwitnących, drobnych gospodarstwach i winnicach. „Ziemia zdradzała wieśniaków, którzy umierali, nie pozostawiając następców i zabierając pamięć do grobu. Stodoły i szałasy pasterskie [...] pozawalały się, a gdy nawet się zdarzało, że jakiś dom znowu ożywał – to już za sprawą obcych przybyszów, ignorantów bez duszy i przeszłości. Zamykały się ostatnie oberże, gdzie na piecu, w rogu, zawsze stała gęsta, dymiąca zupa dla sezonowych robotników" – opisuje Jean Raspail rzeczywistość spustoszonej wsi francuskiej. Znamienne są losy miasteczka Senez w Górnej Prowansji: „Życie tam jakby zamarło [...]. Z dwóch tysięcy mieszkańców pozostało stu dwudziestu jeden. Tylko w centrum miasteczka zachowało się jeszcze około czterdziestu domów. Reszta zrównała się z ziemią; mała Pompeja, choć obeszło się bez wulkanu, nie był potrzebny żaden wybuch, żadne strumienie lawy. Wystarczyła planowa zagłada świata rolniczego. Od zakończenia wojny Senez straciło pocztę, kilka kawiarni, biuro notarialne, prawie wszystkich gospodarzy (z wyjątkiem jednego), warsztaty rzemieślnicze, probostwo, posterunek żandarmerii" – wylicza pisarz, przytaczając jedną z setek autentycznych historii miejsc, których już prawie nie ma, bo przestano tam uprawiać ziemię, zgodnie z odwiecznymi regułami rzemiosła i sztuki rolniczej.

Szaty Dom Gerarda

Benedykt XVI w czasie swej podróży do Francji sprawował Mszę w szatach należących do zmarłego kilkanaście lat temu opata klasztoru w Le Barroux, Dom Gerarda Calvet. Kim był ten benedyktyn? Jego biografia powinna wejść na stałe do historii posoborowych przemian Kościoła. Trzydzieści lat po wstąpieniu do benedyktynów, w 1970 roku, zmuszony był opuścić swą „radykalnie uwspółcześniającą się i laicyzującą wspólnotę monastyczną", jak ostrożnie to kiedyś określono. Wybrał samotność, by nadal żyć według reguły benedyktyńskiej; modlić się w ciszy, odprawiać tradycyjną Mszę i pracować. Jak to wyglądało w praktyce? Trzeba sobie wyobrazić krajobraz południa Francji, z miasteczkami rozrzuconymi wśród wzgórz pokrytych winnicami, a na ich obrzeżach ruiny niegdyś kwitnących klasztorów i kościołów, których wnętrza ogołocono ze wszystkich posągów i obrazów świętych, gdzie dziś nie stawia się kwiatów, nie zapala świec i nikt od dawna nie słyszał dzwonów. Dom Gerard zamieszkał w Bedoin, w ruinach klasztoru przylegającego do opuszczonej romańskiej kaplicy św. Marii Magdaleny. Zamieszkać w ruinach mógł tylko mistyk lub człowiek chory. Chory, a więc niebezpieczny. Tak uważało wielu, także w Kościele. Istotnie, „choroba" francuskiego benedyktyna zaczęła się niebezpiecznie szerzyć. Już po kilku dniach w ruinach rozlegały się donośne echa kroków jego współbrata, dwudziestoletniego Dominique, dla którego esencją życia zakonnego była wierność regule św. Benedykta. Po paru latach w klasztorze, którego celami były teraz przyczepy campingowe, mieszkało już jedenastu mnichów. Wierność regule stała się jednak „winą" i aktem oskarżenia. Klasztor został zamknięty. W 1978 roku Dom Gerard Calvet w sąsiednim Le Barroux, rozpoczął budowę nowego klasztoru, którego architekturę sam obmyślił, inspirując się romańskimi świątyniami Francji. Jak zwykle bywa w takich przypadkach, gdy nie ma nic poza modlitwą i własną świętością oraz gotowością do pracy, środki znalazły się bardzo szybko. Niezbyt bogaci i zupełnie niewpływowi ludzie potrafią być hojni. I znów – niczym w powieści quasi-kryminalnej, gdzie ściganym jest bosonogi zakonnik w brązowym habicie, policjantami – ci, którzy dbają, by Kościół „nadążał za duchem czasu" – władze diecezji awiniońskiej próbowały zablokować sprzedaż ziemi pod budowę opactwa. Nieoczekiwanie figla spłatał socjalistyczny mer miasta, zadowolony, że swoim upartym „non" dla blokady może pomieszać szyki biskupowi. Klasztor w Le Barrroux został w 1989 roku opactwem podlegającym bezpośrednio papieżowi, zaś sam Dom Gerard pierwszym opa-

eprasa.pl a536663907

tem klasztoru św. Marii Magdaleny (godność otrzymał od Jana Pawła II). Dziś Le Barroux jest jednym z najbardziej obleganych miejsc odnowy religijnej Francji, ośrodkiem naukowym i wydawniczym. Rekolekcje przed konklawe odprawiał tu kardynał Ratzinger. Benedyktyni modlą się tu tak, jak modlili się przed wiekami, i pracują tak jak niegdyś – przy uprawie winorośli, wytwarzaniu serów. Nie zajmują się handlem, restauratorstwem ani nie pozwalają, by miejsca służące modlitwie były traktowane jak atrakcja turystyczna. Miłość do dawnej liturgii łączyła Dom Gerarda z Josephem Ratzingerem, wielokrotnym gościem klasztoru św. Marii Magdaleny. Benedykt XVI zachęcający do otwarcia się duchowieństwa wobec dawnych form liturgicznych, zwłaszcza zaś do większej czci dla Najświętszego Sakramentu – zapewne wielokrotnie powtarzał sobie słowa opata: „O, liturgio – czuła i godna szacunku. Łagodnie obejmujesz biedne ludzkie ciało utworzone z błota, a przeznaczone dla światłości. Kościół katolicki, matka i nauczycielka, wie lepiej od człowieka, jaka jest jego prawdziwa natura, skąd pochodzi i dokąd zdąża".

Szaty Dom Gerarda nałożone przez Ojca Świętego we Francji to subtelny gest zwracający nas ku rozumieniu świętej liturgii, ku pełniejszemu odczytaniu jej bogactwa. Nie sposób ukryć, że odrodzenie Kościoła, odrodzenie w duchu powrotu do Tradycji katolickiej zaczęło się we Francji.

Arcybiskup

Tym, który wspierał Dom Geralda w czasie jego samotnej walki, był słynny arcybiskup Marcel Lefebvre; był tego świadom kardynał Ratzinger, który będąc w wielu sprawach antagonistą Arcybiskupa, zarazem po cichu pozostawał jego opiekunem i protektorem w Watykanie, zwłaszcza w latach 80. To Marcel Lefebvre udzielał święceń kolejnym benedyktynom Tradycji, gdy biskup diecezjalny w Avinionie miał dla nich jedynie słowa potępienia. O popularności Arcybiskupa we Francji, datującej się już od początku lat 70. – gdy stał się założycielem międzynarodowego seminarium w szwajcarskiej wiosce Écône, formującego i kształcącego kapłanów w duchu katolickiej Tradycji, określanego przez francuskich biskupów mianem „dzikiego", i twórcą Bractwa św. Piusa X – świadczy list premiera Jacquesa Chiraca, pełen wykwintnej, rzadko dziś spotykanej w publicznych wypowiedziach, uprzejmości. Arcybiskup był już wówczas zasuspendowany – po wyświęceniu w Écône pierwszej grupy księży i po bezkompromisowej krytyce, jakiej poddał Nową Mszę, Novus Ordo Missae (prosząc wcześniej bezskutecznie Pawła VI, by zezwolił na swobodne odprawianie Mszy tradycyjnej, trydenckiej). Premier Francji zaniepokojony rosnącym aplauzem jego rodaków dla Arcybiskupa, popieraniem go w środowiskach literackich, artystycznych i akademickich, próbował zaradzić podziałom, widząc w nich zagrożenie przy kolejnych wyborach. Obawiając się konfliktu z Watykanem, pisał nie tylko z kurtuazją, atencją, lecz także z wyraźną troską: „Chrześcijańska Francja, na mocy pradawnego przywileju ciesząca się mianem najstarszej córki Kościoła, w przeszłości potrafiła dać dowody swego niezmiennego przywiązania do następcy św. Piotra. [...] Ufamy, że geniusz Ekscelencji umożliwi znalezienie słów pojednania. Jakże piękny będzie to przykład ze strony Księdza Arcybiskupa, w czasach, gdy wierność jest bez ustanku wyszydzana, a prawdziwa miłość w tak tragiczny sposób okaleczana. Walka Waszej Ekscelencji na rzecz wiary i Kościoła zyska w ten sposób znamię autentyczności, których źródłem jest absolutna prawość w postępowaniu i zgoda na poświęcenie".

Głęboko na prowincji

Gdy mój syn uczęszczał jeszcze do szkoły w Polsce (katolickiej), uczniowie, którzy się garbili, słyszeli nieraz połajankę od jednego z nauczycieli: „Nie garb się, bo wyglądasz jak małpa!". W szkole francuskiej syn usłyszał pewnego razu pytanie od nauczyciela W-F, emerytowanego kaprala armii, pana Poireau: „Joseph! Dlaczego nie jesteś dumny, że jesteś Polakiem?" „Co! Ja nie jestem dumny?!...". „To dlaczego się garbisz?". Zaś jego nauczyciel francuskiego, który opracował dla tego jedynego w szkole Polaka indywidualny program nauki, omawiał z nim na lekcjach tematy zaczerpnięte z polskiej historii i kultury, których był znawcą: sylwetki twórców lwowskiej szkoły matematyki, nieznane epizody z życia Tadeusza Kościuszki, jakim człowiekiem był książę Józef Poniatowski... – i wiele innych. Uczył się też polskiego, polskie książki i albumy z fotografiami naszych zabytków były w jego bibliotece szczególnie wyeksponowane.

To zapewne nie przypadek, że szkoła znajdowała się daleko od Paryża, na terenie prowincji, którą władał w XVIII wieku, w drugiej połowie życia król polski Stanisław Leszczyński (księstwo Lotaryngii), ojciec królowej Francji Marii, żony Ludwika XV. Do dziś Stanisław Leszczyński zwany jest w Lotaryngii „dobrym i mądrym władcą" i „królem filozofem". Pamięta się, że założył w Nancy uczelnię, że był na wielką skalę mecenasem sztuki i nauki, że rządził sprawiedliwie. Kościół, Notre-Dame de Bon Secours w Nancy, którego był fundatorem, został zniszczony podczas rewolucji francuskiej, a szczątki królewskie tego gorliwego katolika i obrońcy wiary dwukrotnie sprofanowano. Dziś, gdy słyszymy słowa Erica Zemmoura, który mówiąc o konieczności „odbicia" Francji z rąk liberałów i spod dyktatu Komisji Europejskiej, powołuje się tyle razy na przykład Polski, mimo woli przypominają się słowa

eprasa.pl a536663907

Tymona Terleckiego z 1940 roku (po rozejmie z Niemcami): „Mimo wszystko jestem frankofilem". „W tym »mimo wszystko« obok racji europejskiej zawiera się osobna racja polska. To, co zaszło w czerwcu, nie przekreśla pamięci zbiorowej, w której polskie jest francuskie i francuskie jest polskie [...], my i oni jesteśmy skazani na siebie, jak jest się skazanym na miłość i nienawiść. Od stuleci nie możemy uciec od nienawiści germańskiego plemienia, drapieżnego i nikczemnego. Nie możemy uchylić się od miłości, jakakolwiek była, chłodna, intelektualna, jak w mózgach dyplomatów: Jeana de Montluca, Colberta, Vergenessa, Choiseula, gorąca i patetyczna, jak w słowach Montalemberta: »Bądź pozdrowiona droga i szlachetna Polsko, Niobe narodów«, jak w wierszach Victora Hugo, Alfreda de Vigny`ego, Bérangera i Delavigne`a. I to nazwanie »druga ojczyzna« wyszło z ust Francuzów". „Zawsze walczyliśmy wspólnie, nigdy przeciwko sobie" – dodaje ten emigracyjny pisarz i historyk literatury. „Nie da się zmienić tego porządku i tego przymusu: droga do wolnej Polski prowadzi przez wolną Francję, przez nasze na niej cmentarze i nasze pobojowiska".

Pod niebem Paryża

Nietrudno zauważyć – tak dziś, jak i wówczas, gdy odwiedzałam to miasto – Paryżanie żyją na ulicy – i z ulicy. Tu szukają szczęścia. Na ulicy, po której przesuwają się setki tysięcy osób pragnących zanurzyć się właśnie w tę atmosferę, wtopić się w scenerię przyćmionych lamp, okrągłych stolików i wyplatanych krzesełek pod parasolami. Te wszystkie „Złote Butelki", „Aksamitne Otomany", „Szmaragdowe Papugi", „Purpurowe Wachlarze", „Komody Babuni", „Skrzypiące Schodki" i wraz z nimi setki rekwizytów wplecionych w owalne stylizowane szyldy kafejek, przytulnych restauracji i bistro [...]. Czarują umiejętnie tym, co kiedyś znaleźć można było w domach rodzinnych. Dziś domy te zostały jakby pocięte na kawałki i rozrzucone po ulicach Paryża. Kawiarnie, niczym makiety w studio filmowym, wabią stylowymi dekoracjami, obfitymi kwiatami zwisającymi ze skrzynek na parapetach aż na chodnik. Ma tu wszędzie pachnieć i szeleścić jak w tajemniczym ogrodzie. Ktoś gra na skrzypcach, gdzieś sączy się delikatny dźwięk pianina. Francuzi to artyści, mistrzowie nastrojów. Dekoratorzy próbują odtworzyć epokę, w której istniały jeszcze prawdziwe domy. Wnętrza pełne drobiazgów, rodzinnych fotografii – nie trzeba było szukać ich namiastki na ulicznym targowisku. Ktoś czekał tu zawsze z obiadem, na środku jadalni stał stół nakryty obrusem i w żadnym kącie nie straszył ołtarz z telewizorem. Ludzie z kawiarni Paryża przypominają duże dzieci, które utraciły dom. Pachną samotnością. Tęsknią za nim i są gotowe płacić – kartą czy gotówką – za złudzenie odzyskania go choćby na chwilę.

Ale w Paryżu można też wejść do kaplicy Sainte-Chapelle, miniatury średniowiecznej katedry z XIII wieku, z witrażami wysokimi na dwie kondygnacje. To arcydzieło gotyku wzniósł Ludwik IX, król Francji (panujący w latach 1226–1270), przyszły Święty Ludwik – żeby móc upaść na twarz przed relikwiami Krzyża Świętego i Koroną Cierniową Chrystusa sprowadzonymi z Ziemi Świętej. Relikwie wykupił za cenę trzykrotnie przewyższającą koszt wzniesienia Sainte-Chapelle. W czasie Rewolucji zdołano je ukryć, nie podzieliły losu innych relikwii i przedmiotów kultu z francuskich katedr – zbezczeszczonych, ogołoconych, sprofanowanych. Okradziono też Sainte-Chapelle. Sam złoty relikwiarz, w którym złożona była Korona Cierniowa i fragment Krzyża Świętego, został wówczas stopiony. Miało nie być śladu po kulcie dawnego władcy Francji. Ocalone relikwie przechowywano w skarbcu katedry Notre-Dame aż do dnia jej pożaru.

Sainte-Chapelle ukryta jest skutecznie za banalnymi murami Pałacu Sprawiedliwości i jego przyległości; na frontonie pałacu widnieje dumne: Liberté, Egalité, Fraternité. Nieopodal tego gmachu, na murku okalającym fontannę leżał pewnego jesiennego dnia François przykryty gazetą, gdy podeszła do niego objuczona torbami Antonina i zapytała dziwną francuszczyzną z polskim akcentem, czy jadł już śniadanie i czy nie jest głodny.

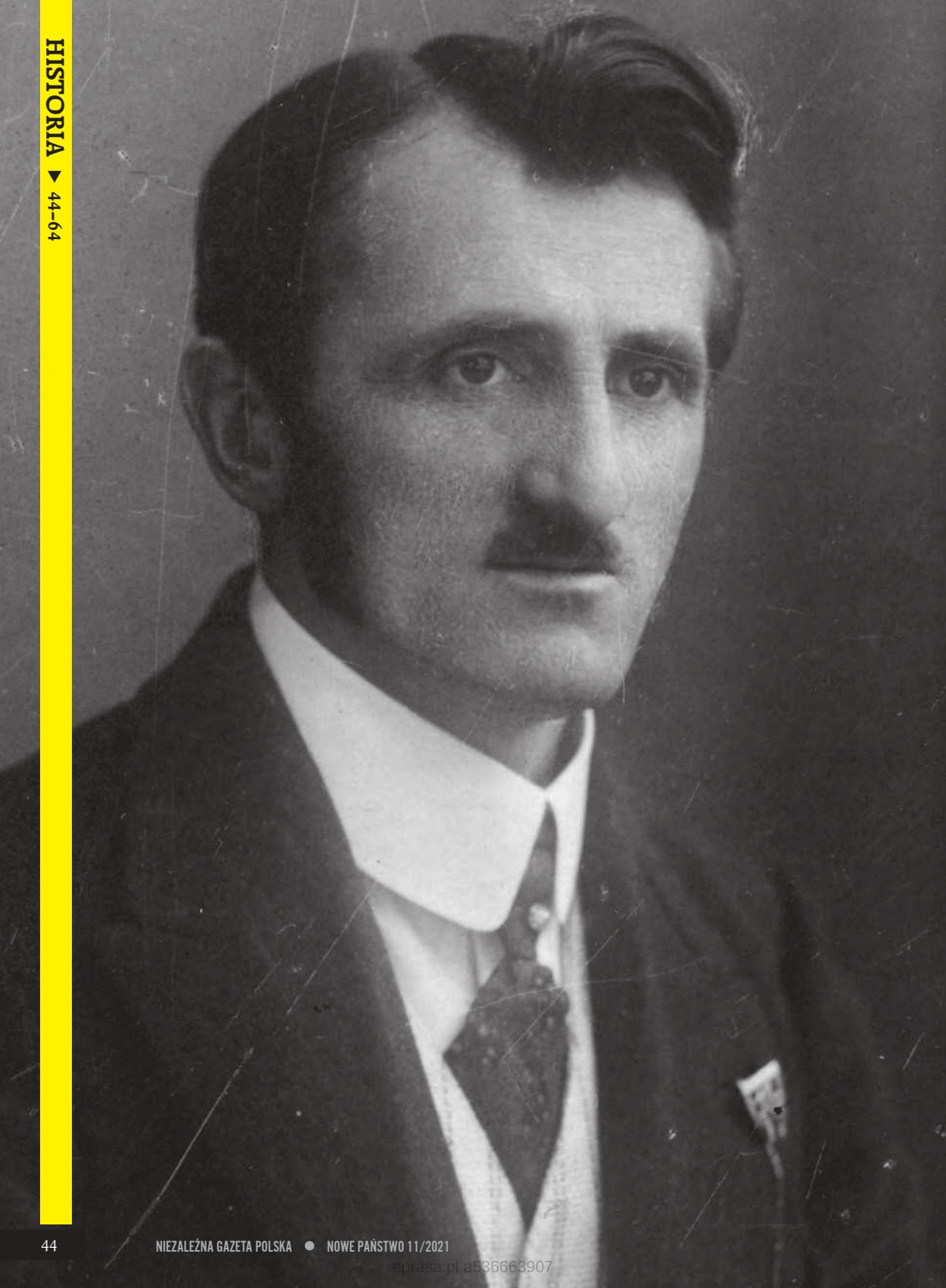
W państwach, gdzie przetrwały rodzinne domy, w których ocalały jeszcze stoły, uchowały się dobre obyczaje, nie będzie potrzeby manifestowania czegokolwiek na ulicy. Wśród krzyków, żądań i wznoszonych pięści. Podmieniając dom na kawiarnię, królestwo matki na królestwo boginki (intelektualistki, kobiety z barykad), świętość rodziny na blichtr wielkiego miasta, barbarzyńca wykonał pierwszy krok.

Tymon Terlecki w 1940 roku wyznawał: „Żałuję ledwo tkniętego ogniem Paryża bardziej niż czarnych rumowisk Warszawy. Bo nad nim, który był miastem światła, trwa ciemność, bo nad nią, jedyną z wszystkich miast Europy, świeci aureola".

„Nie znam narodu", dodawał jednak, „w którym by współistniał w takim samym natężeniu i w takiej harmonii talent do szczęścia i talent do wielkości [...]. Są we Francji siły odwieczne i niezmożone. Jest katolicyzm, nieprzejednanie antytotalistyczny, od mgra Baudrillarta i Maritaina aż do naiwnych daudetowskich proboszczów z Cucugnan. Jest instynkt wolności. Jest gallicki duch konstrukcji, ten, z którego na Isle de France narodził się gotyk. Duch, który budował, nie burzył".

Tak, może i dlatego właśnie ciemność nad Paryżem zdaje się dziś – w przededniu wyborów – ustępować, wobec kompromitacji naiwnego mitu o wspólnocie europejskiej bez Boga. ■

eprasa.pl a536663907



eprasa.pl a536663907



Gdy Armia Czerwona wkroczyła do Lwowa, rozochoceni czerwonoarmiści dla zabawy postanowili potrącić jadącego rowerem 60-latka. Starszy pan upadł tak pechowo, że stracił przytomność i do szpitala zabrało go pogotowie. Lekarze przez kilka nocy walczyli o jego życie. Rowerzysta nie miał żadnych dokumentów, nie mogli więc zawiadomić jego rodziny. Dopiero gdy chory odzyskał przytomność, okazało się, że jest to prof. Rudolf Wacek, pisarz, nauczyciel, dziennikarz sportowy i przede wszystkim wieloletni prezes Pogoni Lwów. Organizm profesora okazał się silny i jak na jednego z najważniejszych propagatorów sportu w Polsce przystało, wylizał się z ran. Ale swój Lwów stracić miał niebawem bezpowrotnie.



Piotr Lisiewicz

Rycerskość, czyli cecha zwykłych Polaków

FOT. NAC

eprasa.pl a536663907

Wiele w Polsce mamy drużyn,
Każda inny kolor ma.
Czarną farbę lubi Murzyn,
Mnie nie nęci barwa ta.
Kolor czysty i bez kreski
To jest serc gorących znak,
Nasz czerwono jest niebieski.
Tak jak niebo i jak mak.
Przecudny tak Pogoni znak

– głosił hymn Pogoni Lwów, napisany przez znanego poetę ze Lwowa Henryka Zbierzchowskiego. Gdy prezesem Pogoni był prof. Rudolf Wacek aż cztery razy zdobywała ona mistrzostwo Polski.

Ile Wacław Kuchar pożarł kur?

„To był ukochany klub Rudolfa Wacka, któremu poświęcał cały wolny czas. Przed meczami rozdawał uczniom kolorowe plakaty zapraszające na niedzielny mecz. Kto mieszkał obok dużego sklepu, miał obowiązek umieścić afisz w witrynie, w dobrze widocznym miejscu" – piszą w artykule „Kolarz ze stali, który przechytrzył Niemców" Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik.

W Księdze pamiątkowej Pogoni Lwów odnalazły one wpis profesora: „Z historii sportu wynika, że Pogoń była tym kamyczkiem, który poruszył lawinę. Organizując się w latach 1907–1908 jako pierwszy samoistny klub Polski całej z zakresu piłki nożnej i lekkiej atletyki, o własnym statucie i boisku, przykładem naszym wyzwoliliśmy siły drzemiące w ówczesnym pokoleniu młodzieży małopolskiej. Zrobiliśmy to, czego potrzebę inni może podświadomie, a nawet świadomie odczuwali, lecz nie objawiali czynem. Za naszym przykładem poszedł Kraków".

W swojej książce „Wspomnienia sportowe" Wacek opisywał, że jego zaangażowanie w klub miało bardzo praktyczny wymiar. Dbać musiał nawet o dietę zawodników: „Jadąc z wami do Warszawy i obowiązany do dania wieczerzy, zapowiedziałem, iż wolno zjeść – »pieczone kurczę, herbatę – no i do łóżka, by jutro Polonia nie sprawiła wam batów«. A gdy przyszło do płacenia, kelner daje mi rachunek za 15 kur! Pozieleniałem... Skąd te cztery? – A to ten suchy pan, z tym kosmykiem włosów na czole, zjadł pięć... – mówi płatniczy".

Jak się okazało, sprawcą zbrodni był Wacław Kuchar, jeden z najlepszych piłkarzy w historii polskiej piłki nożnej. W odpowiedzi na pytanie: „Rozumie się, to ty byłeś tym kurożercą?!", odparł on zwięźle: „Kiedy one takie małe były. No, mikre".

Las – przybytek oddzielający przestrzeń od czasu

Rudolf Wacek urodził się 9 maja 1883 roku w Witkowie Starym koło Lwowa. Był synem czeskiego leśniczego Jana Wacka oraz polskiej szlachcianki Bronisławy Dąbrowskiej. Miał dwóch młodszych braci. W książce „Darz Bór. Wspomnienia myśliwskie" odnajdujemy taką oto migawkę z jego dzieciństwa: „Ojciec mój był leśniczym w dobrach radziechowskich. Leśniczówka nasza, otoczona rzędem gospodarskich zabudowań, stała samotnie wewnątrz lasu; obok biegł gościniec ceglany ze stacji kolejowej Krasne-Busk do Toporowa, małego miasteczka, leżącego wśród błot i piasków, otoczonego borami sosnowymi i dębowymi. Przed kolegami mymi chełpiłem się nieraz, iż mieszkam w okolicy miasteczka, które uwiecznił w swej Trylogii Sienkiewicz".

Las przez całe życie pozostanie ważny dla Rudolfa Wacka, z zamiłowania myśliwego. O tym, jak poznawał las w dzieciństwie, napisze: „O lesie ty mój ojczysty! Ileż winienem ci wrażeń, ileż dumań, ileż chwil prześnionych na twej zielonej, nieskalanej murawie – z oczyma dziecka, utkwionymi w błękit letniego nieba, ileż poznania i ukochania naszej przyrody, ileż zdrowia wchłanianego z twą żywiczną wonią!". Inżynier W. Krawczyński we wstępie do książki Wacka „Darz Bór" tak wyłoży jego myślenie o lesie: „jest on odbłyskiem czegoś wiecznego i jest przybytkiem oddzielającym przestrzeń od czasu, dzięki czemu daje zapomnienie o wszelkich troskach i zmartwieniach. Kto przebywa w lesie, a umie patrzeć i słuchać, widzi i stwierdza, że tu i tylko tu panuje odwieczna, pierwotna, idealna symfonia pożycia społecznego bez fałszu i obłudy, bez zawiści i światowej gorączki życia".

Jego zdaniem postawa Wacka wyrastała w polskiej tradycji: „Rycerskość była zawsze charakterystyczną cechą plemienia polskiego. Myślistwo stanowiło rys uzupełniający. Znajomość rycerskiej i myśliwskiej sztuki nabywano od wczesnej młodości. Koń i szabelka – to ziszczenie marzeń u jednych chłopaków, – łuk, proca, a później strzelba ze zbrojowni ojca chyłkiem wyciągnięta – to etapowy oręż w ręku tych młodzieńców, u których już w zaraniu życia poczyna pulsować tzw. żyłka myśliwska".

Krawczyński wskazywał jasno, kto według wizji prof. Rudolfa Wacka jest myśliwym bez zasad: „Kto zamierza polować dla snobizmu albo dla rekordowych pokotów, ten sprawie łowieckiej źle służy, a często ośmiesza sam siebie. Bo myślistwo – to akcja bardziej osobliwa, stanowiąca misterną symbio-

eprasa.pl a536663907

zę pomiędzy duchowymi przejawami myśliwego w przewspaniałą areną przyrody, na której myśliwy swe harce odprawia".

Godność noszenie barw klubowych, czyli tak to się zaczęło

Rudolf ukończył gimnazjum i zdał maturę w Tarnopolu. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", był pojętnym i pilnym uczniem, dostawał dobre oceny, tylko zachowanie miał... nieodpowiednie: „Wszystko przez ogromny temperament i zamiłowanie do wszelkich źle widzianych wówczas sportów. Rudolf wiele razy musiał zostawać po lekcjach w kozie – za saneczkowanie, za ustawiczną grę w kiczkę i (pokrewną) w palanta, pływanie w rzece i łapanie raków. Na ślizgawce spędzał tyle czasu, że w końcu jego sprawa stanęła na szkolnej radzie".

Grono pedagogiczne orzekło wówczas, że „to jeżdżenie na łyżwach tych kawalerów z pannami, to rzecz stanowczo niemoralna, niezdrowa i fatalny przykład dla młodszych". A woźny, zamykający co rusz przyszłego wybitnego pedagoga w kozie lamentował: „Jaki diabeł tobą tłucze?".

Pierwszy mecz za ziemiach polskich

Gdy miał 11 lat, Rudolf był świadkiem historycznego wydarzenia: pierwszego na polskich ziemiach meczu piłki nożnej. 14 lipca 1894 roku w czasie zjazdu Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" zmierzyły się reprezentacje gniazd sokolich z Krakowa i ze Lwowa. Obserwując dziwaczne zawody, kilka tysięcy widzów zgromadzonych na boisku w lwowskim Parku Stryjskim zanosiło się śmiechem. „Władze sokole nie traktowały tego na serio, widzowie zupełnie na grze się nie znali, a sami gracze mieli pojęcie tylko o tym, iż za wszelką cenę trzeba piłkę strzelić między chorągiewki i przeciwnika" – wspominał po wielu latach Rudolf Wacek we „Wspomnieniach sportowych".

Od 1902 roku studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego o specjalności historii i geografii pod opieką naukową prof. Ludwika Finkela i prof. Bronisława Dembińskiego. Studia ukończył w 1906 roku. Jak dowodzą archiwalne dokumenty, Reskryptem C.K. Ministra Wyznań i Oświecenia z 29 stycznia 1907 roku jako kandydat stanu nauczycielskiego został mianowany zastępcą nauczyciela w C.K. Gimnazjum w Krakowie-Podgórzu, gdzie uczyć miał języka łacińskiego, języka polskiego, geografii, i historii.

We „Wspomnieniach sportowych" napisze: „Zaczynałem mą pracę nauczycielską w roku 1906 – właśnie w Krakowie. Znałem tych pierwszych, młodych chłopców, których słońce i słoty, wichry i zimna, przemieniły w silnych młodzieńców, którzy odczuwali godność noszonych barw klubowych i poczucie odpowiedzialności. Zrozumiała ta młodzież, że to co w nich tkwi, jest zarodkiem większego dzieła, fundamentem sportu krakowskiego, przykładem dla sportu polskiego".

Także w Krakowie wojna nie była łatwym czasem dla polskich klubów. Jak wspominał Wacek, gdy chodzi o Cracovię, to wojska austriackie w czasie I wojny zdewastowały boisko i rozebrały trybunę.

Rwał się do pedałów

Jako nauczyciel zachęcał uczniów do sportu, a to nie było wówczas dobrze oceniane. Organizował wycieczki rowerowe. Stworzył Koło Cyklistów Młodzieży Szkół Średnich, pierwszą szkolną organizację sportową. „Nie było to wtedy mile widziane – gry i zabawy ruchowe uważano za stratę czasu, przejaw lenistwa i bumelanctwa" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej". Wśród kadry pedagogicznej pojawiały się opinie, że prof. Wacek „uczy młodzież włóczęgi i wyciąga z miasta, odciąga od nauki i ją demoralizuje". „Nie zapominaj pan, że jesteś pedagogiem" – słyszał. Także gazety nie podchodziły przychylnie do takiej postawy.

Rowerowe wyprawy organizowane przez Rudolfa Wacka opisują szczegółowo Stokłosa i Wójcik. I dziś ich opisy robią wrażenie, a co dopiero ponad stulecie temu, gdy rowery wyglądały zupełnie inaczej niż dziś... Jak piszą, swoją pierwszą długą wycieczkę rowerową, liczącą 120 kilometrów, Wacek odbył jeszcze w gimnazjum. Trasę Toporów – Busk – Gliniany – Złoczów – Podkamień – Ożydów – Toporów przejechał w ciągu jednego dnia, choć droga była piaszczysta i błotnista, przerywana przez rzeczny nurt.

Na studiach, w 1904 roku, przejechał 600 kilometrów ze Lwowa do Budapesztu w pięć dni. Po wijących się serpentynach, oglądając przepiękne widoki. „Nogi rwały się do pedałów, dusza w świat szeroki, nieznany, kryjący w sobie tyle pięknych uroków" – wspominał. W 1911 roku okrążył Tatry od południa i północy, począwszy od Zakopanego i Morskiego Oka. Jeździł wówczas jednobiegowym rowerem marki Puch. Później objechał Karpaty Wschodnie i Zachodnie. Potem było wiele tras międzynarodowych. Miesięczna podróż na Bałkany, przejażdżki po Szwajcarii, Francji, Włoszech, Austrii, a nawet Hiszpanii.

eprasa.pl a536663907

Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", w 1914 roku nieoficjalny klub kolarski mający siedzibę sławnej w Kawiarni Szkockiej we Lwowie szykował największą wyprawę europejską, przez Paryż i Wyspy Brytyjskie aż do Skandynawii. Trasa miała liczyć 4 tys. kilometrów. Zaplanowano 35 dni na jazdę i 25 na zwiedzanie, kolarzy obowiązywały identyczne stroje z szarego płótna oraz biała czapka z czerwonym otokiem i skórzanym daszkiem. Na piersi – obowiązkowa wstążka z patriotycznym napisem „Excursion polonaise".

Te wyprawy to była bowiem także działalność patriotyczna. „Podróże kolarskie po Europie, Skandynawii i Anglii przypominały tamtym mieszkańcom o Polsce, że jeszcze żyje... Ta propaganda była tak potrzebna w tych czasach, kiedy Polska zniknęła z mapy Europy" – opowiadała bratanica Wacka.

Szczepko z Wesołej Lwowskiej Fali uratowany!

To nie była łatwa młodość. Gdy Rudolf miał 22 lata, zmarł jego ojciec. Mama została sama z 10-letnim synem Kazimierzem, któremu Rudolf próbował zastąpić ojca. W 1913 roku Wacek wrócił do Lwowa, by objąć posadę nauczyciela w II Szkole Realnej. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", nie cieszyła się ona wtedy dobrą sławą: trafiały tam wszystkie „lwowskie batiary", wydalone z innych szkół za złe zachowanie.

Ale absolwentem tejże szkoły był także słynny Szczepko z Wesołej Lwowskiej Fali, czyli Kazimierz Wajda, który wspominał po latach, że gdy było trzeba, to właśnie wychowankowie tej łobuzerskiej szkoły stanęli w pierwszych szeregach obrońców Lwowa.

Łobuz Szczepko wspominał prof. Rudolfa Wacka ze wzruszeniem. Było tak, że w pewnym momencie w szkole zakazano przebywania w klasach na przerwach. Został złapany w czasie łamania owego zakazu: „Aż raptem czuję na swoim karku kleszcze czyichś rąk, a jednocześnie ktoś mnie okłada laską. Nie zdążyłem krzyknąć, kiedy słyszę głos dyrektora: »A więc to jeden z tych...«. Krew we mnie zamarła". Wtedy Szczepka uratował jego nauczyciel Rudolf Wacek: „Nagle żelazna obręcz na mojej szyi zwalnia się i słyszę głos: »Nie panie dyrektorze, to ja z nim rozmawiam przed lekcją«".

„Profesor Wacek był najbardziej lubianym naszym wychowawcą. Był bardzo wyrozumiałym dla młodzieży, ale lubiący również dyscyplinę, porządek i nienawidzący niechlujstwa" – wspominał Lech S. Proczkowski.

Niemcy płacą za wsparcie Polski w referendum

W czasie wojny, pod rosyjską okupacją, Wacek uczył także w „tajnej szkole", zorganizowanej w listopadzie 1914 roku przez dr. Augusta Paszkudzkiego i dr. Bazylego Kalicuna. Po odzyskaniu niepodległości Wacek został profesorem w owej jawnej już szkole, początkowo funkcjonującej pod nazwą Państwowa Szkoła Realna im. Jana i Andrzeja Śniadeckich we Lwowie, a następnie jako XI Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Jana i Andrzeja Śniadeckich we Lwowie.

W czasie referendum dotyczącego polskości Śląska piłkarskie kontakty polsko-niemieckie zostały zarzucone. „Prędzej mi włosy na dłoni urosną, zanim ci się uda zagrać z niemiecką drużyną" – usłyszał Rudolf Wacek na chwilę przed wyjazdem ze Lwowa na Górny Śląsk. To, by Polacy wygrali z Niemcami, wydawało się niewykonalne.

Wacek postanowił przerwać tę sytuację. „Udał się na kolację do jednej z tutejszych restauracji, lubianej przez niemieckich sportowców z klubu 09 Beuthen... Zachowywał się swobodnie i wtrącał do rozmowy kwestie, które świadczyły o dużej wiedzy i obyciu w sporcie. Niby mimochodem napomknął, że »właśnie jedzie ze swoją drużyną olimpijską ze Lwowa do Antwerpii«, a po drodze jego chłopcy rozegrają mecze w Katowicach, potem w Dreźnie, a w końcu może i we Frankfurcie nad Menem. Wrażenie było piorunujące – cios był dobrze wymierzony" – wspominał po latach.

„Znając psychę piłkarską, wiedziałem, iż ci nie ścierpią, by Diana katowicka grała z olimpijską drużyną, a oni – 09 Beuthen – unbesiegte Mannschaft, Meister von Oberschlesien5 – nie. Rybka haczyk połknęła" – pisał. Wykorzystując owe emocje tak poprowadził negocjacje, że szybko ustalił czas i miejsce meczów, a nawet... wysokość honorarium dla piłkarzy. Czyli za polską propagandę w czasie referendum zapłacili Niemcy.

Sportowiec polski to karny żołnierz

Po wojnie Wacek jako prezes Pogoni Lwów kierował się także odpowiedzialnością za cały polski sport. W lwowskim czasopiśmie „Placówka. Tygodnik wojskowy, społeczny, naukowy i literacki" znajdujemy taki oto apel prof. Rudolfa Wacka, z datą 5 maja 1919 roku: „W imię dobra najżywotniejszej sprawy – sportu polskiego mamy prawo domagać się powołania natychmiast do życia Związku Polskiego Piłki Nożnej i Lekkiej Atletyki z siedzibą w Warszawie. Do Związku tego powin-

eprasa.pl a536663907

ny należeć wszystkie kluby sportowe na ziemiach polskich i jego sądowi i wyrokom bezwzględnie się poddać. Wszelkie usiłowania zawiązania jakiegoś związku czy to w Poznaniu, czy we Lwowie, czy w Krakowie, muszą być uważane jako dążenia separatystyczne, dążenia pro domo sua, szkodzące tylko sportowi polskiemu, a ośmieszające nas wobec zagranicy".

Wacek powoływał się w tej kwestii także na dobro i siłę ojczyzny: „Nie zapominajmy, iż dobry sportowiec polski, to karny żołnierz, a takich nam trzeba. Tej koonsolidacyi sportowej domaga się kresowy sport polski, który przebył najcięższe czasy wojenne, poniósł i ponosi największe bo krwawe ofiary, sport, który nie zaznał nigdy dobra reklamacyi, sport, który w obronie Lwowa chlubnie się zapisał".

Odnosząc się do kwestii łowieckich, podkreślał, jakie myślistwo wspiera: „Kto zamierza polować dla snobizmu albo dla rekordowych pokotów, ten sprawie łowieckiej źle służy, a często ośmiesza sam siebie. Bo myślistwo – to akcja bardziej osobliwa, stanowiąca misterną symbiozę pomiędzy duchowymi przejawami myśliwego w przewspaniałą areną przyrody, na której myśliwy swe harce odprawia. Tu musi istnieć ścisły łącznik między nastrojem, wolą i myślą człowieka, a umiłowaniem kniei, pola czy wody – z jednej strony, – między znajomością sztuki łowieckiej, jej etyki i wartości, a sentymentem dla zwierza – z drugiej".

Jaka żywotność, jaki humor!

Jak wielu ówczesnych sportowców, Rudolf Wacek został również dziennikarzem. Najpierw podjął współpracę ze lwowskim dziennikiem „Słowo Polskie", do którego wysyłał korespondencje z Krakowa i Żywca, a potem pisał tam felietony z wycieczek kolarskich po kraju i Europie. Został kierownikiem referatu sportowego Polskiego Radia Lwów, a od 1932 do 1939 roku był sprawozdawcą sportowym Polskiego Radia. Publikował też na łamach pism „Wędrowiec" i „Ilustrowany Kurier Sportowy". Był także współzałożycielem Koła Dziennikarzy Sportowych we Lwowie w 1924 roku.

Występował także w słuchanej w całej Polsce lwowskiej rozgłośni, głównie za sprawą Wesołej Lwowskiej Fali. „Radioinformator" z 1939 roku pisał, iż „prof. Rudolf Wacek, inicjator ruchu sportowego we Lwowie, występuje przed mikrofonem z barwnymi felietonami na tematy sportowe i turystyczne".

„Jaka żywotność, jaki humor! To są dwa zasadnicze atuty prof. Wacka. Prowadząc swój referat reprezentuje wysoki autorytet sportowy. Sypie czasem prawdę w oczy przez mikrofon, nam skóra cierpnie – a on chodzi pogodny, uśmiechnięty, ze wszystkiego zadowolony" – mówił o tym Szczepko, czyli Kazimierz Wajda.

Po wybuchu II wojny światowej Wacek z rodziną przebywał we Lwowie. Brał udział w tajnym nauczania. Po wkroczeniu Niemców skutecznie ukrywał się, unikając aresztowania. Po wejściu Armii Czerwonej doszło do opisanych na początku wydarzeń.

Pochowajcie mnie w kniei zielonej

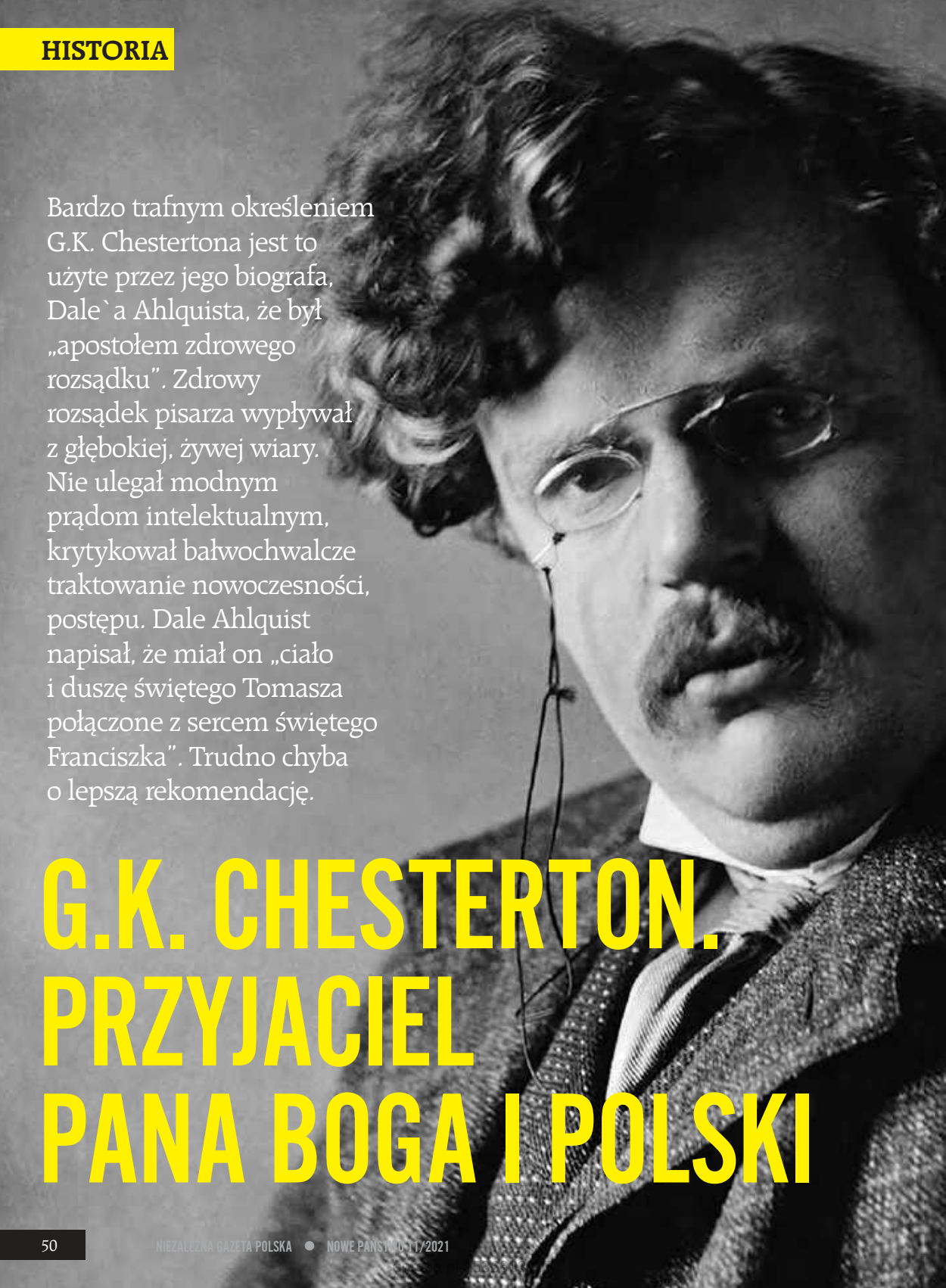
Niepodległa Polska przestała istnieć, a w granicach PRL nie znalazł się Lwów. Jak wielu lwowiaków, Wacek trafił do Bytomia. Gdzie powstał klub nawiązujący nieoficjalnie – bo jawnie nie można było – do tradycji Pogoni Lwów, czyli Polonia Bytom. Do Bytomia trafił także Wacław Kuchar. Antoni Wilgusiewicz na portalu Historykon.pl pisze: „Trzeba powiedzieć także, że w latach PRL, kiedy wspominanie Lwowa i Kresów było jeśli nie zakazane, to przynajmniej niemile widziane, zwłaszcza w sferze publicznej, mecze Polonii stanowiły swoiste »pole zastępcze« rozładowania przez osiedlonych na Śląsku kresowian, a potem także ich potomków, związanych z tym emocji. Na meczach i po nich spotykano dawnych kolegów, wymieniano wspomnienia o przedwojennych meczach i zawodnikach, wzdychano do dobrych czasów dawnego, polskiego Lwowa".

Wacek, który nigdy nie odzyskał już sprawności sprzed wypadku spowodowanego przez czerwonoarmistów, wspominał, że gdy 15 czerwca 1947 roku rozegrano mecz piłkarski oldboyów z Krakowa i Bytomia, „w barwach Bytomia wystąpili gracze repatrianci, dawne sławy piłkarskie Pogoni, Czarnych i Lechii".

Profesor Wacek zmarł 4 września 1956 roku w Bytomiu i tam też został pochowany. Londyńskie Koło Lwowian zamieściło w swoim biuletynie wspomnienie o zmarłym, którego autor tekstu nazwał „kolarzem z nierdzewnej stali". A mi przyszły na myśl słowa zapisane we wspomnieniach „Darz Bór":

Gdy wybije mej śmierci godzina,
Pochowajcie mnie w kniei zielonej...
Niech zaszumi nade mną gęstwina,
Hymn myśliwski radości minionej...
Na ten głos mojej duszy tak miły,
Żar zakipi w sercu wystudzonem –
I ożyję, i wstanę z mogiły,
Chwycę broń i polecę zagonem... ■

eprasa.pl a536663907



Bardzo trafnym określeniem G.K. Chestertona jest to użyte przez jego biografa, Dale`a Ahlquista, że był „apostołem zdrowego rozsądku". Zdrowy rozsądek pisarza wypływał z głębokiej, żywej wiary. Nie ulegał modnym prądom intelektualnym, krytykował bałwochwalcze traktowanie nowoczesności, postępu. Dale Ahlquist napisał, że miał on „ciało i duszę świętego Tomasza połączone z sercem świętego Franciszka". Trudno chyba o lepszą rekomendację.

G.K. CHESTERTON. PRZYJACIEL PANA BOGA I POLSKI



FOT. WIKIPEDIA

Doskonałą odtrutką na szaleństwa dzisiejszego świata może być lektura zmarłego przed osiemdziesięcioma laty angielskiego pisarza i dziennikarza Gilberta Keitha Chestertona (1874–1936), przyjaciela Pana Boga i Polaków. Chesterton był apologetą rzymskiego katolicyzmu, który przebył długą drogę intelektualną i duchową w poszukiwaniu prawdy, sensu życia od anglikanizmu do katolicyzmu.

Chcemy Kościoła, który zmieni świat

Chesterton był piewcą Christianitas, średniowiecznej cywilizacji chrześcijańskiej. Kultura katolicka przeżywała w XII i XIII wieku swój największy rozkwit, powstawały znakomite dzieła naukowe, choćby św. Tomasza z Akwinu „Suma Teologiczna", we wszystkich znaczących miastach Europy Zachodniej organizowano uniwersytety. Za Europą i Anglią z tamtego czasu tęsknił. Bliski jego sercu był średniowieczny etos rycerski, uważał, że Polacy są jednym z nielicznych, a może jedynym europejskim narodem, który zachował cnoty rycerskie. Epoka średniowiecza została przeklęta przez modernistów, co do dzisiaj jeszcze pokutuje w świadomości wielu ludzi. Chesterton krytykował imperialne, mocarstwowe zapędy Brytyjczyków, potępiał podboje kolonialne.

Étienne Gilson (1884–1978), wybitny francuski filozof, historyk filozofii średniowiecznej, współtwórca neotomizmu, podobnie jak Chesterton głęboko przywiązany do tradycji katolickiej, był pod wielkim wrażeniem nieprzeciętnego, wręcz genialnego umysłu angielskiego pisarza. Pisał o nim, że „był jednym z najgłębszych myślicieli, jacy kiedykolwiek istnieli, był myślicielem głębokim, ponieważ miał rację, i nic nie mógł na to poradzić, że miał rację". Te ostatnie słowa zostały napisane w tonie nieco żartobliwym; tonie, jakiego zwykł używać Chesterton w swoich książkach. Gorzka prawda płynie z lektury jego nadal aktualnych aforyzmów, złotych myśli, genialnych spostrzeżeń obnażających głupotę lewackich postępowców, inżynierów nowego człowieka pchających świat ku zagładzie.

Świat od czasów Chestertona bardzo się zmienił, i to zdecydowanie na gorsze, został mocno zdewastowany. Żyjemy w czasach bezgranicznej głupoty, absurdu, rozmytych wartości, niszczenia tradycyjnej rodziny, w którym wszystkie granice zostały już przekroczone. Na naszych oczach wyprzedawana jest wiara, religia, europejska tożsamość, której esencją było chrześcijaństwo. Wiara staje się coraz bardziej pustą, abstrakcyjną formułą. Wrogowie chrześcijaństwa nie cofają się przed niczym – dzisiaj trzeba sporej odwagi, by przeciwstawić się dominu-

Dariusz Jarosiński

ID 136663907

jącym w polityce, mediach, sądownictwie środowiskom lewicowo-liberalnym.

W esejach zatytułowanych „Obrona rozumu" pisał Chesterton, że to „nie moralność czy polityka są w stanie upadku, lecz rozum. Nasza cywilizacja – twierdził – jeśli ma przetrwać, musi na nowo odkryć sztukę jasnego, spójnego rozumowania".

Potrzebne są elity, które nie wstydzą się patriotyzmu, wiary, są przygotowane intelektualnie, by przeciwstawić się niebezpiecznym ideologiom. Tylko skąd je brać, jak one wolą płynąć z prądem, bo tak najwygodniej. A dzisiaj niemal wszyscy chcemy żyć wygodnie, bez problemów.

Od czasów rebelii Marcina Lutra, od początku XVI wieku, najważniejszym celem kultury europejskiej stało się zlikwidowanie katolicyzmu. Chesterton z niepokojem obserwował, jak artyści, filozofowie, intelektualiści przejmowali rolę kapłanów, jak zawłaszczali pole kultury. „Niektórzy głoszą – pisał – że człowiek wykształcony powinien być przewodnikiem tłumów, ich filozofem i przyjacielem; niestety, niemal zawsze okazywał się przewodnikiem wiodącym na manowce, zdradzieckim przyjacielem i bardzo płytkim filozofem. Katastrofy dziejowe, łącznie z tymi, które obecnie nas trapią, nie wynikły z działań prostych, prozaicznych ludzi, którzy wiedzieli, że nic nie wiedzą, ale z działań wysoce teoretycznych osób, które z całą pewnością wiedziały, że wiedzą wszystko".

Wszystkim osobom odpowiedzialnym za Kościół katolicki należy dedykować słowa Chestertona: „Nie chcemy Kościoła, który, jak to piszą gazety, zmienia się wraz ze światem. Chcemy Kościoła, który zmieni świat". Każdy katolik, członek wspólnoty, ma obowiązek bronić swojej wiary, religii, nie ulegać podszeptom szatana. Kościół katolicki jest niszczony nie tylko od zewnątrz, lecz także od wewnątrz, ale to już osobny, ważny temat.

Interesował go najbardziej człowiek

Chesterton wychował się w anglikańskiej, niepraktykującej rodzinie. Nic zatem dziwnego, że młody Gilbert przez długi czas był agnostykiem. Dopiero kiedy poznał Frances Blogg, głęboko wierzącą anglikankę, odkrył nieznany mu do tej pory świat chrześcijańskich wartości. W 1901 roku zawarli ślub. Ich związek, trwający 35 lat, był bardzo udany. Niestety nie mieli dzieci, chociaż oboje bardzo tego pragnęli. Dzięki przyjaźni z księdzem Johnem O'Connorem, pochodzącym z Irlandii, poznał katolicyzm. Pisarz uczynił księdza O'Connora pierwowzorem literackim ojca Browna. Cykl opowieści o ojcu Brownie, inteligentnym kapłanie, przenikliwym obserwatorze, a przy tym sympatycznym detektywie amatorze, który rozwiązywał najbardziej zawikłane zagadki kryminalne, cieszył się niespotykaną popularnością nie tylko w Anglii. Na podstawie opowieści o kapłanie detektywie został nakręcony serial filmowy.

W 1922 roku Chesterton przeszedł na katolicyzm. Uczyniłby to zapewne wcześniej, bo był na to gotowy, ale długi czas zwlekał z decyzją, nie chcąc zranić żony, żarliwej anglikanki. Swoją drogę do poznania wiary, dojścia do rzymskiego katolicyzmu, opisał w dziele „Ortodoksja" w 1908 roku, a więc na wiele lat przed chrztem w Kościele katolickim.

Chesterton studiował w renomowanej szkole artystycznej, ale nie ukończył studiów. Początkowo zajmował się rysowaniem, był karykaturzystą, ale ostatecznie wybrał dziennikarstwo i pisarstwo. Zdaje się, że bliższe nawet mu było ze względu na temperament dziennikarstwo. Był osobą o okazałej posturze, wysoką, z wydatnym brzuchem, nieprzywiązującą wagi do swego wyglądu, stroju, pieniędzy. Zachowały się liczne anegdoty na temat jego dość nietypowego zachowania, jako że był człowiekiem roztargnionym, pochłoniętym własnymi myślami. Jego brat wspominał: „Można go ujrzeć, jak pisze w tanim zeszycie nie tylko w restauracjach, herbaciarniach i pubach, lecz i w dorożkach, na górnym piętrze omnibusu czy nawet krocząc ulicą. Jest roztargniony w stopniu wręcz niewiarygodnym".

Dorobek literacki Chestertona to około 80 książek, kilkaset wierszy, 200 opowiadań, kilka sztuk teatralnych. Uwielbiał polemikę z adwersarzami, publiczne spory ideowe, to był jego żywioł, nic więc dziwnego, że pozostawił po sobie ponad 4 tys. felietonów prasowych. Często także bronił swoich racji przed mikrofonem radia. Chesterton borykał się z kłopotami finansowymi, więc musiał dużo i szybko pisać, publikować.

Największą popularność przyniosła mu powieść „Człowiek, który był Czwartkiem" (1908). Niezwykle intrygująca opowieść grozy była jedynie pretekstem do przemycenia systemu wartości. Głębokie myśli ubierał Chesterton w atrakcyjną, barwną formę. Uważał, że pisarz po pierwsze ma nie nudzić czytelnika. Również jego eseje czyta się jak najciekawszą opowieść. Chestertona najbardziej interesował człowiek, a dokładniej – to, co jest w człowieku, w jego wnętrzu. Wspomniany już ksiądz Brown rozwiązuje zagadki kryminalne, bo jest w stanie wyobrazić sobie, że te przestępstwa, zbrodnie może sam popełnić.

O wielkim talencie Chestertona może świadczyć pewna historia. Otóż otrzymał zamówienie napisania książki o św. Tomaszu z Akwinu. Bez zaglądania do jakichkolwiek książek, notatek, połowę książki

eprasa.pl a536663907

podyktował „z głowy" swojej sekretarce. Następnie przekartkował kilka książek dostarczonych przez sekretarkę i udał się na spacer do ogrodu. Po powrocie podyktował resztę. Étienne Gilson, filozof, który był wybitnym znawcą myśli św. Tomasza, po przeczytaniu dzieła Chestertona napisał: „Uważam, że to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek napisano o świętym Tomaszu. Nic prócz wielkiego geniuszu nie może wytłumaczyć takiego dokonania". Warto dodać, że Chesterton czytał „Sumę teologiczną" św. Tomasza 30 lat wcześniej.

▶ Sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół

Chesterton był wprost zakochany w Polsce. Zainteresował się nią na początku XX stulecia – jeszcze wówczas naszej ojczyzny nie było na mapie Europy. Kiedy Rzeczpospolita odzyskała niepodległość, pisał z niepohamowanym entuzjazmem: „Większość tych krain jeszcze parę lat temu była niewidoczna na ogromnej mapie Rosji. Polski również nie było wówczas na mapie, ale bez cienia wątpliwości była ona na miejscu. Trzykrotnie zrywała się do rewolucji, aż cała Europa zadrżała w niepewności. Od Kalifornii po Kaukaz znano płomienny patriotyzm polskich wygnańców".

Znał historię Polski, cenił polską literaturę, napisał m.in. wstęp do arcypolskiego utworu, „Nie-Boskiej komedii" Zygmunta Krasińskiego. Polskę szanował i cenił nie tylko dlatego, że była krajem katolickim, choć to był istotny powód, lecz także za umiłowanie przez Polaków wolności. Uważał naszą ojczyznę za ucieleśnienie chrześcijaństwa, podporę cywilizacji europejskiej. Z przykrością obserwował, jak Polska jest niechciana w Europie, niepotrzebna, m.in. dlatego, że jest katolicka, że odgrywa coraz ważniejszą rolę na arenie politycznej.

W przedmowie do książki Karola Salolea „Listy o Polsce" Chesterton ujawnił, jaki ma sposób na weryfikowanie ludzkich postaw, kim są wrogowie Polski. Istotę polskości upatrywał w męstwie, wielkoduszności, uczciwości, umiłowaniu wolności i Boga. Brzmi to nazbyt idealistycznie, ale jak wspomniałem słowa profesora Gilsona: Chesterton „miał rację, i nic nie mógł na to poradzić, że miał rację".

„Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń, miotanych przeciwko niej – i rzec mogę – wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzyło mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów i metoda okazała się niezawodną".

Chesterton był pełen uznania dla Polaków, że w 1683 roku ocalili Europę od zalewu islamu. Przy okazji wspomnę, że w 335. rocznicę odsieczy wiedeńskiej, czyli 12 września 2018 roku, na Kahlenbergu, w Wiedniu, miał stanąć pomnik ku czci króla Jana III Sobieskiego. Krakowski Komitet Budowy Pomnika Jana III Sobieskiego starał się o to pięć lat, jednak bez powodzenia. Władze Wiednia nie wyraziły zgody na postawienie pomnika naszego wielkiego wodza, który uratował miasto przed zagładą. Wmurowany kamień węgielny pod budowę pomnika króla został w 2017 roku zniszczony przez członków lewackiej Antify. Pomnik ostatecznie stanął w Krakowie – przedstawia Sobieskiego na koniu z atrybutami władzy, na czele zwycięskiej husarii. Jest prezentowany w Krakowie na placu przed bazyliką oo. Franciszkanów na lawecie, co symbolizuje, że wciąż jest w drodze i czeka na ostatnią wyprawę do Wiednia. Symboliczne jest także jego umieszczenie naprzeciwko okna papieskiego. Jak wiadomo, Jan III Sobieski był głęboko wierzący, zorganizował odsiecz, by ratować wartości chrześcijańskie, które są filarami Europy.

Dzisiaj Europa Zachodnia wyparła się Boga, wyparła się chrześcijaństwa, burzone są kościoły katolickie, a budowane meczety dla coraz liczniej przybywających do Europy muzułmanów. Kościół katolicki potrzebuje nieustannie obrońców – świadków wiary i ludzi pióra, którzy podobnie jak Chesterton potrafiliby dotrzeć do wyobraźni i sumień ludzkich.

„Jan Sobieski wiedział za sprawą tego mistycznego daru, który nazywa się zdrowym rozsądkiem, że kiedy islam dotarł do pewnego punktu, stał się sprawą każdego ochrzczonego i cywilizowanego człowieka" – pisał Chesterton w posłowiu do angielskiego wydania książki Kazimierza Prószyńskiego „Poland". „To samo dotyczy przemocy bolszewickiej. Jeśli bolszewizm dociera do pewnego punktu, staje się sprawą każdego ochrzczonego i cywilizowanego człowieka. A dla nas tym punktem jest Polska. Nie wierzę, by naród polski, który przetrwał niewolę u trzech potężnych imperiów, mógł zostać ostatecznie pogrążony przez jedną przemijającą anarchię. Lecz wiem, że gdyby został chwilowo pogrążony, oznaczałoby to wielką wyrwę w naszej własnej tamie, chroniącej przed powodzią".

Posłowie do książki Kazimierza Prószyńskiego pisał Chesterton w 1920 roku, kiedy Polska i Europa były śmiertelnie zagrożone przez bolszewicką armię prącą na zachód.

eprasa.pl a536663907

Chesterton był jednym z niewielu publicystów anglosaskich, którzy od razu poparli Polskę w czasie wojny 1920 roku. „Labourzyści – pisał – i różni liberalni idealiści twierdzą, że prawo międzynarodowe może określać i chronić wszystkie granice świata, ale nie powinno określać i chronić granic Polski. [...] Polska to jedyny realny wał obronny przeciw barbarzyństwu [...]. I jeśliby Polska upadła, wraz z nią runąłby szaniec pokoju całego świata".

Już wówczas w prasie brytyjskiej i amerykańskiej pojawiały się jak na zawołanie doniesienia o rzekomych pogromach Żydów w Polsce. Chesterton przeprowadził wraz z bratem i przyjacielem, pisarzem katolickim pochodzenia francuskiego, Hilaire Bellokiem, własne dochodzenie i ogłosił, że są to kłamstwa.

Stracony dla kawalerii, z pożytkiem dla ludzkości

W 1927 roku, na przełomie kwietnia i maja, Gilbert Chesterton odbył podróż do Polski na zaproszenie polskiego rządu. Wizytę przygotował polski oddział Pen Clubu. Pisarzowi towarzyszyły żona i sekretarka Dorothy Collins. Na dworcu oczekiwała na nich delegacja pisarzy i oficerów, z płk. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, adiutantem marszałka Józefa Piłsudskiego, na czele. Wieniawa błysnął wspaniałą mową powitalną w języku francuskim: „Pozwalam sobie przywitać Pana w imieniu grupy oficerów kawalerii: nie jako sławnego Anglika ani jako sławnego pisarza, ani nawet jako wielkiego przyjaciela Polski – nie powiem, że największego przyjaciela – Pan Bóg jest największym przyjacielem Polski [...]. Witam Pana jako kawalerzystę, który się zatrzymał w rozwoju. Dla mężczyzny są właściwe tylko dwa zawody: poety i kawalerzysty. Pan wybrał ten pierwszy, ale my, widząc Pańską odwagę, entuzjazm, błyskotliwy humor, widzimy w Panu wspaniałego kawalerzystę, straconego dla kawalerii – z pożytkiem dla ludzkości".

3 maja Chesterton został przyjęty na Zamku Królewskim przez prezydenta Ignacego Mościckiego, następnie spotkał się z Józefem Piłsudskim. Rozmawiał również z gen. Władysławem Sikorskim, Arnoldem Szyfmanem, Marianem Zdziechowskim, Wacławem Sieroszewskim, Michałem K. Pawlikowskim i Zofią Nałkowską. W spotkaniach towarzyszył pisarzowi prof. Wacław Borowy, historyk literatury, krytyk literacki. W Poznaniu Chesterton spotkał się z Romanem Dmowskim. W Krakowie organizatorem jego pobytu był prof. Roman Dyboski, filolog angielski. Pisarz odwiedził także Łowicz, Lwów, Wilno, Zakopane, Troki. W ośrodkach akademickich wygłosił serię odczytów. Wszędzie był przyjmowany entuzjastycznie. Podróż po Polsce zakończył 31 maja.

Po wizycie w Polsce napisał m.in. w „Autobiografii", że nasz ojczyzna skazana jest ze względu na położenie geopolityczne na wybieranie mniejszego zła. Rozmawiał z dwoma najważniejszymi politykami okresu międzywojnia, ojcami naszej niepodległości – Józefem Piłsudskim i Romanem Dmowskim. Dla Piłsudskiego mniejszym złem były Niemcy, dla Dmowskiego Rosja.

Chesterton był urzeczony polską gościnnością. Wspominał powszechny wśród Polaków kult obrazów, miejsc świętych. Nie mógł oderwać oczu od przydrożnych kapliczek i modlących się przy nich ludzi – był świadkiem pięknej polskiej tradycji odprawiania nabożeństw majowych, śpiewania pieśni ku czci Matki Bożej. Z jedzenia najbardziej mu przypadł do gustu barszcz z uszkami. W „Autobiografii" wspomniał też o wizycie w majątku młodego polskiego hrabiego. Przeraził go widok zrujnowanego przez bolszewików w czasie wojny dużego starego dworu. Po dworze pozostała jedynie sterta rozbitego marmuru, spalonych gobelinów i roztrzaskanych wielu innych cennych dzieł sztuki. Nie to jednak było najgorsze – mówił młody hrabia. „[...] poprowadził nas długą aleją wysadzaną topolami. – Na końcu stała figura Matki Bożej z odstrzeloną głową i rękami. Ale ręce były przedtem wzniesione i to właśnie okaleczenie sprawiło, że Jej gest wstawienniczy stał się jeszcze bardziej wymowny, jako błaganie o litość dla bezlitosnego rodzaju ludzkiego" – wspominał Chesterton.

Polska, nagie ostrze miecza

Myślę, że warto przytoczyć poglądy Chestertona na Prusy i Niemcy, które formułował m.in. również w odniesieniu do Polski. Problemom tym poświęcił kilka znaczących publikacji. Jego zdaniem Prusy, a później Niemcy, były źródłem wielu nieszczęść, które spotkały Europę. To w Niemczech Marcin Luter przy wsparciu książąt niemieckich doprowadził Kościół katolicki na skraj katastrofy. Książęta niemieccy poparli go, bo dzięki jego rewolucji zagrabili duże majątki kościelne, co nazywało się eufemistycznie sekularyzacją dóbr kościelnych. Rebelia Lutra doprowadziła do wojen religijnych, do wojny trzydziestoletniej. Do dzisiaj odczuwamy skutki działalności Marcina Lutra.

W 1919 roku, po odbyciu podróży do Irlandii, lubianego przez niego kraju, bo katolickiego, pisał: „[...] uważam, że protestancka reformacja w XVI wieku [...] była barbarzyńskim załamaniem zupełnie jak

eprasa.pl a536663907

prusactwo, które było bezpośrednim produktem tego protestantyzmu".

W poemacie „The Battle of the Stories" sugerował Chesterton, że wszystkie zbrodnie, jakie dotknęły narody Europy podczas I wojny światowej, są nieuniknionymi następstwami przyjęcia bez protestów rozbiorów naszego kraju. Są rodzajem ekspiacji za ten grzech. „To oczywiście wizja poetycka – polemizowała z tym stwierdzeniem tłumaczka Chestertona, Jaga Rydzewska – ale z historycznego punktu widzenia jest to zarazem pogląd zaskakująco trafny. Gdyby Prusy nie urosły w siłę kosztem Polski, gdyby Polska w XIX wieku pozostała wielkim państwem i tradycyjnym sojusznikiem Francji, prawdopodobnie nie doszłoby ani do pierwszej, ani zresztą do drugiej wojny światowej" (Jaga Rydzewska, „Chesterton. Dzieło i myśl", Komorów).

Idąc tropem myślenia Chestertona – to przecież zbrodnicza ideologia marksistowska zrodziła się w Niemczech. Na ziemi niemieckiej powstał „Manifest komunistyczny" napisany przez obywateli Niemiec – Karola Marksa (Karla Marksa) i Fryderyka Engelsa (Friedricha Engelsa); to niemieccy agenci, Włodzimierz Lenin i Lew Trocki, za niemieckie pieniądze, wzniecili w Rosji rewolucję bolszewicką. To Niemcy stworzyli ideologię narodowego socjalizmu (nazizmu). Narodowy socjalizm (nazizm), jak sama nazwa mówi, a i symbolika (czerwony sztandar), był ideologią lewicową, z czym trudno pogodzić się do tej pory wielu mędrcom. Chesterton, w przeciwieństwie do tzw. intelektualistów, potrafił odróżnić faszyzm powstały we Włoszech od niemieckiego nazizmu.

„Polska – dowodził Chesterton – to kultura katolicka, wepchnięta niczym nagie ostrze miecza pomiędzy bizantyjską tradycję Moskwy i pruski materializm. [...] Wiara katolicka stanowi najjaskrawszą różnicę pomiędzy Polakiem a bolszewikiem czy pruskim junkrem. [...] Jest to również przyczyna nader ułomnej sympatii, jaką odczuwają wobec Polski rozmaici dobrzy ludzie na Zachodzie, którzy zdegustowani patrzą na ten rodzaj życia duchowego i społecznego, ilekroć przypadkiem go zobaczą. [...] Nie lubią katolicyzmu w Irlandii i na pewno nie będą go lubić w Polsce. Za skarby świata nie mogę jednak pojąć, czemu tak bardzo nie chcą się do tego przyznać. [...] O nie, bracia moi w chrześcijaństwie! Oni czują autentyczną sympatię dla prawdziwych interesów prawdziwej Polski. Właśnie dlatego nie chcą, by Polska miała port morski lub dobre granice. Właśnie dlatego wyrażają pobożne życzenie, by armia polska została pokonana przez bolszewików, a ziemia polska ukradziona przez Prusaków [...]" („The End of the Armistice").

Za jeden z kardynalnych błędów angielskiej polityki zagranicznej Chesterton uważał ciche przyzwolenie dla ekspansjonizmu pruskiego. Upadek państwa polskiego uznał za początek fatalnej tendencji w rozwoju Europy Środkowej, wyrażającej się w supremacji Niemiec. Fakt przyzwolenia na rozbiory Rzeczypospolitej ze strony Anglii nazwał degradacją do poziomu Niemiec.

Jak zauważa Katarzyna Krajewska w artykule „Powrót do Chestertona" [„Arcana" nr 43 (1/2002)], „Chesterton obarczył Niemców – przede wszystkim Prusaków – odpowiedzialnością nie tylko za doprowadzenie do ogólnoświatowego konfliktu [chodzi o I wojnę światową – przyp. DJ], ale i za zmianę mentalności człowieka początku XX wieku, klasyfikowaną przez pisarza jako barbarzyństwo".

Chesterton jako jeden z pierwszych publicystów angielskich ostrzegał w 1933 roku przed zagrożeniem ze strony hitleryzmu niemieckiego. W 1935 roku napisał książkę pt. „Koniec rozejmu", która drukiem została wydana w 1940 roku, przypominał on w niej m.in. o tym, że Niemcy zdominowane przez Prusy zdolne są do dokonania najgorszych rzeczy w Europie.

Należy dodać, że w 1936 roku Chesterton przewidział, że wojna zacznie się na granicy Polski, zatem nie zawiodła go intuicja, zrozumienie realiów politycznych. Co prawda nie wspomniał, na której granicy, ale nietrudno dociec z jego toku rozumowania, że chodziło mu o granicę z Niemcami.

***

Po 1941 roku niemal cała prasa anglosaska zamieszczała peany na cześć Józefa Stalina, sojusznika Anglii w wojnie z Niemcami. Z chwilą, gdy Sowieci przyłączyli się do koalicji antyhitlerowskiej, Polska faktycznie została z niej wykluczona, stała się niepotrzebna, znalazła się na marginesie. Polscy żołnierze gen. Władysława Andersa, owszem, byli nadal potrzebni, jako mięso armatnie.

Aktualnie żyjemy w okresie brutalnych ataków na Polskę. Dzieje się tak nie po raz pierwszy w naszej historii. Polska chrześcijańska, niepodległa, rosnąca w siłę zawsze była solą w oku innych krajów europejskich, szczególnie sąsiadów ze wschodu i z zachodu. Ataki na Polskę inspirowane są przez rodzimych zdrajców, którzy gotowi są oddać suwerenność Polski Berlinowi i Brukseli za możliwość sprawowania władzy.

Przykro to pisać, ale Gilbert Keith Chesterton, rodowity Anglik, szanował i cenił bardziej Polskę i Polaków, więcej dobrego dla naszej ojczyzny czynił aniżeli niejeden polski polityk (bynajmniej urodzony w Polsce) z totalnej opozycji. ■

eprasa.pl a536663907



Agnieszka Kowalczyk

PRZEZ KRAJ KRWI I WIECZNEGO POKOJU

eprasa.pl a536663907



W okresie dwudziestolecia międzywojennego stał się jednym z najbardziej poczytnych autorów w Polsce i na świecie. Władał doskonale ośmioma językami, w tym chińskim i mongolskim. Był pierwszym po Henryku Sienkiewiczu pisarzem polskim, którego książki doczekały się największej liczby przekładów. Jego twórczość porównywano z dorobkiem literackim Londona, Kiplinga i Hemingwaya. W swej demaskatorskiej biografii Lenina dokonał miażdżącej krytyki wodza rewolucji bolszewickiej. Dziś mało kto wie, że człowiek, o którym mowa, to Antoni Ferdynand Ossendowski.

fot. NAC

Ferdynand Ossendowski był autorem setek powieści podróżniczych, zapalonym wojażerem, przemierzającym Azję, Afrykę i Amerykę Północną, chemikiem i wykładowcą akademickim. Był też zaciekłym przeciwnikiem, bolszewików, którzy po jego śmierci nakazali otworzyć grób, chcąc upewnić się, czy osobisty wróg Lenina na pewno nie żyje.

Zuchwały plan polskiego Robinsona

Gdy w 1917 roku Rosję ogarnął żywioł rewolucji, przebywający wówczas na jej terytorium Ossendowski związał się z kontrrewolucyjnym ruchem „białych", pozostając nawet przez pewien czas doradcą admirała Aleksandra Kołczaka. Po tym natomiast, jak został on schwytany i stracony w Irkucku, a walcząca u jego boku V Dywizja Syberyjska – rozbita, polski podróżnik postanowił przedrzeć się przez Mongolię do Chin. Dzięki wielkiej odwadze i pomysłowości udało mu się wymknąć z rąk bolszewików, pokonać bezkresne stepy kraju urianchajskiego, dzikie góry Ułan Tajga i dotrzeć do ziemi Mongołów. Wszystkie zaś swoje przeżycia i przygody z pełnej niebezpieczeństw wyprawy szlakami Azji Środkowej zebrał w książce „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów", która wkrótce po opublikowaniu zdobyła światowy rozgłos.

Kiedy w styczniu 1920 roku znalazł się w Krasnojarsku, czerwonoarmiści byli już na jego tropie. Przez pewien czasie ukrywał się w samotnej, na wpół spalonej leśnej chacie, a najsurowsze zimowe miesiące spędził w ziemiance pod olbrzymim, obalonym cedrem. Zmuszony przeistoczyć się w polskiego Robinsona Crusoe, upolował niedźwiedzia-„mrówczana", którego mięso pozwoliło mu przetrwać do samej wiosny. Dotarłszy do wsi Siwkowa, dzięki pomocy syberyjskiego chłopa Toporowa zaopatrzył się we wszystko, co niezbędne do dalszej drogi, a przede wszystkim w fałszywy paszport, dzięki któremu „osobiście umarł dla bolszewików". I dopiero tak przygotowany ruszył wzdłuż brzegów Jeniseju, którego oblicze przejmowało grozą, bo spływał on krwią, niosąc gnijące i rozkładające się ciała ofiar „Czeki" – żołnierzy pokonanej armii generała Kołczaka. „Setki tych trupów – pisze Ossendowski – może tysiące, z odrąbanymi głowami i rękami, z oszpeconymi twarzami i ciałami, na pół spalone, z wyciętymi na piersiach i nogach kawałkami skóry, z wykłutymi oczami i zdruzgotanymi głowami – płynęły na kawałkach kry, szukając dla siebie mogiły lub obracając się w szalonych wirach pomiędzy lodowatymi bryłami".

eprasa.pl a 36663907

Przeklęte miejsce

Przemierzając potem rozległe pasma lasów i bezgraniczne stepy, których panami byli Tatarzy abakańskiego szczepu, chroniący się przed bolszewikami w Urianchaju, Mongolii i Tybecie, słuchał, siadając z nimi przy ognisku, legend o Wielkim Mongole, jego synu Kubłaj-Chanie, o okrutnym Tamerlanie i szlachetnym Baber-Sułtanie. Za górskim przejściem Czokur, wiodącym przez główny grzbiet Sajanów, wydostał się na przeciwległy brzeg rzeki Ałgiak, by stanąć w końcu na ziemiach Urianchaju – kraju zamieszkiwanego przez 60 tysięcy wymierających Sojotów ponad wszystko miłujących pokój. Przychylni mu mieszkańcy jednej z jurt wtajemniczyli go w swój plan urządzenia obławy na czerwonoarmistów gwałcących prawa ich wspólnoty. Dla niepoznaki Antoni wyruszył w dalszą drogę wraz z oddziałem bolszewików, przedzierającym się przez głębokie wąwozy z grząskimi torfowiskami. „Tu było jakieś martwe, przeklęte miejsce – pisał – konie zapadały się w bagno do kolan, padały, plątały się nogami w sieci zanurzonych w grząskim torfie korzeni, przygniatały jeźdźców, biły się, chrapały, rwały rzemienie i popręgi". Tak w pewnym momencie pochłonięty został na oczach wszystkich jeden z jeźdźców – „najpierw znikła głowa konia z wylękłymi, błagającymi oczami, a później zanurzył się wyjący z przerażenia i rozpaczy człowiek. Tylko wielkie bąble wypływały na powierzchnię czarnej wody i powoli pękały...". I wtedy też rozległo się kilka wystrzałów, a za nimi następne, dosięgając jednego bolszewika za drugim. Rażeni kulami zapadali się w otchłań bagniska. Ossendowski mógł teraz dołączyć do strzelających Sojotów, a znani ze swoich grabieży, gwałtów i mordów sowieccy bandyci spoczęli na dnie odwiecznych trzęsawisk. On sam zaś zyskał ośmiu nowych współtowarzyszy dalszej wędrówki. Odtąd posuwali się razem na wschód, strzegąc się grasujących oddziałów sowieckich. Szli nocami, bezszelestnie, zawiązawszy kopyta koni szmatami, a ich pyski – rzemieniem, zmuszeni przemykać niezauważalnie obok gniazda wrogich i czujnych bolszewików. Minąwszy brzegi świętego jeziora Teri-Nur i rozległe mongolskie płaszczyzny, stanęli przed świętym klasztorem Narabanczi – ostatnią lamicką świątynią na szlaku wiodącym z Mongolii do Tybetu. Była to siedziba świętego hutuhtu, który jak opowiadali Antoniemu Mongołowie, był „przeistoczonym Buddą" i czułby się dotknięty, gdyby podróżny z Polski nie wstąpił do „świątyni błogosławieństwa" i nie złożył mu wizyty. Doceniając gest Ossendowskiego, który ofiarował mu tradycyjny chatyk (pasmo czerwonej materii), hutuhtu udzielił mu nie tylko cennych wskazówek na dalszą drogę, lecz wręczył także list polecający do przeorów i lamów tych klasztorów, jakie wyrosnąć miały na jego wędrownym szlaku.

W sercu Azji

Przedarcie się przez Tybet okazało się niemożliwe ze względu na grasujące tam bandy rozbójników, które zdziesiątkowały ich oddział. Musieli więc wracać do Mongolii. Otwierał się przed nim kraj tajemniczy, bogaty, olbrzymi, stanowiący serce Azji. Dla Ossendowskiego Mongolia to „kolebka ludów, historii i legend", ojczyzna największych i najbardziej krwawych zaborców, którzy pozostawili po sobie ruiny grodów zasypanych piaskami pustyni Gobi, państwo mnichów, arena koczowniczych plemion rządzonych przez potomków chanów Czyngisa i Kubłaja-Ramy, Sakkia-Muni, Dżon-Kappy i Paspy, gdzie swe magiczne praktyki uprawiali z wielkim powodzeniem wszelkiego rodzaju cudotwórcy, lekarze, wróżbici i czarownicy. Od zaprzyjaźnionego mongolskiego księcia czułtun-Bejle dowiedział się, że gdy wybuchła w Rosji rewolucja i nastały bolszewickie rządy, chińskie władze wszystkich saitów-patriotów zastąpiły ugodowcami, a do Mongolii wprowadziły swoje wojska, które prześladowały i łupiły tutejszą ludność. Mieszkańcy Hałhi – niezależnej prowincji mongolskiej – zostali ogołoceni ze wszystkiego przez Chińczyków, tak iż wokół miast i klasztorów powstały osady nędzarzy wegetujących w ziemnych norach i żyjących jedynie z jałmużny. Narodowe dobra Mongołów, ich skarbce i arsenały zostały zarekwirowane. Wierni ojczyźnie cierpieli w chińskich więzieniach bądź też padali ofiarą lekarzy-trucicieli przysyłanych tu z Chin. Stąd też w Mongolii panowała powszechna nienawiść do Chińczyków – zarówno ze strony elit rządzących – Żywego Buddy, chanów, książąt, wyższych lamów, jak i całego ludu. Ossendowskiemu, który niezachwianie stał po stronie walczących Mongołów, dane było poznać jednego z bohaterskich mścicieli tego ludu – Tuszegun-Lamę. Był to rosyjski Kałmuk, który za propagandę niezależności Kałmuków przeszedł carskie więzienie, a potem także sowieckie, skąd uciekł do Mongolii i zdobył sobie rozgłos. Był on uczniem i „bratem" Dalaj-Lamy, uchodzącym za cudotwórcę i lekarza, znającym tajniki hipnozy i cieszącym się sławą dzielnego wojownika i mędrca wśród nomadów zachodniej Mongolii, Dżungarii i Turkiestanu. On to uratuje całe miasto Uliastaj przed rzezią, jaką gotowali mu Chińczycy podczas odbywającego się w wielkiej tajemnicy wiecu. Jego obrady z ukrycia śledził Ossendowski, chcąc donieść o nich mongolskim przyjaciołom. Wówczas to zauważył obok siebie jakąś przyczajoną postać, która tak jak on bacznie obserwowała, co się dzieje w chińskim obozie. W momencie gdy jeden z mówców-agitatorów opuścił miejsce obrad, nieznajomy lotem błyskawicy ruszył w jego stronę, obezwładnił go, zakneblował mu usta i porwał na swego wierzchowca. Niedługo potem głowa pojmanego trafiła pod nogi ob-

eprasa.pl a536663907

radujących Chińczyków. W tym samym czasie zniknęło bez śladu jeszcze kilku chińskich dostojników. Ich zwłoki znaleziono wkrótce w dołach na ziemniaki... Był to znak, że Mongołowie nie poddadzą się i będą walczyć zaciekle o swą ziemię. Śmiałkiem, który chciał nauczyć Chińczyków pokory, był nie kto inny jak sam Tuszegun-Lama.

Jurta, klasztor, tajemnicza góra

Ossendowski, jak się okazuje, to nie tylko uciekinier zmuszony do walki o przetrwanie, lecz także wojażer niesyty egzotyki azjatyckiego świata. Tak na przykład goszcząc w mongolskiej jurcie z ciekawością przyglądał się narodzinom dziecka i pierwszym miesiącom jego życia. Gdy przyszło na świat, zaraz wymyto je w kwaśnym mleku jaka (tybetański rodzaj bydła rogatego), po czym oddano noworodka matce, a ona... wyniosła nagie dzieciątko w step i dopiero po godzinie powróciła z nim do jurty. Wtedy też kobiety ofiarowały jej kołyskę, a raczej małe modrzewiowe korytko, wypełnione suchym, owczym nawozem nakrytym cienką koźlą skórką. Matka owinęła kołyskę w dwie baranie skóry, a ojciec zawiesił ją na długim rzemieniu na pułapie jurty i pchnął z całych sił. I tak, jak opowiada Ossendowski, dziecię „pływało w powietrzu pełnym dymu, skazane na taki tryb życia przez dwa lata". Matka-Mongołka karmiła je, przytulając wraz z całą kołyską do piersi i tylko raz na dwa tygodnie zmieniała mu „posłanie" z nawozu owczego, który okazał się znakomitym materiałem wchłaniającym wszystkie wydzieliny i zarazem dezynfekującym. Maleństwo rosło jak na drożdżach karmione przez pierwszych pięć lat mlekiem matki lub białego jaka. Potem przyszedł czas, by ojciec nauczył je jeździć konno. I wtedy to stawało się pełnoprawnym członkiem rodziny, a więc mogło jeść z apetytem baranie mięso, pić herbatę z solą, paść owce, strzec tabuny koni i palić fajkę niezależnie od płci. Taki mały Mongoł do piątego roku życia, czy to w lecie, czy w zimie, biegał zupełnie nago wśród koczowisk, nie mając ani odzienia ani butów.

Najbardziej pociągały Ossendowskiego świątynie i klasztory buddyjskie, gdzie przyjmowany był z wielką życzliwością, gdyż szła za nim jego sława potwierdzona listami hutuhtu Narabanczi, który donosił innym świątobliwym mężom, co mówią wróżby i horoskopy na temat „polskiego nojona, który jest przeistoczonym bóstwem, przyjacielem dobrych duchów". Teraz natomiast rysował się przed podróżnikiem położony wśród gór klasztor w Dzain-Szabi. Na szczycie jednej z wyniosłości dostrzegł ułożone z białych kamieni słowa tybetańskiej modlitwy, a u jej stóp stosy ludzkich kości i czaszek – pozostałości po nieboszczykach składanych tu przez mnichów. W tym właśnie miejscu miał się mu objawić „bóg" – gegeni Pandita-hutuhtu – najdziwniejsze chyba bóstwo, jakie mógł sobie wyobrazić, bo oto wyrósł przed nim nagle młodzieniec o nerwowych ruchach i przerażonych oczach. W księgach odkrytych przez mnichów z Berun-Kure w podziemiach pradawnego grodu Erdeni-Dzu znalazła się przepowiednia, mówiąca o młodym hutuhcie, który „ma powstać z serca dżingisowskiej ziemi" i „ma być czczony przez naród w dni wielkiej wojny i wstrząśnięć, a gdy pójdzie do walki ze złymi sługami »czerwonego demona« – zwycięży ich i ustali porządek na ziemi". Dlatego też ów wybraniec bogów przystąpił do sojuszu z „białymi" pod dowództwem pułkownika Kazagrandiego, by spełnić się mogło proroctwo starych ksiąg.

Aby go sobie zjednać, Ossendowski podarował mu szklaną rurkę z rzadkim minerałem (Cosmium-iridium), mówiąc, że jest symbolem jego siły, a uradowany Pandita zaproponował mu od razu wspólną podróż przez Erdeni-Dzu, Koszo-Cajdam i Khara-Bałgasun – miasta zbudowane niegdyś przez Dungina i jego następców – chanów Mongolii i imperatorów Chin. Z tych potężnych grodów zostały już jednak tylko ruiny, gruzy baszt i murów, grobowce i kurhany, których tajemnice zgłębiał, wsłuchując się w opowieści Pandita. Wśród roztaczających się wokół zwalisk i piachów niezmierzonej pustyni Gobi można było wciąż spotkać pobożnych lamów, którzy poszukiwali na tym odludziu bezcennych zwojów pergaminów, tabliczek, zmurszałych ksiąg ukrytych w podziemnych labiryntach i lochach grodu obróconego w ruinę. Przed nim swe tajnie otwierało położone na zachód od Karakorum małe jeziorko, które od czasu do czasu paliło się czerwonym, dymiącym płomieniem, budząc postrach wśród przesądnych Mongołów. Pociągała go też owiana legendą góra, na którą wejść nie może żaden śmiałek z wyjątkiem potomków Czyngis-chana, bo już w połowie drogi umiera. Jej szczyt zasłany jest kośćmi orłów, sępów, argali i antylop, i jak wierzą Mongołowie, przebywa na nim demon czytający księgę ludzkich przeznaczeń. Ossendowski jednak jako wytrawny chemik odkrył tajemnicę tej śmiercionośnej góry, bo jak się okazało, wspinający się na nią człowiek czy zwierzę wdycha ulatniające się przy ziemi opary trującego gazu węglowego, jeździec zaś znajduje się poza ich zasięgiem, mogąc spokojnie osiągnąć szczyt. Potomkowie Czyngis-chana na swych pięknych wierzchowcach bez większego trudu zdobyć mogli górę niedostępną dla innych śmiertelników.

Przepowiednia starego Mongoła

Nie w buddyjskiej świątyni jednak, lecz w prostej chacie starego Mongoła dane było Ossendowskie-

eprasa.pl a536663907

mu usłyszeć złowróżbną przepowiednię o własnym losie. Jego gospodarz wziął łopatkę baranią, oczyścił ją nożem, opalił na węglach, wytarł z popiołu, po czym zaczął wpatrywać się w nią pod światło ogniska... Zapadła cisza. Stary wróżył, ale to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Wyszeptał wreszcie wystraszonym głosem: „Ponura śmierć od wysokiego człowieka o rudych włosach i białej jako mleko twarzy stanie za tobą i będzie czyhać, długo, długo [...]. Strzeż się człowieka o głowie w kształcie siodła. Ten będzie szukał twojej śmierci... Przez krzyż, znak śmierci widzę szczelinę w kości. Śmierć może odejść... Zbierz siły i odwagę!". Ossendowski zachował jednak spokój, bo wierzył we własny spryt i dar przekonywania innych, a w najgorszym wypadku miał przy sobie mauzer i... cyjanek potasu. Nie przypuszczał wówczas, że z chwilą, gdy ujrzy na swej drodze uzbrojonych jeźdźców, ta zła wróżba nabierze swej mocy. Oto bowiem na drodze Ossendowskiego stanęli uzbrojeni jeźdźcy – „biali" oficerowie, którzy nakazali mu, by natychmiast udał się pod ich eskortą do Wanu. Taki był bowiem rozkaz barona Romana von Ungerna-Sternberga – pogromcy bolszewików, dowódcy Azjatyckiej Dywizji Konnej, honorowego chana mongolskiego, uznawanego, jak Mongolia długa i szeroka, za „boga wojny" i jej wybawiciela. W istocie była to postać bardzo kontrowersyjna.

Ossendowski został aresztowany przez zuchwalca o zwierzęcej twarzy, budzącego dziwny wstręt kapitana Bezrodnowa. Miał wewnętrzne poczucie, że oto zapadł na niego wyrok śmierci. Jechał więc do Wan-Kure, by twarzą w twarz spotkać się z „krwawym baronem". „Trzęsienie i kołysanie się mojej bryczki rozbiło mnie do szczętu – wspominał podróż po wertepach szlakiem uratońskim – skacząc przez kamienie, nory świstaków i rowy, bryczka mknęła, unoszona przez czwórkę dzikich koni, klekotała, trzeszczała i jęczała i chyba tylko przez opór, a może dla podtrzymania reputacji »wygodnych mongolskich powozów« – nie rozsypała się na kawałki". Bolało go wszystko – stawy, głowa, zęby, oczy. Nie mógł spać, siedzieć ani leżeć. Najbardziej jednak doskwierała mu rwąca nie do wytrzymania noga. Pomógł mu dopiero doświadczony klasztorny lekarz-lama, który uleczył jego wszystkie dolegliwości za pomocą dwóch tajemniczych proszków.

▶ U „krwawego barona"

Gdy wreszcie dotarł do Wan-Kure, gdzie mieścił się sztab pułkownika Kazagrandiego, jego wzrok przykuł człowiek o rudej czuprynie, niebieskich, zimnych oczach i białej twarzy, na której malowały się nienawiść i okrucieństwo. Jak się później dowiedział, był to kapitan Wesołowskij, adiutant generała Riezuchina. Tymczasem do miasta zjechał „straszliwy" generał Ungern, który zatrzymawszy się w pałacu księcia Dajczyn-Wana, wezwał do siebie Ossendowskiego. Przekraczając drzwi jurty, ujrzał przed progiem niewielką kałużę świeżej jeszcze krwi. Nie wróżyło to nic dobrego. Baron przywitał go, przewiercając na wskroś stalowymi, olbrzymimi oczami „dzikiego zwierzęcia z głębi jaskini". Lewe, przekrwawione oko było jeszcze groźniejsze niż prawe. Antoni w jednej chwili przekonał się o tym, że ma przed sobą człowieka niebezpiecznego, „zdolnego do natychmiastowych i bezpowrotnych odruchów". Jednak odwaga i uczciwość Ossendowskiego, otwarte przeciwstawienie się przemocy i obrona własnej godności uczyniły wielkie wrażenie na „krwawym baronie" z natury niezwykle porywczym, ale sprawiedliwym. Ten zaś w jednej chwili pojął, że ma przed sobą człowieka niewinnego, ofiarę fałszywych oskarżeń zazdrosnych o jego wpływy oficerów. Jednym, natychmiastowym ruchem ręki dał znać czającemu się za Ossendowskim żołnierzowi, że jego obecność nie jest już konieczna... Okazało się, że był to Wesołowskij – ów biały, rudowłosy człowiek z przepowiedni, wpatrujący się w barona jak w tęczę i gotów w każdej chwili zgładzić każdego, na kogo tylko wyda wyrok śmierci jego dowódca. „Śmierć stanie za tobą" – przypomniały się Ossendowskiemu słowa starego Mongoła. Tym razem był ocalony, baron uwierzył w jego uczciwość i otrzymał zapewnienia od hutuhtu Narabanczi, że ów Polak jest... przeistoczonym bogiem... Toteż Ossendowski szybko zdobył jego zaufanie, a ten zaproponował mu nawet wspólną podróż automobilem do Urgi – stolicy Mongolii. Ostatecznie jednak wyprawił się tam na grzbiecie olbrzymiego, białego wielbłąda, który okazał się wspaniałym wierzchowcem. Za Tołą oczom strudzonego wędrowca ukazało się wielkie pole bitwy – trzeciej z kolei bitwy o niepodległość Mongolii, stoczonej tu niedawno pod wodzą Ungerna, który zatryumfował nad 15-tysięczną armią chińską i wziął do niewoli 4 tysiące jeńców. Chociaż od momentu tych walk minęły już dwa miesiące, ogromny przestwór stepu wciąż był zasłany stosami trupów... Przez pola śmierci przyszło Ossendowskiemu jechać prawie trzy godziny i oglądać „pocięte straszliwie twarze, zdruzgotane czaszki, porozrzucane, odcięte od tułowia dłonie", rozpłatane na pół ludzkie ciała z odciętymi głowami i ramionami. W końcu na widnokręgu ukazała się przed nimi Urga – stolica Mongolii, miasto mnichów, proroków, czarowników i cudotwórców, znane w całej Azji Wschodniej jako siedziba Żywego Buddy. W tym przybytku świętości Ossendowski zwrócił uwagę na dziwną postać – „człowieka

eprasa.pl a536663907

z głową podobną do siodła", przed którym ostrzegał go wróżbiarz. Był to, jak się dowiedział od Kozaków, pułkownik Sipajłow, komendant Urgi – „najbardziej ponura osobistość na krwawym tle mongolskiej epopei z roku 1921". Wierny portret tego degenerata i sadysty tak oto oddał Ossendowski w swych wspomnieniach: „Stale zdenerwowany, podniecony, ustawicznie zżynający się od wewnętrznych nerwowych bólów, mówił szalenie szybko, krztusił się i bryzgał śliną; oczy jego w czasie mowy zezowały, a przez całą twarz przechodziły konwulsyjne drgania. Był to psychicznie chory typ, i baron kilkakrotnie usiłował pozbyć się tego człowieka, który stał się złym geniuszem buddysty Ungerna". Mówiono o nim z nienawiścią i lękiem, bo był to „wściekły, krwiożerczy pies, poszukujący ciągle świeżych ofiar". Jego szaleństwo, okrucieństwo i deprawacja były z pewnością i efektem tego, co przeżył – bolszewicy zamordowali jego rodzinę, a on sam był przez nich wtrącony do więzienia i okrutnie torturowany, aż w końcu udało mu się uciec. Pewnie i dlatego stał się krwiożerczą bestią, „dyszącą nienawiścią". Ossendowski miał się na baczności, przewidując, że ze strony tego człowieka grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Największe jednak wrażenie uczyniła na polskim podróżniku tajemnicza, budząca podziw i lęk w całej Azji, postać barona Ungerna, którego ujrzał znów w Urdze, jak w złocistym, jedwabnym chałacie chana mknął przez miasto z hukiem syreny swym automobilem. Za kilka dni miał zamiar wkroczyć na terytorium Syberii i bić się z bolszewikami. Zanim jednak ruszył ku swemu przeznaczeniu, zaproponował Ossendowskiemu gościnę i... otwarł przed nim tajnie swej duszy. Opowiadał swemu gościowi z polskiej ziemi, że jego ród – Ungernów von Sternbergów – wywodził się od rycerzy krzyżowych, piratów i alchemików. Dziad „krwawego barona" na własnym żaglowcu dopłynął aż do Oceanu Indyjskiego, bezkarnie grasując na jego wodach aż do momentu, gdy został pojmany i zesłany na Sybir. Sam Ungern natomiast, z wykształcenia marynarz, absolwent petersburskiej szkoły morskiej kadetów, służył w pułku zabajkalskich Kozaków, walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej, a w czasie I wojny światowej bił się z Niemcami. Pociągały go filozofia i buddyzm, którego był wyznawcą, tak jak i jego ojciec. Chciał nawet założyć zakon wojennych buddystów do walki z rozpustą rewolucji...". Był bowiem zagorzałym wrogiem bolszewizmu – bezrozumnego, niszczycielskiego żywiołu rewolucyjnego, który opierając się na najniższych instynktach prowadzi do uśmiercenia wszystkiego, co związane z moralnością i sferą ducha. Każdy bolszewik był dla niego „mordercą duszy i ciała społeczeństwa". Wszyscy zaś najwyżsi buddyjscy kapłani przepowiadali Ungernowi, że od śmierci dzieli go 130 dni. Od świątobliwych lamów słyszał nieraz, że otoczą go setki wrogów, że czekają go długie godziny zaciętych walk i że wreszcie otworzą się przed nim podwoje Nirwany. Kilka miesięcy później do kierującego się nadal na wschód Ossendowskiego dotarły wieści o krwawym pochodzie „szalonego barona" przez Syberię Wschodnią i o tym, że mniej więcej po 130 dniach od ich ostatniego spotkania, we wrześniu 1921 roku Ungern został schwytany przez Sowietów i rozstrzelany. Pozostały po nim legendy opowiadane w mongolskich jurtach – legendy o białym rycerzu, który przyszedł z północy, by skruszyć kajdany nałożone Mongołom przez Chińczyków.

Sam zaś Ossendowski, który na krótko stał się osobistym doradcą barona Ungerna i ponoć depozytariuszem jego tajemnicy o wielkim skarbie ukrytym wśród stepów, został prawdopodobnie wysłany przezeń z tajną misją do Pekinu, a potem do Japonii i Stanów Zjednoczonych, gdzie ostatecznie dotarł. Swą zaś pasjonującą opowieść o przymusowej wędrówce przez Mongolię zakończył opisem pobytu w urgijskim pałacu Żywego Buddy: „Kilka razy udało mi się być w siedzibie Bogdo Chana – wspominał. – Rozmawiałem z Żywym Buddą; opowiadały mi o nim osoby najbliżej przy nim stojące – uczeni maramba; widziałem jego wróżby, słyszałem jego proroctwa, oglądałem składy starożytnych ksiąg i kronik dziejów wszystkich Bogdo Chanów. W pałacu »boga« cieszyłem się zaufaniem, ponieważ pismo hutuhtu Narabaczi-Kure otwierało mi drzwi świątyń oraz usta i serca lamaitów".

***

Podróżnicza relacja Ossendowskiego „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów", wydana w wersji anglojęzycznej w Nowym Jorku (1921–1922), w krótkim czasie podbiła światowy rynek wydawniczy i przetłumaczona została na kilkanaście języków. Jej autor, oskarżany o zmyślenia i konfabulacje przez szwedzkiego podróżnika Svena Hedina, odpierał ataki i bronił swej książki, twierdząc, że nie jest ona publikacją ściśle naukową, ale „romantyczną opowieścią o podróży przez Azję Środkową dla szerokiej publiczności". Jednocześnie zapewniał, że zawiera opis jego autentycznych przeżyć i przygód. Z pewnością jest to dzieło niezwykłe, które wprowadza w tajemniczy świat buddyjskich kapłanów, żywych bogów, mędrców i wróżbitów, świat wstrząsany przez „krwawego barona", porywającego do walki Mongołów, świat „półbandytów, półrycerzy, półmnichów, tego zgromadzenia wygnańców i mścicieli, pędzonych wypadkami dziejowymi w objęcia śmieci". ■

eprasa.pl a536663907

Piotr Lisiewicz

Sergiusz Piasecki w powieści „Zapiski oficera Armii Czerwonej" najlepiej, bo w satyryczny sposób opisał wkroczenie do Polski bolszewickiego chama. Ale poniższy tekst świetnego pisarza Adolfa Nowaczyńskiego wnosi do tego opisu bardzo wiele od strony filozoficznej. Artykuł opublikowany został w poznańskiej „Tęczy" w 1930 r., ale pada w nim proroctwo wręcz porażające, które spełniło się w Polsce po 1989 r. Otóż Nowaczyński przewiduje, że komunistyczni władcy w naszym regionie, czyli „przybłędy historyczne", czy „zjadacze ludów" będą postrzegani przez niektórych jako tacy, którym udało się coś pozytywnego w jakichś dziedzinach osiągnąć. Co naprawdę zrobili, dowiemy się później: „dopiero po ich odejściu, w następnej generacji okazać się może, jak głęboko demonią swoją zatruli wszystkie zdrowe tkanki organizmu przez siebie rządzonych narodów". Z tym się dziś mierzymy, dlatego czytajmy Nowaczyńskiego!

Adolf Nowaczyński

Profesorowi Marianowi Zdziechowskiemu, autorowi dzieła o Napoleonie III-cim, poświęcone.

Motto:
„Każda epoka potrzebuje wielkich nazwisk; jeżeli ich brak, wtedy je wymyśla"
Helwecjusz

Chan chamstw
Józef Wissarionowicz Dżugaszwili

Tam na Wschodzie w krainie nihilizmu i anarchizmu znajdą się nowi ludzie, mocni ludzie, bez żadnych skrupułów. Ich zamiarem jest zniweczyć i wywrócić wszystko do cna i rozpocząć życie na nowo od ludożerstwa.

Obchodził niedawno jubileusz, pięćdziesięciolecia urodzin swoich, zatem jest jeszcze stosunkowo młody. W galerii tych nowego typu „regentów", rekrutujących się z hersztów, w galerii uzurpatorów na Słowiańszczyźnie, „włamywaczy w historię", z tej trójcy najmłodszy, najzdrowszy, pełen sił, choć tam pono na epilepsję, herbową chorobę „Biesów" Dostojewskiego, też cierpiał i w sanatorium w Gorkach jakiś czas przebywał. W każdym razie 50 lat to „wiek męski, wiek klęski", ale nie jego, tylko tych mas, tej miazgi, tego mrowia, tej Tszaudali, co niebacznie na takie szczyty podsadziła „Warega" ale „Warega" od Południa, Kaukazczyka, Gruzina. Znowu się spełnia starorzymska maksyma: „Graecia capta"... Z narodów oprymowanych, krzywdzonych, gniecionych, poszkodowanych „ex ossibus nostris adest ultor" przychodzi mściciel. Gruzja jęczała jak jęczy pod kopytami najazdu moskiewskiej Sowietarchii, ale za to Gruzin „Stalin", dyktator impostor swoim butem gniecie sto milionów, ogładza, łupi, pali, rozstrzeliwa masami, wyrzuca z odwiecznych siedzib, zsyła na banicję, mści się, pastwi, tarza się w nieszczęściach i niedolach rdzennych Rosjan, mógłby się kąpać w sadzawce z łez wylanych.

Napad na bank i ekspropriacja „kapitału"

Idzie, wywodzi się ten śmieszny a piekielny potworek z tej samej kompanii, z tego samego gatunku, który ongiś przegrywający Niemcy narzucili Wschodniej Europie, dowożąc ich do granic w swojej asyście w wagonach plombowanych i nieplombowanych, licząc słusznie na ich wieczystą, dożywotnią wdzięczność. Opowiadają o tem per longinu et latum dwaj specjaliści w dostawaniu „Waregów" niejako kingmacherzy dla Słowiańszczyzny, hr. Hugo Kessler i generał Hoffmann. Wynurzenia serdeczne i rolę historyczną pierwszego dostatecznie znamy. Zaś szef sztabu i kierownik Wydziału propagandy gen. Hoffmann mówił:

„Rzecz prosta, że w czasie wojny sztab generalny korzystał ze wszelkich środków, ażeby zniszczyć front rosyjski. Jednym z tych środków – wszystko jedno, jak go nazwiemy – był Lenin. Cesarski rząd niemiecki wysłał Lenina w zaplombowanym wagonie w określonym celu. Za zgodą naszą Lenin i jego towarzysze zdemoralizowali armię rosyjską. Sekretarz stanu Kühlmann, hr. Czernin i ja zawarliśmy układ z Leninem głównie dla-

eprasa.pl a536663907

tego, żeby móc przerzucić armię na front zachodni. Układając się w Brześciu z tymi panami, byliśmy najmocniej przekonani, że nie utrzymają się przy władzy dłużej, niż dwa – trzy tygodnie. Proszę mi wierzyć, że nie bacząc na to, iż Lenin i Trocki w swoim czasie oddali nam nieocenione usługi, gdybyśmy wiedzieli albo przewidywali następstwa naszej współpracy z Leninem, nigdy byśmy pod żadnym pozorem nie weszli z nimi w układy, chociaż dusiliśmy się wtedy po prostu i pokój był nam konieczny za wszelką cenę. Tego pokoju nie mogła nam zapewnić żadna partia rosyjska: jedynym ratunkiem dla nas byli bolszewicy, uczepiliśmy się ich, nie biorąc zupełnie pod uwagę skutków tego nienaturalnego porozumienia [...]".

Z dalszej tedy perspektywy historycznej należy całkiem inaczej, bo sumarycznie, zapatrywać się na genezę układu stosunków powojennych i w Europie. Dowiezionych tam swoich sympatyków sfery rządzące niemieckie uważały niejako za podświadomych emisariuszów, niejako moralnych wasali czy locum tenentes pangermanizmu, osadzonych na Wschodzie w dużych grupach jednych do r. 1917 współkombatantów, innych od r. 1917 sprzymierzeńców, w każdym razie narzuconych czy nasłanych słowiańskim narodom (w ich mniemaniu) w tym celu, aby przez czas ich władania zduszony i zgnieciony imperializm Teutonów mógł podlizać się w pierwszym dziesięcioleciu z ran i przyjść do siebie, by z czasem znów stanąć na nogi gotów do nowego „Drang nach Osten". [...]

Locum tenentes rosyjski Gruzin nie jechał do swej „ojczyzny" w zaplombowanych wagonach niemieckich z ładunkiem bakcyli leninowskich. Jego rok 1917 zastał w syberyjskich tajgach na zesłaniu, z czego też utworzono wielką legendę, koloryzując i blagując na znany manier. Zaczynał swą wielką, „lśniącą karierę" następcy Lenina-Uljanowa tak samo jak tego nowego stylu bohaterzy eurazyjscy, od terrorystycznego napadu na Bank w Tyflisie (1906). Ten napad na bank i ekspropriacja „kapitału" (grab nagreblennoje) to kamień węgielny jego popularności i „romantyczna" aureola [...].

Ponieważ ten typ regentów, wywodzących się z hersztów dopiero we Wschodniej Europie, najpierw wyszedł na widownię i raczej dopiero debiutuje w kunszcie rządzenia, przeto jedynie w przyszłości okaże się dopiero, czy wybór i dobór takich „przybłędów historycznych" był trafny i szczęśliwy dla ich narodów, czy też przypadkiem nie zarazili oni swych poddanych miazmatami swych mentalności bądź co bądź anarchicznych i satanicznych, bo wszelkiemu ładowi i porządkowi etycznemu na świecie w ogóle organicznie wrażych.

▶ Brutalni, nielojalni, zawistni oszczercy

Zapewne, że i takie „przybłędy historyczne", tacy „zjadacze ludów", demovores mogą czas jakiś w maskach włodarzy, gospodarzy, rządców zdziałać coś pozytywnego czy efektywnego, „złudzić spółczesność", ba nawet uchodzić nie za emisariuszów Szatana, ale za ludzi Opatrznościowych! Ale dopiero po ich odejściu, w następnej generacji okazać się może, jak głęboko demonią swoją zatruli wszystkie zdrowe tkanki organizmu przez siebie rządzonych narodów. To też jeżeli szczęśliwymi czują się nacje, które w państwa organizowali tacy ludzie świetlani, jak Waszyngton, Lincoln, Cavour, Masaryk, lub nawet Cromwell z biblią i Gustaw Adolf z biblią, to jednak nie jest jeszcze stwierdzone, czy mogą przetrwać burze dziejowe nawy państwowe, budowane przez narzuconych splotem przypadków awanturników, których głównym rysem jest odraza i pogarda dla rządzonych, potęgowana w nich furią „zbuntowanego niewolnika" wobec narodu swoich byłych władców, odraza śmierdzącego sługi z Dostojewskiego, tego Smerdiakowa, pastwiącego się nad swym dawnym panem i rozkazodawcą.

Aby zdać sobie sprawę, jaki to „czerwony car" rządzi teraz za naszą wschodnią ścianą i dysponuje 60-cioma dywizjami i najtęższą po amerykańskiej flotą skrzydlatą, trzeba sobie zestawić dwie lektury, to jest przypomnieć Dostojewskiego głównie „Biesów" i świeżo wydany a cieszący się olbrzymią poczytnością w Europie pamiętnik Lwa Dawidowicza Trockiego: „Aus meinem Leben". W „Biesach" Dostojewskiego jest cały program „cezaryzmu demokratycznego..." Szygałowszczyzna. Oto jak formułują ten program „bohaterzy":

„Cóż zrobił socjalizm? Stare siły poniszczył, nowych nie wytworzył! A my tymczasem będziemy mieli siły i to jeszcze jakie! Socjaliści fetyszów nie mają, a my mamy swego fetysza! Wy jesteście naszym fetyszem! Was by nikt nie ośmielił się poklepać po ramieniu. Wy jesteście arystokratą takim jak rzadko! Dla was nic nie znaczy życie własne lub cudze. Wy jesteście wodzem! wyście słońcem! a my jesteśmy marne robaki u waszych stóp!" [...].

Albo:

„Każdy członek naszej zmowy pilnuje jeden drugiego i obowiązany jest go denuncjować. Każdy należy do wszystkich, a wszyscy do każdego [...]. Wszyscy są niewolnicy i w niewolnictwie równi [...]. bez

eprasa.pl a536663907

despotyzmu jeszcze nie było ani swobody ani równości, ale w stadzie musi być równość, oto jest Szygałowszczyzna! [...]".

Ale ten fetysz, carewicz... ten Człowiek Legendy, ulepiony przez gromadę „Biesów", mówi:

„Zaplątałem się we własnych przesłankach i moja konkluzja jest w zupełnej sprzeczności z założeniem z któregom wyszedł. Wychodząc z bezgranicznej swobody, kończą bezgranicznym despotyzmem: dodam jednak, że prócz mego rozwiązania formuły społecznej, żadnego innego rozwiązania być nie może" [...].

W „Braciach Karamazowych" zaś, powieści, napisanej akurat równo pół wieku temu (1880), mówi Szatan, który zeszedł do nihilisty amoralisty Fedorowicza:

„Tam na Wschodzie w krainie nihilizmu i anarchizmu znajdą się nowi ludzie, mocni ludzie, bez żadnych skrupułów. Ich zamiarem jest zniweczyć i wywrócić wszystko do cna i rozpocząć życie na nowo od ludożerstwa. Głupcy! Czemu się nie zwrócili do mnie o radę, po co się tyle męczyć, wieszać, rzucać bomby, przecież to zbyteczne wszystko. Wystarczy po prostu zniszczyć w człowieku pojęcie Boga i wpoić przekonanie, że Boga niema, a tym samym padnie wszystko i cała moralność sczeźnie, człowiek sam dla siebie będzie bogiem i zrobi się miejsce dla zorganizowanej bezbożności" [...].

„Brutalny i nielojalny, skłonny do nadużycia władzy".

Bucharin zwierzał się Trockiemu: „Drugą cechą Stalina to niezwykła zawiść do tych, którzy wiedzą lub umieją więcej niż on". Sam zaś Trocki pisze od siebie:

„Jego stosunek do faktów i ludzi odznacza się wyjątkową bezceremonialnością. Jego opinie o ludziach pełne są sprzeczności. Niegdyś o mnie mawiał, że zwycięska rewolucja październikowa zawdzięcza swe powodzenie Trockiemu; obecnie oświadcza, że żadnej wybitnej roli Trocki nie grał. To samo jest z opinią Stalina o Zinowiewie i Kamieniewie, można nie wątpić, że wkrótce Stalin o Rykowie, Bucharinie, Tomskim, będzie powtarzał te same opinie które jeszcze wczoraj uważał za złośliwe oszczerstwa opozycji. Jakże Stalin decyduje się na takie sprzeczności? Oto występuje z mowami albo artykułami dopiero wówczas, gdy przeciwnicy pozbawieni są możności odpowiadania"...

I tacy są regenci-hersztowie, Impostorzy, cezarowie słowiańscy, w samej istocie swej natury, na „Biesach" Dostojewskiego na ich wzór i podobieństwo formowani. Brutalni, nielojalni, zawistni, zmiennicy i oszczercy. Cały ich kunszt utrzymania się na powierzchni polega na wygryzaniu i podkopywaniu jednych konkurentów do władzy drugimi, po czym na eskamotowaniu „principiów", programów i idei właśnie tym usuniętym i zwyciężonym. Cały talent czy instynkt władczy tych drapieżników zasadza się na tkaniu intryg, zastawianiu wilczych dołów, nasnuwaniu pajęczych sieci, na szakalim rzucaniu się na gardła i przegryzaniu grdyki przeciwnikom. Wcielenie Smerdiakowa, chytry i plugawy plebej Józef Wissarjonowicz ten kunszt pozbywania się i topienia indywidualności od siebie mądrzejszych, a mniej gadzinowych doprowadził do wirtuozostwa i absurdu. [...].

Krym lub Sybir

Z rozgromu wyratował się Woroszyłow, na którego już, już miała iść nagonka i szczucie, gdyby nie jego pochlebstwa. Podchlebcy bowiem potrafią się wyratować przy rządach kamarylli „Biesów". Woroszyłow ogłosił Stalina wielkim „wodzem wojny domowej". Tymczasem ten to właśnie strateg i militarysta od siedmiu boleści jak się okazało najwalniej w r. 1920 przyczynił się do zwycięstwa polskiej armii, dowodzonej przez tak świetnych fachowców, jak Sikorski, Weygand, Hallerzy, Szeptycki, Rozwadowski, Latinik, Piłsudski, Skierski. Stalin bowiem miał specjalny apetyt na Lwów wtedy, kiedy Tuchaczewski i Szmilga szli na Warszawę i jego fałszywe ambicje walnie dopomogły do rozgromienia Sowietów. Kiedy bowiem dopiero na skutek kilku rozkazów i gróźb południowe wojska, przez Stalina na Lwów pchnięte zmieniły kierunek działania, było już za późno i Tuchaczewski, pozbawiony tego sukursu musiał uciekać.

Takim to wodzem i strategiem okazał się swego czasu Józef Wissarjonowicz. Pomimo tego pochlebcy i panegiryści nadal o nim piszą jako o „Spasitielu" i znawcy spraw wojskowych, które to „znawstwo" polega też na „czystce" w wojsku [...].

Personalne animozje, nienawiści i zawiści stały się jego żywiołem, z którego czerpał olbrzymie zasoby niespożytej aktywności i energii. Kto tylko nie uprawiał fetyszyzmu wobec następcy Lenina, kto tylko był „niepewny", na tego zaraz szła ofensywa cuchnących oszczerstw, kalumni, „rugatielstw" w stylu Smerdjakowskim, po czym podziemne podkopy intryg, prowokacyj, podejść, wciągania do wsypy, a w rezultacie dymisja, banicja, ogładzanie, Krym lub Sybir. ■

_____

Przedruk za: „Tęcza", 16.08.1930, Poznań, nr 33.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl a536663907

Ryszard Czarnecki

List z Uzbekistanu

Jestem w Uzbekistanie po raz kolejny, ale pierwszy tuż po tym, jak ten środkowoazjatycki kraj odegrał kluczową rolę podczas kryzysu afgańskiego. Na jego terytorium lądowały samoloty państw NATO wywożące tysiące prawdziwych uchodźców – a nie imigrantów zarobkowych – przez lata współpracujących z Zachodem. Dawna Uzbecka Socjalistyczna Republika Sowiecka – obecna Republika Uzbekistanu to najliczniejsze państwo Azji Środkowej. Ma niesłychanie ciekawą historię: kiedyś mieściły się na tych ziemiach starożytne królestwa m.in. Sogdiany (ze stolicą w Samarkandzie), potem rządzili nimi Persowie, następnie podbił je Aleksander Macedoński, by wreszcie stać się łupem Arabów, którzy doprowadzili najpierw do upadku rozwijającej się od Macedończyka kultury, a potem dokonali głębokiej islamizacji. Po wiekach wrócili Persowie, ale już nie zmieniła się religia. Terytorium obecnego Uzbekistanu spustoszył bohater narodowy dzisiejszej Mongolii Czyngis-chan. Mongołów z kolei wyparł Timur. Przez paręset lat rządziły tam koczownicze plemiona uzbeckie, aby w XIX wieku stać się częścią rosyjskiego imperium: „Biała Rosja" rywalizowała w tym regionie Azji o wpływy z Brytyjczykami. „Czerwona Rosja" utrwaliła przynależność tego terytorium, tworząc przed 97 laty Uzbecką SRS.

W tym roku Uzbecy świętowali 30-lecie swojej niepodległości. Charakterystyczne, że w samym jej zaraniu była ona zagrożona przez radykalnych islamistów, którzy chcieli przekształcić kraj w państwo muzułmańskie, a później – z poparciem Al-Kaidy – utworzyć w Azji Środkowej ponadnarodowy kalifat.

Każdy, kto interesuje się rosyjskim imperializmem, wie, że to właśnie z terytorium Uzbeckiej SRS armia sowiecka uderzyła na Afganistan w grudniu 1979 roku. Choć Uzbekistan ma z Afganistanem granicę liczącą niewiele ponad 100 km, a z pozostałymi pięcioma krajami postsowieckiej Azji granice te liczą przeszło 1000 kilometrów, a z Kazachstanem 2200 km – to rola Taszkientu w afgańskim kontekście była istotna wtedy, przed czterema dekadami, i jest fundamentalna teraz.

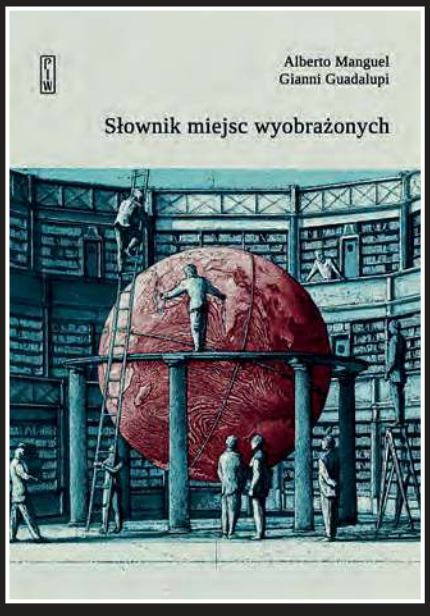
Powiedzenie, że w tym kraju toczy się gra między Wschodem (Rosja) a Zachodem – to uproszczenie. Uzbekistan jest bowiem bardzo uzależniony ekonomicznie od Chin, m.in. w 2020 roku podpisał wieloletnią umowę gazową. Powoli maleją wpływy Rosji, która decydowała tu o wszystkim w ostatnich dwóch wiekach, ale też po krótkim epizodzie z amerykańskimi bazami zmniejszyły się bardzo wpływy USA. Rośnie natomiast pozycja bardzo aktywnej w tej części Azji Turcji.

Interesowałem się tym regionem i wywalczyłem – po batalii ze... Skandynawami! – iż znalazł się on w moich kompetencjach jako wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego (podobnie jak Ukraina, Białoruś i Kaukaz Południowy). Od ubiegłego roku jestem natomiast, także w Brukseli, szefem EU – Uzbekistan Frendship Group.

Przed pięcioma laty prezydenta-dyktatora Islama Karimowa zastąpił premier Szawkat Mirzijojew. Nieżyjącego już dyktatora z Taszkientu nie potępiam: rządził żelazną ręką, aby władzy w kraju nie przejął Islamski Ruch Uzbekistanu – na tyle silny, że wywołał dżihadystyczne powstanie i miał swoich licznych ludzi w strukturach władzy, wojska i policji. Dzisiejsza ich „mądrość etapu" polega na tym, żeby otwierać się na zachodnie inwestycje (w ostatnim czasie zwłaszcza z Niemiec i Holandii, choć również Węgrzy kupili piąty co do wielkości uzbecki bank!). To strategia, którą można by streścić jednym zdaniem: „Bogacimy kraj, rozwijamy gospodarkę, a w polityce międzynarodowej stosujemy »balance of power«".

Swoją filię w Uzbekistanie jako pierwsza uczelnia europejska utworzyło warszawskie Collegium Humanum (mam zaszczyt być przewodniczącym jego Konwentu). Polska stała się dla Uzbekistanu największym hubem dla ich produktów w Europie. Sprowadzamy również sporo Uzbeków do pracy – w ostatnim czasie awansowali oni na trzecią pozycję na liście najbardziej poszukiwanych nacji do pracy nad Wisłą. Mając podobne doświadczenia z komunizmem nasz kraj jest tutaj traktowany z większą otwartością niż inne państwa Europy Zachodniej z ich nieodzowną arogancją ... ■

eprasa.pl a536663907



Alberto Manguel, Gianni Guadalupi, „Słownik miejsc wyobrażonych", PIW, Warszawa 2019

Krzysztof Wołodźko



MIEJSCA WYOBRAŻONE. ISKRY ŚWIATŁA, SMUGI CIENIA

„Słownik miejsc wyobrażonych" Alberto Manguela i Gianniego Guadalupiego udowadnia, że literatura jest miejscem wielkim jak ludzka wyobraźnia.

eprasa.pl a536663907

Na kartach „Łowców przygód w dalekich krainach" Raimund Schulz zwraca uwagę, że Odyseusz nosi przydomek polytlas – „wyrażający całe spektrum znaczeń między pełnym zaciekawienia poznawaniem i cierpliwym cierpieniem: jest »ważącym się na wiele« i zarazem »wiele znoszącym«, jest śmiałym odkrywcą i tym, który jest dotkliwie karany za swoją odwagę odkrywania". To cechy wędrowca; tego, który poznaje świat. *Aner polytropos* to człowiek inteligentny i wytrzymały, zdolny do przetrwania dzięki sprytowi i inteligencji; człowiek, który potrafi przezwyciężać klęski i straty bez tracenia z oczu celu. „Są to cechy – pisze Schulz – w których odnajdywali się żeglujący po morzach, trudniący się handlem i zakładający nowe kolonie Grecy".

Spójrzmy szerzej. Odyseusz to jedna z ważniejszych postaci homeryckich opowieści. Wartość tych eposów polega nie tylko na pokazaniu ludzkich zmagań, to świadectwa ludzkiej zdolności do tworzenia opowieści, mitów, a także miejsc wyobrażonych, które wzbogaciły kultury i cywilizacje kolejnych stuleci; miejsc fikcyjnych lub realnych, ale przenikniętych literacką treścią do tego stopnia, że znacznie lepiej są znane jako wyobrażone. To miejsca bliskie naszej cywilizacji, która z Grecji i Rzymu zaczerpnęła źródłowe wartości, a później poddała je chrześcijańskim, postchrześcijańskim i antychrześcijańskim przeobrażeniom. Nie jest to opowieść jednorodna – dobrze to widać po baśniach, opowieściach, mitach, filozofiach, teozofiach, ideologiach kolejnych stuleci.

▶ Bezkres urojonego wszechświata

„Słownik miejsc wyobrażonych" Alberto Manguela i Gianniego Guadalupiego w pełni udowadnia, że literatura jest miejscem wielkim jak ludzka wyobraźnia, w którym mieszają się wszystkie te fenomeny. Literatura daje istnienie i długie trwanie. Profan albo belfer powie o fikcji literackiej, ale wiemy, że to coś więcej: bez „miejsc wyobrażonych" niemożliwe byłoby człowieczeństwo rozumiane także jako pełne wyobraźni pragnienie poznawania świata. Pełne pułapek, zmyśleń, nawet kłamstw – od wczesnych lat dzieciństwa uczą nas świata, uwrażliwiają na jego bogactwo, zachęcają do jego poznawania, mówią o jego pięknie, przepaściach, grozie i wspaniałości. Niektóre z nich wydają się przeznaczone wyłącznie dla dzieci, inne wielka literatura wzięła za swoje, choć należą przecież do najważniejszych, archetypicznych miejsc ludzkości, kolejne są utopiami mędrców sprzed stuleci, starających się zaprojektować ludzkości i narodom szczęśliwą przyszłość.

Rzecz ważna – tysiącstronicowy „Słownik miejsc wyobrażonych" nie jest zestawieniem bez reguł. Jak tłumaczą autorzy: „Wobec bezkresu urojonego wszechświata musieliśmy ze względów praktycznych wytyczyć pewne granice. Najpierw świadomie ograniczyliśmy się do miejsc, które podróżny ma szanse odwiedzić, wykluczyliśmy zatem wszelkie piekła oraz krainy z przyszłości, a także pozaziemskie". Autorzy tłumaczą, że unikali miejsc realnych, które weszły do kanonu literatury, a jednak uwzględnili choćby wyspę Robinsona, „choć ma ona swój pierwowzór historyczny". Z drugiej strony zrezygnowali ze Stumilowego Lasu i Wodnikowego Wzgórza, „choć owe miejsca rzeczywiście istnieją, figurują na mapach prawdziwego świata".

W pierwszym przypadku wyspa słynnego rozbitka „wydobyła się [...] z kokonu namacalności, aby stać się na wieki symbolem czegoś nieokreślonego, budzącego niejasne skojarzenia z ucieczką, z oniryczną samotnością i białym piaskiem plaż". W drugim zaś przypadku „autorzy na rzeczywistych krajobrazach zaszczepili [...] własne wizje, zmyślając postaci oraz ich postępki, ale nie scenerię". Łatwo wychwycić tę różnicę, opartą na znaczeniu wyobrażeń dla opisywanego miejsca, choć wielu czytelniczkom i czytelnikom wyda się nadto uznaniowa, szczególnie jeśli ugodzi w ich literackie gusta. O tym, że autorzy musieli jednak wziąć pod uwagę głosy odbiorców, świadczy nota do wydania poprawionego, w której przyznają choćby, że „świat wymyślony nieustannie się rozrasta i co roku na kartach książek rodzą się nowe kontynenty umysłu". Dodajmy dla porządku, że polska edycja słownika ma 1838 haseł i odsyłaczy. Hasła z literatury polskiej opracowali Jan Gondowicz i Andrzej Brzozowski.

▶ Grecka wyspa i polska akademia

Skoro zacząłem od Hellady, jej mitów i podróżników – „Słownik" Manguela i Guadalupiego to księga, na kartach której homerycka Ajaja (Ai) mieści się tuż nad Akademią Pana Kleksa. O tej pierwszej autorzy piszą krótko: „wyspa na wschodzie Morza Śródziemnego, acz zdaniem niektórych na Morzu Czarnym. Niemal bezludna, jeśli nie liczyć czarodziejki Kirke i jej sług, zamieszkałych w domu z gładzonych kamieni, otoczonym gęstwą krzewów i drzew pośrodku dużej doliny. Podróżników należy ostrzec, że wi-

eprasa.pl a536663907

zyta na Ajai może zmienić ich styl życia, albowiem Kirke zwykła przemieniać gości w wilki, lwy i wieprze".

Czego zaś dowiadujemy się o Akademii Pana Kleksa? Że jest to „uczelnia dla chłopców prowadzona przez profesora Ambrożego Kleksa. Mieści się w trzypiętrowym budynku z kolorowej cegły na końcu ul. Czekoladowej". Sam profesor „znany jest z tego, że potrafi ze snów złapanych w lusterka, a następnie starannie wyselekcjonowanych, suszonych i mielonych na proszek, przygotować pigułki zapewniające przyjemny sen". Rzecz ważna: „turyści chcący telefonicznie umówić się na zwiedzanie Akademii powinni być przygotowani na niełatwą rozmowę. Z dużym prawdopodobieństwem telefon odbierze Mateusz, który nie wymawia początku słów i w ogóle ma problemy z artykulacją, ponieważ jest szpakiem".

Ktoś odniesie wrażenie krotochwili, czytając podobne słownikowe hasła. Niech nas nie zwiedzie subtelne ciepło uśmiechu, który mógł towarzyszyć trudom gigantycznej pracy nad tak skomplikowaną materią. Ironiczny ton daje także pewien niezbędny dystans. Nie zawsze miejsca wyobrażone przenoszą nas w świat baśni i bajek, mitów uładzonych dla potrzeb dziecięcej czytanki. Baleuta, jedna z Wysp Mądrości położonych na mało znanym archipelagu na Pacyfiku, to państwo oparte na ideałach platońskich. Panuje tam zasada wspólnoty posiadania kobiet i dzieci, kilka razy w roku urządza się tam loterię małżeńską; przerywanie ciąży stanowi naturalny element inżynierii społecznej, a dla starszych kobiet aborcja jest przymusowa, gdyż „Platon uważał, że rodzicielstwo powinno być dozwolone tylko do pewnego wieku".

„Wstęp do etyki dla taksówkarzy"

Służbą zdrowia na Baleucie kieruje minister filozofii medycznej, który nie ustaje w pracach nad dziełem „Obowiązki ludzi wobec bakterii wąglika w świetle »De Officiis« Cycerona". Ale i tam wciąż zdarzają się problemy: Pocztę Państwową przejęło Ministerstwo Etyki Transcendentalnej, „gdy wyszło na jaw, że pod dotychczasowym kierownictwem aż osiemdziesiąt procent przesyłek nie docierało do adresatów". Na tym nie koniec intrygujących praw i obyczajów tego kraju. Co prawda z platońskiego państwa wygnano liryków i epików, czyli poetów, za to dobrze widziani są filozofowie. Dlatego także dorośli mogą swobodnie uczęszczać na kursy w rodzaju: „Wstęp do etyki platońsko-sokratejskiej dla taksówkarzy" lub „Parmenides dla balwierzy". Hasło „Baleuta" zawdzięczamy książce Alexandra Moszkowskiego, zatytułowanej „Wyspy Mądrości. Dzieje pewnej śmiałej ekspedycji", wydanej w Berlinie w 1922 roku.

Istnieje zapewne tyle sposobów czytania „Słownika miejsc wyobrażonych", ilu jego odbiorców. Jeśli pójdziemy tropem platońsko-utopijnym, z miejsca trafimy na Atlantydę. Poznamy ją nie tylko utrwaloną w przekazie platońskim, lecz także jako miejsce opowiedziane przez Pierre'a Benoit w „Atlantydzie" (1919 rok), sir Arthura Conana Doyle'a w „Głębinie Maracot" (1929 rok). Jeśli „Słownik" dostanie w swe ręce dociekliwy nastolatek (rodzice, pomyślcie o takim prezencie!), być może poprowadzi dalej samodzielne dociekania, wyszukując w kulturze wyższej i niższej wciąż nowych tropów Atlantydy. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobił na mnie w czasach nastoletnich kultowy dziś komiks z czasów PRL, czyli „Zagłada Atlantydy" Wiesławy Wierzchowskiej i Zbigniewa Kasprzaka. Nie znałem wówczas jeszcze terminu *hybris*, które oznacza „nieposkromioną pychę, zuchwałość i arogancję, cechy, które według starożytnych Greków obrażały bogów i wywoływały ich zemstę". A przecież także komiksowa opowieść o Atlantydzie była historią ludzkiej pychy i zuchwałej potęgi, która niczym okazuje się dla bogów.

A jeśli pójdziemy dalej, trafimy na „Utopię" sir Tomasza More'a (Londyn, 1516 rok). Rzecz wymowna – to jedno z najobszerniejszych haseł w „Słowniku". My, żyjący na gruzach dwudziestowiecznych utopii, które przepoczwarzyły się w antyraje na ziemi, raczej niechętnie polecielibyśmy tam na wczasy: „Utopia jest republiką, w której nie istnieje własność prywatna, a wszyscy poważnie traktują swoje obowiązki wobec państwa. Nikt nie jest bogaty, lecz nie istnieje ubóstwo i nikomu nie grozi niedostatek. Magazyny publiczne są nieustannie pełne dzięki wydajności gospodarki i racjonalnie zaplanowanej dystrybucji zasobów naturalnych. Zniesienie prywatnej własności i pieniądza wyeliminowało chęć posiadania i pożądania bogactw, a także przestępczość oraz nadużycia związane z pragnieniem gromadzenia majątku i osiągnięcia wyższej pozycji społecznej. Z tego samego powodu zniknęła w kraju bieda".

Uważaj, jak tłuczesz jajko!

Patrzę na „Słownik miejsc wyobrażonych" oczyma kogoś, kto interesuje się historią idei, przełożeniem kulturowych i cywilizacyjnych paradygma-

eprasa.pl a536663907

tów na politykę i metapolitykę. Ale – jak zasygnalizowałem wcześniej – przyniesie on prawdziwą przyjemność tym, którzy literaturę traktują jako przepustkę do świata nieskrępowanej wyobraźni, bogactwa emocji; którym literatura pomaga w opowiadaniu samemu sobie i innym o przekonaniach i odczuciach dotyczących świata i tego, co nas w nim spotyka; którzy szukają w książkach odpoczynku i fantazji.

Dla wielu będzie to także podróż sentymentalna do czasów, gdy ze świeżym umysłem i otwartym sercem poznawali książki, które do dziś uważają za najważniejsze. I wreszcie, leksykon wyobrażonych miejsc nie pozostawi obojętnym tych wszystkich, którzy traktują literaturę na serio, nawet jeśli nie zajmują się zawodowo jej poznawaniem. Dla osób, którym zdarza się beznadziejnie pogrążyć w lekturze i zamyślić nad nią, będzie to wręcz książka niebezpieczna. Sprawia to wielość miejsc, postaci, podróży i tułaczek, nadziei i strachów, ludzkich i nieludzkich miłości i nienawiści, bardzo szeroki horyzont czasowy, a jeszcze szerszy – wyobrażeniowy.

Ze „Słownikiem" udamy się na wyspy Lilliput i Blefusku, odkryte w 1699 roku przez Lemuela Guliwera. To świat, na którym nie brak poważnych problemów: „Cesarstwem targają ostatnio konflikty wewnętrzne. Zgodnie z tradycją jajka rozbijano od grubszego końca, lecz gdy cesarz zobaczył, jak jego syn skaleczył się w palec, rozbijając jajko tym sposobem, wydał edykt nakazujący tłuc jajka od cieńszego końca. Wywołało to gwałtowny opór ze strony ludu i doprowadziło do wybuchu sześciu rebelii. W trakcie rozruchów jeden z cesarzy stracił tron, inny postradał życie. Sytuacja stała się jeszcze poważniejsza, gdy zaczęli wtrącać się monarchowie Belfusku, sąsiedniej wyspy, oferując azyl pokonanym buntownikom ze stronnictwa Grubo-Końców".

Ze „Słownikiem" odwiedzimy także tolkienowską Morię, „największą z siedzib krasnoludów, jakie zbudowano w Śródziemiu": „Podczas Wojny o Pierścień Drużyna Pierścienia przeszła przez Morię, nie mogąc inaczej przekroczyć Gór Mglistych. Atakowana była przez orków, trolle jaskiniowe i wreszcie przez samego Barloga. Wszyscy uciekli wąskim łykowatym mostem wiodącym ku wschodniej bramie – jedynie czarodziej Gandalf Szary pozostał z tyłu, aby stoczyć walkę z Barlogiem. Obaj spadli z mostu, który uległ zniszczeniu, lecz walka toczyła się dalej przez dziesięć dni. Dobiegła kresu dopiero, gdy przeciwnicy wyłonili się na szczycie góry ponad Morią, skąd Barlog został strącony i taki był jego koniec".

▶ Popkultura i klasyka

To „Słownik" przypomni nam lub pozwoli dopiero odkryć krainę Nigdziebądź, powołaną do istnienia przez Neila Gaimana w połowie lat 90. XX wieku. Nigdziebądź „to kraina w Anglii, pod spodem Londynu, nazywana Londynem Pod, w której układ dzielnic pokrywa się z siecią metra. [...] Ci, co przybywają do Nigdziebądź, zostają zapomniani w swoim dotychczasowym świecie – który tubylcy nazywają Londynem Nad – tak jakby ich tam nigdy nie było, i stają się niewidzialni i niesłyszalni dla wszystkich, poza mieszkańcami Nigdziebądź. Jednak ściany budynków zachowują pamięć przeszłości i zwiedzającego kraj podróżnika mogą w różnych miejscach porazić nagle bolesne obrazy okropnych czynów popełnionych w dawnych czasach. Źródłem światła w Nigdziebądź są płomienie świec. Specjałem tutejszej kuchni jest potrawka z kota, podobno niezwykle smakowita".

A zatem – nie tylko klasyka, lecz także popkultura. Wszak Nail Gaiman jest jednym z najpopularniejszych współczesnych powieściopisarzy, który w świecie komiksu zasłynął onirycznymi, pełnymi grozy i wszelkiej mitologii opowieściami o Sandmanie, władcy krainy marzeń sennych. Kto lubi zasypiać, słuchając audiobooków, kto lubi do poduszki opowieści z dreszczykiem, ten koniecznie powinien sięgnąć po jego powieści i opowiadania. Co ważne: klasyka literatury i popkultura nie wykluczają się przecież. W leksykonie, miejscu miejsc, znajdziemy Po Drugiej Stronie Lustra, „krainę leżącą za dziekanatem Christ Church College w Oxfordzie", a także Oz, krainę podzieloną między kraje Manczkinów, Winków, Kwadlingów, Gillikinów. I piękną Narnię, powołaną do życia przez wielkiego lwa z krainy poza końcem świata: „Gdy Aslan śpiewał, czarne niebo poszarzało, a następnie zmieniło się z białego w różowe, z różowego w złote – jak wschodzące słońce".

Miejsca wspaniałe i mroczne, wyrafinowane kosmogonie, które stoją u ich początków, wędrowcy, którzy je przemierzają; wielkie projekty społeczne i polityczne i jawne szyderstwa z nich czynione; mędrcy i głupcy, bohaterowie i tchórze, szlachetni i nikczemnicy. Prawda, która przebija z kart „Słownika miejsc wyobrażonych": one wszystkie są częścią naszego świata, iskrami światła i smugami cienia, rozrzuconymi w tysiącach ksiąg. To nasza pasja odkrywania i przeżywania świata czyni je wciąż możliwymi. ■

eprasa.pl a536663907



DIE GOTTBEGNADETEN – ARTYŚCI NIETYKALNI

Olga Doleśniak-Harczuk



Wrzesień 1944 roku, Adolf Hitler i Joseph Goebbels układają 36-stronicową listę z 1041 nazwiskami najważniejszych artystów III Rzeszy. Miejsce w rejestrze oznacza nie tylko lukratywne kontrakty, lecz przede wszystkim spokój od wojennej zawieruchy. Załapują się na nią aktorzy, architekci, scenarzyści, kompozytorzy, pisarze, reżyserzy, rzeźbiarze, malarze, muzycy i śpiewacy. Wybrańcy spośród 140 tysięcy członków Izby Kultury Rzeszy. Najbardziej zasłużeni dla systemu i niezbędni na odcinku propagandy. Część z nich po 1945 roku będzie tworzyć sztukę już nie ku chwale Führera, ale na zamówienia zachodnioniemieckich koncernów i prywatnych kolekcjonerów. W Berlinie, w Historycznym Muzeum Niemiec, jeszcze do 5 grudnia można odwiedzić wystawę poświęconą twórczości rzeźbiarzy, malarzy i architektów, którzy z dworu Adolfa Hitlera suchą stopą przeszli na salony Republiki Federalnej Niemiec.

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

eprasa.pl a536663907

Wystawę otwiera obraz „Alegoria Pokoju" (1954) Wernera Peinera (1897–1984). Po raz ostatni obrazy Peinera wystawiono w Niemczech w 2012 roku w KunstForum Eifel. Krytycy zarzucali wtedy inicjatorom wystawy chęć rehabilitacji malarza, który od 1933 roku uchodził za jednego z nadwornych artystów Adolfa Hitlera. Związki zawodowe artystów żądały wprost zamknięcia wystawy. Kurator, Dieter Pesch, bronił jej wtedy, tłumacząc, że Peiner został bez żadnych niedomówień ukazany jako eksponent malarstwa narodowosocjalistycznego i jeżeli w Berlinie można było w 2011 roku zorganizować wystawę zatytułowaną „Hitler i Niemcy", to on nie widzi nic niestosownego w podsumowaniu twórczości ważnego dla III Rzeszy artysty. Zwłaszcza że opisy do wystawionych dzieł nie pozostawiały wątpliwości co do charakteru sympatii politycznych twórcy. W jesiennym Berlinie roku 2021 Peiner nie budził już takich kontrowersji. Jego „Alegoria Pokoju" ociera się o kicz równy licznie porozrzucanym po niemieckich muzeach wizerunkom Germanii i Borussi, „Alegoria..." nie ma w sobie nic z tego, co Peiner namalował w 1933 roku i co otworzyło mu drogę do kariery. Mowa o obrazie „Niemiecka ziemia" namalowanym na cześć ideologii „Blut – und Boden" (ideologia krwi i ziemi), która stała u podstaw niemieckiej polityki eksterminacyjnej w II wojnie światowej. W 2012 roku Dieter Pesch podkreślał, że Peiner tak dobrze malował w latach 20., że i bez mecenatu NSDAP poradziłby sobie artystycznie i finansowo. Wybrał jednak inną drogę. Z namaszczenia Göringa został rektorem wyższej szkoły sztuk pięknych w Dusseldorfie, w podzięce stworzył dla marszałka III Rzeszy akt kobiecy, który zawisł nad jego łóżkiem w dworze Carinhall. Posypały się zlecenia. Peiner wykonał ogromne gobeliny dla nowej kancelarii Rzeszy. Siedem sztuk, każdy przedstawiający inną bitwę. Bitwę w Lesie Teutoburskim, pod Unstrutą, oblężenie Malborka, bitwę pod Wiedniem, pod Kunowicami, pod Lipskiem i Cambrai. Ósmy gobelin miał przedstawiać ostatnią zwycięską bitwę Niemiec w II wojnie światowej.



Werner Peiner „Alegoria Pokoju"

Peiner zły czy dobry?

Po wojnie sztuka Peinera parzyła w ręce, ale nie wszystkich. Do wielbicieli jego gobelinów należał ostatni cesarz Etiopii, Hajle Syllasje I, i właściciele koncernu ubezpieczeniowego Gerlinga, którzy przy rozbudowie swoich włości korzystali również z usług innego artysty z listy wybrańców, Arno Brekera (1900 –1991). Na wystawie można się zapoznać z wycinkami gazet świadczącymi o dyskusji, jaką wywoływał Peiner. Z felietonu z 1956 roku dowiadujemy się, że miasteczko Leichlingen (w Nadrenii Północnej-Westfalii) zorganizowało mieszkającemu nieopodal na zamku Peinerowi wystawę. Autorzy artykułu przypominają, że sympatyczny malarz nie zawsze był sympatyczny i władze Leichlingen powinny się nad sobą zastanowić. Po tamtej wystawie został okolicznościowy album z reprodukcjami, jest w nim Czarna Madonna, Adam i Ewa w raju, landszafty z Afryki (pewnie wspomnienia, Peiner był na Czarnym Lądzie z Göringiem), portret Czyngis-chana, jakiś zimowy pejzaż i dużo, dużo więcej. Słynnego obrazu „Niemiecka Ziemia" w katalogu nie uwzględniono. Już po opuszczeniu wystawy wpadł mi w oko felieton z „Preussische Zeitung" z czerwca 1975 roku, gdzie publicysta Peter Achtmann wystąpił w obronie nie tylko Peinera, lecz także całej sztuki wyprodukowanej na potrzeby narodowosocjalistycznej propagandy. Gazeta została zdigitalizowana i można ją przeczytać w internecie. Z artykułu wyłania się obraz Niemiec, które

eprasa.pl a536663907

już nie chcą dalej płacić za „zaledwie 12 lat dyktatury nazistowskiej", a niechęć do artystów uwikłanych we współpracę z aparatem III Rzeszy tłumaczą „zwalczaniem konkurencji na rynku sztuki". Dalej czytamy o fascynacji Peinera malarstwem holenderskim, van Eyckiem i Brueghelem, o jego głębokim katolicyzmie i szykanach, jakich doświadczył w III Rzeszy, kiedy przedstawione szerokiej publiczności portrety mieszkańców Afryki zostały z miejsca zrugane jako „niemieckie". I tak oto widzimy obie strony medalu. Można powiedzieć, że wystawa zaczyna się Peinerem i kończy Peinerem. W drugiej części ekspozycji zaprezentowano 26 portretów z cyklu „Dämonen der Stunde", który Peiner tworzył w latach 1944–1946 a wystawił podczas 74 Dni Katolików w Altötting. Na portretach tej samej wielkości umieścił Peiner najgorsze ludzkie przywary i słabości: jest ślepa na jedno oko Hipokryzja, wężowa zawiść, jest i tchórzostwo, ale również nędza. Duchowa.

▶ Arno Breker (1900–1991) – dekadencki do czasu

Przyjaźnił się z Jeanem Cocteau i Pablem Picasso, inspirował go Michał Anioł i Auguste Rodin, jako syn mistrza kamieniarstwa, pierwsze szlify rzeźbiarskie zdobywał, projektując płyty i figury nagrobne. Po studiach przez kilka lat pracował we Francji, do Niemiec wrócił w 1934 roku i z początku spece od narodowosocjalistycznej sztuki omijali go szerokim łukiem, uznając, że jest za mocno zapatrzony we wzorce francuskie i zbyt dekadencki. Przełom nadszedł dwa lata później. Zaczęło się od nagród za rzeźby „Dziesięcioboista" i „Zwyciężczyni", a potem Breker wyrzeźbił relief lwiej głowy z przebudowywanej w latach 1936–1938 krypty Henryka Lwa w katedrze brunszwickiej, projektu, który był oczkiem w głowie Hitlera, bo nawiązywał do „germańskiej potęgi". Brunszwicki relief ruszył kostki domina. 10 września 1937 roku Breker złożył podanie o przyjęcie do NSDAP i tym samym stał się członkiem nr 5.379.989. W trosce o dobre warunki pracy dla rzeźbiarza, Hitler podarował Brekerowi dwór Jäckelsbruch w Brandenburgii i polecił urządzić mu tam również w pełni wyposażoną pracownię. Po wojnie Breker tłumaczył, że wcale nie był ulubionym rzeźbiarzem Hitlera, że to miejsce było zarezerwowane raczej dla Josefa Thoraka (1889–1952), ale to monumentalne posągi Brekera, amalgam starożytnej wizji piękna ludzkiego i „aryjskości", są dziś najbardziej rozpoznawalnym symbolem sztuki III Rzeszy, z jej militaryzmem i marzeniem o Germanii – stolicy świata w sercu nazi-landu.



Richard Scheibe „Fortuna"

▶ Wszyscy chcą portret od Brekera

Na wystawie w Muzeum Historycznym Niemiec pierwszym cytatem z Brekera jest statua Ateny Pallas, wykonana już w latach 50. XX wieku, postawiona po przekątnej „Alegorii Pokoju" Peinera. Duże wrażenie robią filmy dokumentalne o pracy Brekera, ukazujące go w pracowni, z dłutem wśród olbrzymich głów aryjskich bohaterów. Wykonywanych na zamówienie Hitlera, Goebbelsa, licznych urzędów, instytucji kultury i sportu. Na jednym z filmów widać Brekera w ogniu pytań. O jego rolę w aparacie III Rzeszy, o to, czy mu nie wstyd. Choć trochę. „Nic nie wiedział", był zbyt pochłonięty sztuką, by dostrzec, że jego pracodawca gazuje ludzi w obozach koncentracyjnych. Nie on jeden tak się bronił. I tak jak wielu bez przeszkód przeskoczył od Hitlera do Adenauera. Powojenne Niemcy Zachodnie potrzebowały Brekera. W jego pracowni pozowali do popiersi szefowie wielkich koncernów i politycy. Kiedy Konrad Adenauer postanowił zamówić swoje popiersie u Brekera, jego doradcy mieli wątpliwości, czy kanclerz powinien pozować artyście, który ma w swoim dorobku po-

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HAROZIUK

eprasa.pl a536663907

piersie Hitlera i Goebbelsa, Adenauer miał odrzec: „Ludzi należy szanować, ale nie trzeba robić wszystkiego, czego oczekują". I Breker uwiecznił Adenauera, a potem i jego następcę Ludwiga Erharda. Po 1945 roku Breker sportretował jeszcze całą śmietankę ówczesnej socjety przemysłowej, m.in. Hugo Henkela (wynalazcę proszku „Persil"), Herberta Wernera Quandta (jednego z twórców motoryzacyjnej potęgi rodziny Quandt), Rudolfa-Augusta Oetkera (ciasta same się pieką z pomocą Oetkerowych specjałów), Gustava Abrahama Schickedanza (kto miał kiedyś w ręku katalog domu wysyłkowego „Quelle", skojarzy tego pana).

Wystawiona w berlińskim muzeum „Atena Pallas" to posąg z brązu, który od 1957 roku stał przed gimnazjum Wilhelma Dörpfelda w Wuppertalu. W 2019 roku władze gimnazjum zarządziły remont placówki i przy okazji podjęto próbę pozbycia się Ateny ze szkolnego dziedzińca. Już znacznie wcześniej lokalni politycy Linke słali do burmistrza Wuppertalu apele o zdemontowanie walecznej bogini ze względu na jej twórcę, ale bezskutecznie. Na razie Atena opowiada historię Brekera i innych ulubieńców Hitlera w berlińskim muzeum. Po zakończeniu wystawy wróci do Wuppertalu i stanie na swoim cokole przed gimnazjum, a wraz z nią na miejscu ma się pojawić tablica z komentarzem dotyczącym Arno Brekera i jego zasług dla III Rzeszy. Tak współcześni Niemcy próbują sobie radzić z twórcami niekoniecznie wpisującymi się w mit o ostrej denazyfikacji.



Arno Breker „Atena Pallas"

Hipokryzja obnażona

Peiner i Breker to zaledwie dwa nazwiska z wystawy, która przypominając powojenne biografie niemieckich artystów, obnaża hipokryzję zachodnioniemieckich elit. Tak jak państwo niemieckie co pewien czas decyduje się na audyt w kolejnych ministerstwach i instytucjach, tak teraz tą wystawą zlustrowała środowiska artystyczne. Dopiero teraz. Można tylko żałować, że mamy do czynienia z wystawą czasową, a nie z ekspozycją stałą, która byłaby na miejscu w pobliskim, nowo wybudowanym Humboldt Forum (zaledwie pięć minut pieszo od muzeum).

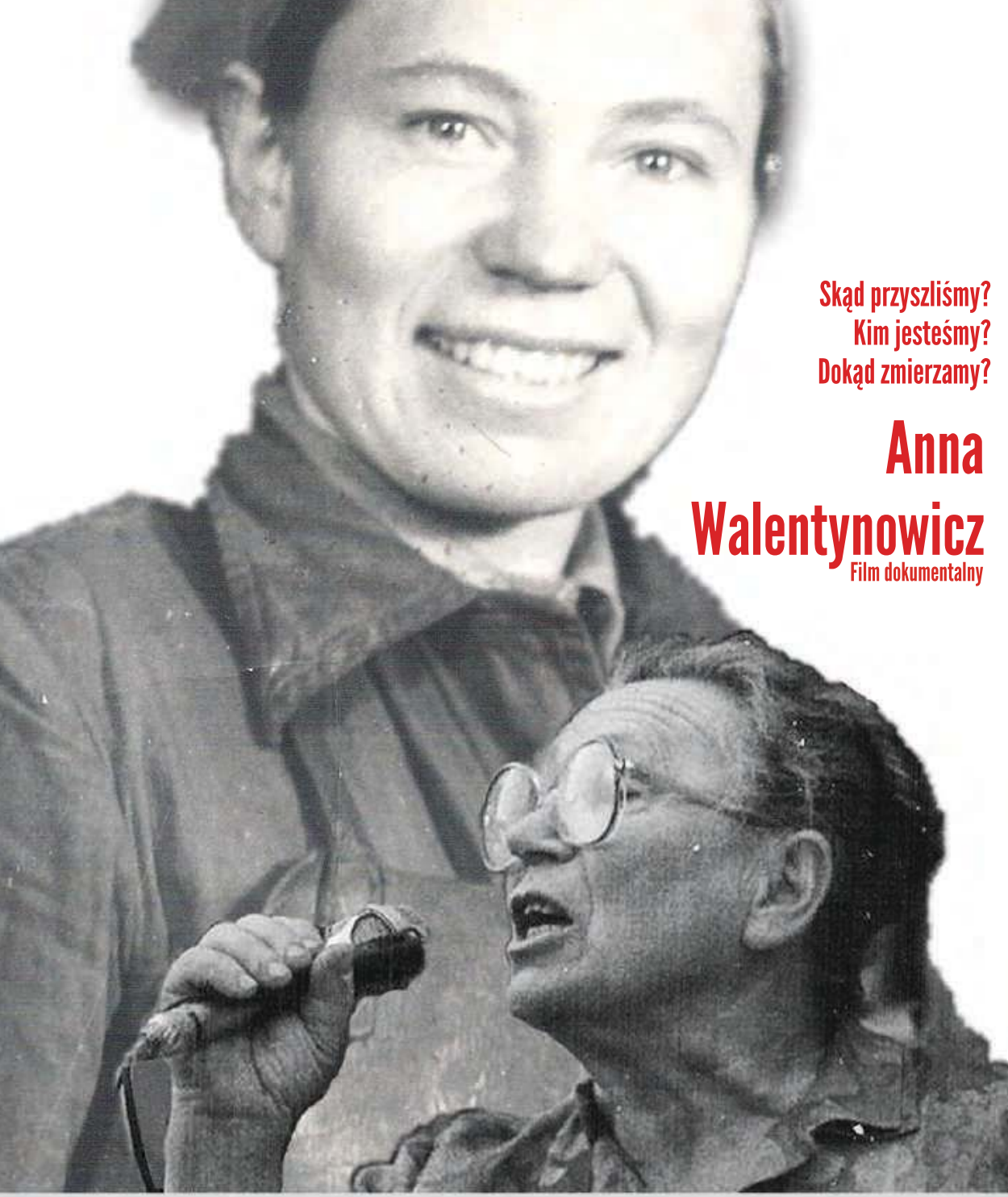
Poza wspomnianymi dwoma twórcami, znajdziemy w Muzeum Historycznym jeszcze m.in. portret Franza Josepha Straussa namalowany w 1970 roku przez Paula Matthiasa Paduę (1903–1981), tego samego, który w początkach wojny zasłynął obrazem „Führer przemawia". Jest też brązowa statuetka Fortuny zaprojektowana w 1956 roku przez Richarda Scheibe (1879–1964) na zamówieniu landu Berlin. Fortuna Scheibego miała zastąpić barokową figurkę z Pałacu Charlottenburg, która uległa zniszczeniu podczas II wojny światowej. W III Rzeszy Scheibe cieszył się przychylnością zarówno Hitlera, jak i Goebbelsa, obaj go promowali i mieli w kolekcjach jego rzeźby. W 1954 roku Scheibe został odznaczony Orderem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec, dekadę wcześniej Hitler przyznał mu Medal Goethego z orłem i swastyką na rewersie. Ta wystawa to wprowadzenie do jednego z najciekawszych rozdziałów historii III Rzeszy, marszowa piosenka o tych, którzy dekorowali i pudrowali hitlerowską gigantomanię. ■

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

———

Deutsches Historisches Museum, wystawa „»Die Liste der Gottbegnadeten«. Künstler des Nationalsozialismus in der Bundesrepublik", czyli „»Lista obdarzonych łaską Bożą«. Artyści narodowego socjalizmu w Republice Federalnej Niemiec", 28 sierpnia – 5 grudnia 2021 roku.

eprasa.pl a536663907



Skąd przyszliśmy?
Kim jesteśmy?
Dokąd zmierzamy?

Anna Walentynowicz

Film dokumentalny

Mecenas filmu

ORLEN

Współfinansowanie

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Patronat medialny

Kurier365.pl
Mój Świat HISTORIA
Jedynka
NASZE PAŃSTWO
niezależna.pl
GAZETA POLSKA
obywatelska
Gazeta Polska codziennie
GAZETA POLSKA VD

eprasa.pl a536663907

Babcia Ania była pełna miłości



Uważam, że Babcia jest cały czas wśród nas. Wolna i silna Polska była tym, czego pragnęła, i znając Jej charakter, na pewno nie zrobiła sobie wolnego – mówi PIOTR WALENTYNOWICZ, wnuk Anny Walentynowicz, który występuje w filmie „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?", w rozmowie z SYLWIĄ KRASNODĘBSKĄ.

▶ Wkrótce na antenie TVP premiera filmu dokumentalnego o Pana Babci, Annie Walentynowicz „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?" w reżyserii Krzysztofa Wojciechowskiego. Gdyby nie praca nad tym filmem, nie dowiedziałby się Pan, że Babcia była Ukrainką?

Przez ponad pół wieku Babcia żyła w przekonaniu, że cała Jej rodzina została wymordowana przez Niemców. Pod koniec lat 90. z radością poinformowała nas, że odnalazła swoją rodzinę na Ukrainie. W okolicach roku 2000 poznałem Jej siostrę Olę, która przyjechała odwiedzić Babcię w Gdańsku. Gdzieś mi umknęło, że jest to rodzina ukraińska. Tuż przed wylotem do Smoleńska Babcia poprosiła mnie, żebym po jej powrocie z Katynia pojechał z Nią i moją siostrą samochodem do jej rodziny, tak żebyśmy się wszyscy poznali. Niestety do Katynia nie dotarła. Tak więc zdecydowanie mogę stwierdzić, że gdyby nie praca nad filmem, nie poznałbym sióstr i braci Babci oraz Jej rodzinnych stron. Jeśli chodzi o ukraińskie korzenie Babci, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia, lecz z punktu widzenia budowania pewnego mostu między Polską a Ukrainą ma to już duże znaczenie. Ten metaforyczny most jest dla nas konieczny, szczególnie w sytuacji coraz agresywniejszych poczynań Federacji Rosyjskiej i nijakiej bądź nawet zerowej reakcji na ten stan rzeczy naszych „sojuszników".

eprasa.pl a536663907

▶ Rozmowy z rodziną na Ukrainie przynoszą wiele zdumiewających informacji, jak ta, że życie Anny Walentynowicz było pełne cierpienia. Była służącą wywiezioną do Generalnej Guberni w 1943 roku. Nie powiedziano Jej, że to ucieczka przed rzezią wołyńską, za to okłamano, że Jej rodzina została wymordowana przez Niemców. Jak się Pan czuł, odkrywając tę prawdę o życiu swojej Babci?

O swoim ciężkim życiu od najmłodszych lat pozbawionych dzieciństwa, a obfitych w bardzo ciężką pracę, Babcia rzadko wspominała, lecz tę wiedzę posiadałem. Usłyszenie tych wspomnień ze strony rodziny pełnej smutku i żalu po śmierci Babci było i jest czymś trudnym do opisania.

▶ Film nie jest typową biografią skupiającą się tylko na wątkach działalności publicznej, choć te są mocno zarysowane, bo kamera towarzyszyła bohaterce filmu przez kilkanaście lat, dokumentując Jej wszystkie ważniejsze wystąpienia. Które z nich było dla Pana najważniejsze? A które Pana zdaniem było najważniejsze dla Polski?

Uważam, że wszystkie wypowiedzi Babci mają swoją moc i są ważne, gdyż zawiera się w nich niezamydlony przekaz. Babcia nie nazywała mniejszego zła czymś lepszym niż wielkie zło. Zło było złem i nie istniał żaden inny podział.

▶ Film, w którym Pan występuje, to również tragiczna opowieść o smoleńskiej makabrze i dwóch pogrzebach. Twórcy filmu sugerują, że na drugim pogrzebie Anna Walentynowicz była... obecna. Co to znaczy?

Faktycznie, wmontowanie Babci w mszę poprzedzającą Jej drugi pochówek robi wrażenie. Pamiętajmy, że my z Tatą nadal nie mamy pewności, że drugi pogrzeb spełnił ostatnie życzenie Babci, którym było, by po śmierci spocząć koło swojego męża. Wieloletnie zwodzenie tym razem już przez prokuraturę krajową, uniemożliwienie wykonania ekspertyz we własnym zakresie – próbki DNA – potęgują przeświadczenie, iż jeszcze ostatniej woli Babci nie spełniliśmy. Niech każdy na własny sposób interpretuje ten moment.

Ja uważam, że Babcia jest cały czas wśród nas. Wolna i silna Polska była tym, czego pragnęła, i znając Jej charakter, na pewno nie zrobiła sobie wolnego.

▶ Produkcja przybliża wydarzenia związane z sekcją zwłok bohaterki po Jej pierwszym pogrzebie. Ekshumacja odbyła się na żądanie syna, Janusza, który zdecydował się na to po otrzymaniu aktu zgonu z danymi niezgodnymi z cechami anatomicznymi matki i stanem Jej zwłok rozpoznanych przez niego w Moskwie po katastrofie. Twórcy filmu nie oszczędzą nam obrazu działań lekarzy.

W połowie 2012 roku z wielkimi problemami pozwolono nam się zapoznać z dokumentacją medyczną Babci, która została sporządzona w Moskwie w 2010 roku. Bardzo szybko zorientowaliśmy się, że dokumenty te nie opisują Babci i zażądaliśmy ekshumacji. Formalnie odbyła się ona na wniosek prokuratury wojskowej, gdyż nie było innej możliwości prawnej. Oczywiście prokuratorzy wojskowi mogli się nie zgodzić, ale byli świadomi, że nie odpuścimy i zaangażujemy wszystkie możliwe siły, środki oraz ludzi na całym świecie, aby doprowadzić sprawę do końca.

Dopiero po latach okazało się, że prokuratorzy wojskowi wiedzieli już w 2010 roku o tym, że w grobie Babci pochowano kogoś innego. Myślę również, że dlatego tak bronili dostępu do dokumentacji medycznej, przetrzymując ją pod kluczem w kancelarii tajnej Prokuratury Wojskowej. Obecnie mamy pełny wgląd w dokumentację. Stało się to możliwe tylko dzięki likwidacji Prokuratury Wojskowej, skutecznie przeprowadzonej dzięki ministrowi Antoniemu Macierewiczowi.

▶ „Może nigdy Cię nie było na tym świecie, może jesteś wymyślona przez Herberta", śpiewał o Annie Walentynowicz Jan Pietrzak do słów Wojciecha Wencla. A jak Pan wspomina swoją Babcię?

Babcia Ania była pełna miłości i wyrozumiałości dla swoich wnucząt. Nigdy nie godziła się na kompromisy ze złem. Pod ręką zawsze miała prostą, mądrą radę życiową, pyszny obiad, coś słodkiego oraz plany wakacyjne. Zwykła i niezwykła Babcia.

Dla mnie jedne z najwspanialszych wakacji, jakie przeżyłem z Babcią, odbyły się w Bieżanowie. Nie miałem wtedy świadomości, że miał wówczas miejsce strajk głodowy w obronie internowanych. Przeżywałem naprawdę piękne chwile w gospodarstwie znajdującym się opodal kościoła, w którym odbywał się protest. Babcia zadbała o to, żebym mógł być obok w pełnym poczuciu bezpieczeństwa, pomimo tego, że w tym samym momencie ryzykowała swoje życie i zdrowie w służbie Polsce. ■

_____

Mecenasem filmu jest PKN Orlen.

FOT. JERZY OCHOŃSKI/PAP

eprasa.pl a536663907



Krzysztof Karnkowski

Sztuka wojenna według Iron Maiden



Najnowszą płytę Iron Maiden wielu uważa za ich najlepszy krążek. Jest to muzyka dojrzała, lecz pełna potęgi.

3 września, po długim oczekiwaniu, ukazała się siedemnasta płyta studyjna brytyjskiej legendy metalu, zespołu Iron Maiden, zatytułowana „Senjutsu". To japońskie słowo oznacza taktykę i strategię w ujęciu militarnym. Taka też jest tematyka prawie wszystkich utworów. Jest to pierwsza płyta Ironów od sześciu lat. Nagrana została w 2019 roku, niedługo przed wybuchem pandemii, ukazuje się jednak dopiero teraz. Czy warto było czekać? Zdecydowanie tak.

Płytę poprzedził pewien niszowy, lecz wart opisania szerzej skandal, jednak zupełnie inny niż to, do czego do tej pory przyzwyczajali nas metalowi muzycy. Oto bowiem, gdy tylko zespół ujawnił cały program nowego materiału, równocześnie opisując mediom, jak silnie jest on strzeżony, na portalu YouTube pojawiły się prawie wszystkie utwory. Tytuły zgadzały się z zapowiedziami, grający muzycy brzmieli jak Iron Maiden w najlepszych czasach, tyle że wszystko było nowocześniej zrealizowane, a wokalista do złudzenia przypominał Bruce'a Dickinsona ze swoich najlepszych czasów. Tysiące fanów były bardzo blisko połknięcia haczyka, po czym okazało się, że ktoś z nich zwyczajnie zakpił, umieszczając w internecie nagrania zespołu Icon of Sin z Brazylii i sygnując je nazwą dużo bardziej znanej grupy. Pod Iron Maiden podszył się również wprowadzający w błąd kanał na YT. Dodajmy jednak, że cała ta sytuacja nie byłaby możliwa, gdyby Brazylijczycy nie odtworzyli w swoich nagraniach oryginalnego klimatu starszych kolegów, idealnie trafiając w potrzeby ich fanów.

eprasa.pl a536663907



FOT. MAT. PRAS.

Czy to zamieszanie zaszkodziło muzykom? Raczej nie. Pierwszy, promujący płytę teledysk ukazał się jeszcze w lipcu i został obejrzany do dziś kilkanaście milionów razy. „Writting on the Wall" to majestatyczny, ponadsiedmiominutowy utwór, opatrzony animacją, za którą odpowiada dwóch byłych twórców studia Pixar. Tytuł utworu odnosi się do biblijnego napisu, który ukazuje się uczestnikom uczty Baltazara, a cała opowieść zwiastuje pojawienie się czterech jeźdźców apokalipsy, zamierzających się na syty i zadowolony z siebie, choć tak naprawdę zniewolony świat. Aż trudno uwierzyć, że rzecz powstała jeszcze przed pandemią, która jednak nadała mu dodatkowej, złowieszczej aktualności. Ponury przekaz uzupełnia muzyka, z początku gdzieś z pogranicza bluesa i hard rocka, potem już bardziej metalowa, do końca utrzymana w jednym, przygniatającym tempie. Przed premierą całej płyty poznaliśmy jeszcze jeden utwór, bliższe klasycznego stylu zespołu i trochę żwawsze „Stratego". Ta propozycja bliższa jest szybkim, rockandrollowym piosenkom, które w ostatnich kilkunastu latach kapela zwykła wybierać na single. Tyle że jest od nich trochę wolniejsza.

Zespół bowiem wyraźnie zwolnił. Nie znajdziemy na nowej płycie żadnej bliższej punka niż progresywnego metalu galopady, jakie od lat przytrafić musiały się Ironom raz na album. Progresywnego metalu, który w nowym stuleciu zagościł w muzyce grupy, też zresztą nie ma tu zbyt wiele, tak naprawdę pojawia się on tylko w kończącym płytę „Hell on Earth". Zaskakująco mało jest tu też zmian tempa, do których zespół przyzwyczajał nas przez lata. Co więc jest? To płyta mocno osadzona w latach 70. i 80. Niektóre jej fragmenty brzmią jak wyjęte z albumu „Piece of Mind" z 1983 roku. Jego echa słychać w takich utworach, jak „Time Machine", „The Parchment" czy „Lost in a Lost World". Ten drugi jeszcze mocniej kojarzy się z „Afraid to Shoot Strangers", arcydziełem grupy z płyty „Fear of the Dark". Większość utworów jest długa, ostatnie trzy mają powyżej 10 minut. „Death of the Celts", opisujący mistyczne spotkanie z duchami przodków ginącego na polu walki Celta, eksploduje patosem, z ballady zmienia się w majestatyczne tło dla długiego, lecz nienużącego gitarowego solo. Później „The Parchment", transowy i szalenie ciekawie rozwijający się prawie 13-minutowy utwór, stopniowo nabierający melodii i szybkości. Wreszcie najbardziej progresywne „Hell on Earth", z zabawami tempem i głośnością... i to już koniec. 10 utworów, ponad 80 minut muzyki.

Iron Maiden do początku lat 90. było cały czas na fali wznoszącej. Kryzys przyszedł wraz z odejściem drugiego w historii zespołu wokalisty Bruce'a Dickinsona. Gdy jednak zastępujący go Blaze Bayley nie poradził sobie z niewątpliwie trudnym zadaniem (w studiu nie było źle, kłopoty zaczynały się na koncertach), Dickinson powrócił, a zespól zaczął grać w potężnym, sześcioosobowym składzie. Kolejne płyty trzymały wysoki poziom i tylko przedostatnia, „Book of Souls", udała się trochę mniej. Nowy materiał wielu uważa za najlepszą płytę Ironów. Jest to muzyka dojrzała, lecz pełna potęgi. Zaryzykuję stwierdzenie, że gdyby poszczególne jej fragmenty rozrzucić na losowych płytach z lat 70., do dziś okupywałyby wszelkie rockowe „topy wszech czasów". Za imponującą kampanią promocyjną poszła doskonała sprzedaż, również w Polsce. „Senjutsu" pełne jest opowieści o przegranych wojnach, ale tę wojnę szóstka Brytyjczyków już wygrała. ■

eprasa.pl a536663907



Krzysztof Karnkowski

Złoty jubileusz pewnego kłamstwa

Na początku września minęło 50 lat, odkąd ukazał się singiel z piosenką „Imagine", nagraną przez Johna Lennona. W grudniu ubiegłego roku obchodziliśmy 30. rocznicę śmierci artysty z rąk zamachowca. Długowłosi idealiści zdążyli stać się liberalnymi cynikami, ale świat próbują naprawiać wciąż z tym samym hymnem na ustach. W Warszawie ulicę Johna Lennona dwie przecznice dzielą od alei Pawła Adamowicza.

Oficjalne notki encyklopedyczne wspominają, że „Imagine" Lennon nagrywał, próbując na nowo porządkować sobie życie po rozwodzie i rozstaniu z The Beatles, w obu przypadkach wspólnie z wywodząca się z Japonii awangardową artystką Yoko Ono. Przy okazji piosenki i płyty powstał również film, który jako dość nudny, raczej rozczarował fanów. Jednak „Imagine" stało się ponadpokoleniowym hymnem, który do dziś do nas powraca, wykonywane z reguły jako forma leczenia traumy po zamachach terrorystycznych. Konserwatysta musi jednak zastanawiać się, czy ktoś nie myli tu, z premedytacją, leku z chorobą? W swoim manifeście John Lennon imaginował sobie świat bez religii i Boga, granic, a nawet własności prywatnej. Że nie był w tym konsekwentny, wielu zauważyło od razu, przeciwnik własności był właścicielem ziemskim i miłośnikiem zakupów, co zauważa nawet Wikipedia. Symbolem hipokryzji stała się fotografia, na której wraz ze swoją japońską miłością artysta protestuje przeciwko złu świata w hotelowym łóżku, a w tym samym czasie przedstawicielka klasy niższej, a więc społecznie upośledzonej i wyzyskiwanej, wkracza na karty historii, sprzątając pokój jaśnie państwa. Hierarchia społeczna ma się dobrze, gdy wysoki status idzie w parze z wygodnymi dla epoki poglądami, tu nie zmienia się nic. Brak granic, o którym śpiewał Lennon, staje się praprzyczyną tragedii, które oswajać ma dziś jego piosenka. Przecież taki świat nie musi być snem anarchisty, może być również snem dyktatora, dla którego nie będzie już ani granic, ani zasad i który sam ogłosi się jedynym bogiem, więc bogów już faktycznie nie będzie, przynajmniej w ziemskiej perspektywie. Dyktatorem nie musi być jeden człowiek, możemy – i jesteśmy świadkami – być poddani dyktatowi ze strony sojuszu niewybieralnych elit i wielkich korporacji, wychowujących sobie wspólnie konsumentów. Nie przypadkiem dziś ten dyktat narzucają nam właśnie wychowankowie roku 1968.



FOT. WIKIPEDIA

Po igrzyskach w Tokio, gdzie „Imagine" stało się symbolem wplecionym w oprawę muzyczną tego wyjątkowego z racji towarzyszących mu komplikacji wydarzenia, w „New York Post" amerykański biskup Robert Barron napisał, że słowa „Wyobraź sobie, że nie ma nieba, Boga i religii", to zaproszenie do bardzo niebezpiecznego świata. Barron zwraca uwagę, że to właśnie odrzucenie płynących z religii pojęć dobra i zła prowadzi do większości wojen, a próby stworzenia nieba na ziemi zawsze i nieuchronnie zmieniają ją w piekło. Konsekwencje tych snów ponosimy wszyscy, jednak wciąż na nowo jesteśmy usypiani Lennonowskim pianinem. ■

eprasa.pl a536663907

Marek Kalinowski

Nietypowa droga

Albumem „Inner Symphonies" pianistka Hanna Raniszewska i wiolonczelistka Dobrawa Czocher rozpoczynają współpracę z najstarszą wytwórnią płytową – Deutsche Grammophon. Artystki dalekie są jednak od kontynuacji tradycji Krystiana Zimermana czy Rafała Blechacza. Zamiast tego wpisują się w nowy nurt „Modern Classical", przesuwając granice muzyki poważnej na zupełnie nowe obszary.

Hanowerskiej wytwórni Deutsche Grammophon melomanom przedstawiać nie trzeba. Założona w 1898 roku przez wynalazcę gramofonu, Emila Berlinera, wciąż pozostaje najbardziej prestiżowym wydawnictwem na świecie, a płyty sygnowane jej żółtym logiem skupiają szczególną uwagę odbiorców muzyki klasycznej. Pod jej skrzydłami ukazują się nowe nagrania największych artystów, wśród nich Marthy Argerich, Anne-Sophie Mutter, Leonarda Bernsteina czy dwójki polskich pianistów Krystiana Zimermana oraz Rafała Blechacza. Teraz do grona tych wybitnych twórców dołączają dwa nowe polskie nazwiska – pianistki Hanny Radziszewskiej (podpisującej się jako Hania Rani) oraz wiolonczelistki Dobrawy Czocher.

Choć obydwie instrumentalistki mają wykształcenie klasyczne – razem uczyły się w gdańskiej szkole muzycznej, a następnie na warszawskim Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina – ich droga do Deutsche Grammophon jest zupełnie inna niż wspomnianych zwycięzców konkursów chopinowskich. Urodzone w latach 90. łączyły pasję muzyki klasycznej, z równym zainteresowaniem śledząc przemiany sceny muzyki popularnej. W efekcie ich debiutancka płyta „Biała Flaga" mogła być niemałym zaskoczeniem dla akademickiego grona profesorskiego, w większości zawierała bowiem instrumentalne interpretacje piosenek Grzegorza Ciechowskiego. Kolejne nagrania, bardziej znanej z kompozytorskiej dwójki, Hani Rani, to świadoma kontynuacja wybranej muzycznej ścieżki łączącej pop z muzyką poważną. Szczególny rozgłos przyniósł jej doceniony przez krytykę duet „Tęskno" z Joanną Longić oraz solowy album „Esja" nagrodzony w 2020 roku aż trzema Fryderykami.



Hania Rani, Dobrawa Czocher, INNER SYMPHONIES, Deutsche Grammophon

Swoimi zainteresowaniami i muzyczną wrażliwością Hania Rani i Dobrawa Czocher trafiają w idealny czas dla niemieckiej wytwórni. Deutsche Grammophon z uwagą przygląda się twórcom z gatunku „Modern Classical". W swoim katalogu ma tak znakomite dzieła jak reinterpretacja Maxa Richtera „Czterech Pór Roku", albumy pianistki Agnes Obel, muzykę filmową zmarłego tragicznie Islandczyka Jóhanna Jóhannssona, a także kompozycje jego uczennicy i współpracowniczki Hildur Guðnadóttir, autorki znanej choćby z oscarowej muzyki do filmu „Joker" czy ścieżki dźwiękowej serialu „Czarnobyl". Muzyka filmowa jest również bardzo dobrym kluczem do interpretacji płyty „Inner Symphonies", bo kompozycje Czocher i Radziszewskiej wręcz doskonale przemawiają obrazami. Trudno oderwać wzrok od piaszczystego krajobrazu z okładki płyty, gdy dobiegają dźwięki otwierającej album, wręcz kontemplacyjnej „Ouverture", jak i „Whale's Song". Fortepian i wiolonczela przenikają się w singlowym utworze „Con Moto", a nawarstwione kilkakrotnie dają chwilami uczucie obcowania z o wiele większym zespołem. Cisza bywa tu nie mniej ważna jak najbardziej chwytliwe dźwięki fortepianu, a utwory oddają niemal całe spektrum emocji, z zamykającym krążek, nie tylko w nazwie optymistycznym „Spring". ■

eprasa.pl a536663907

Antoni Rybczyński



Konflikt rosyjsko-ukraiński czy to, co dzieje się na Białorusi i wokół niej, spowodowały, że Zachód jakby zapomniał o Gruzji. Tymczasem dzieje się tam coraz gorzej. Kraj ugrzązł w głębokim kryzysie politycznym. Od roku trwa głęboki spór między partią władzy i opozycją. Do tego doszła tzw. afera taśmowa ukazująca skalę inwigilacji i niedemokratycznych praktyk rządu. Obóz władzy zaprzestał też realnych reform. W efekcie pogarszają się relacje z Zachodem. Niedawne aresztowanie Micheila Saakaszwilego jedynie pogłębi te wszystkie negatywne tendencje.

e-prasa.pl a536668907



Powrót Miszy
Jak Gruzja oddala się od Zachodu

FOT. PAP/ABACA

prasa.pl a538663907

To pod rządami prezydenta Micheila Saakaszwilego Gruzja przeprowadziła oszałamiające jak na posowieckie, kaukaskie realia reformy. Saakaszwili skierował też kraj na zdecydowanie prozachodni kurs. Jednak po przegranych wyborach parlamentarnych jego partii (2012) i przegranych wyborach prezydenckich związanego z nim kandydata (2013) władzę w Gruzji przejęło Gruzińskie Marzenie (GM) – zbudowane i finansowane przez oligarchę Bidzinę Iwaniszwilego. Od tamtej pory obóz rządzących po kolei stracił niemal wszystkich prozachodnich polityków. Ale zdominował krajową politykę i wygrywa wybory za wyborami – ostatnie, lokalne, na początku października. Ekipa mającego związki z Rosją oligarchy stopniowo zaprzepaszcza osiągnięcia czasów Saakaszwilego, zarówno te wewnętrzne, jak i w polityce zagranicznej. Nawet jeśli retoryka rządu w Tbilisi jest prozachodnia, to stosowane przezeń praktyki mają coraz mniej wspólnego z zachodnimi i demokratycznymi standardami. Z satysfakcją przygląda się temu Kreml. Jak zauważa Wojciech Górecki z Ośrodka Studiów Wschodnich, „obecnie Rosja nie jest widocznie aktywna w Gruzji, ale można powiedzieć, że cierpliwie czeka, aż Gruzja sama osunie się w jej objęcia". Póki co Moskwa tylko kusi, jak choćby Siergiej Ławrow, który 1 września złożył propozycję normalizacji stosunków między państwami.

Iwaniszwili vs Saakaszwili

Wojna polityczna pomiędzy rządzącym Gruzińskim Marzeniem a opozycyjnym Zjednoczonym Ruchem Narodowym spolaryzowała społeczeństwo w stopniu dotychczas tam nieznanym. Zwolennicy ZRN nienawidzą Iwaniszwilego i jego „marionetki", na elektorat GM zaś Saakaszwili działa niczym czerwona płachta na byka. Konflikt w ciągu ostatniego roku tylko się pogłębił – ale zdecydowanie górą jest w nim wciąż Iwaniszwili, którego fortunę szacuje się na blisko 5 mld dolarów. Miał ją zdobyć w latach 90. XX wieku w Rosji, inwestując w metale, nieruchomości i bankowość. Miał też udziały w Gazpromie. W 2012 roku założył Gruzińskie Marzenie, które niespodziewanie wygrało wybory. Iwaniszwili był premierem tylko nieco ponad rok, potem wycofał się z aktywności rządowej, pozostając jednak faktycznym przywódcą Gruzji. Jego partia wygrała kolejno dwa razy (2016, 2020). W styczniu 2021 roku Iwaniszwili ogłosił rezygnację z działalności politycznej, ale mało kto wierzy w to, że zrezygnował z pociągania za sznurki.

Gruzińskie Marzenie wygrało wybory parlamentarne rok temu, lecz spotkało się z oskarżeniami o nadużycia. Po wielomiesięcznym bojkocie nowego parlamentu partia władzy i część opozycji (bez ZRN) podpisały w kwietniu porozumienie – przy mediacji szefa Rady Europejskiej Charlesa Michela. Ustalono, że jeśli GM w wyborach lokalnych jesienią nie zdobędzie 43 proc. poparcia, zostaną rozpisane nowe wybory parlamentarne. Latem Gruzińskie Marzenie jednak z umowy się wycofało, wykluczając jakąkolwiek możliwość przedterminowych wyborów. Decyzja ta spotkała się z ostrą krytyką nie tylko Brukseli, lecz także USA. Departament Stanu oświadczył, że „torpeduje to uzgodnioną ścieżkę przeprowadzenia kraju przez niezbędne reformy". Niedługo później wybuchł potężny skandal. Okazało się, że władze masowo podsłuchiwały duchownych Gruzińskiego Kościoła Prawosławnego, a także dziennikarzy i zachodnich dyplomatów. Służba Bezpieczeństwa Państwowego (SSGS) podsłuchiwała m.in. ambasadora USA i ambasadora Izraela. Jak to skomentował premier Irakli Garibaszwili? „Co do inwigilacji, to zdarza się w każdym kraju i nasz kraj nie jest wyjątkiem. Tak, prowadziliśmy inwigilację, ale w zgodzie z prawem i w ramach ograniczeń prawnych". Afera taśmowa to niejedyny grzech SSGS. Oto 1 sierpnia weszła w życie, podpisana jeszcze w 2016 roku, umowa o współpracy i wymianie informacji z białoruskim KGB. Niepokoić to musi szczególnie wielu Białorusinów, którzy w obawie o swoje bezpieczeństwo opuszczając kraj, udają się właśnie do Gruzji. Kolejne afery nie wpływają jednak znacząco na popularność GM. Od jesieni 2012 roku partia ta wygrywa wszystkie wybory, a popierana przez nią Salome Zurabiszwili pełni funkcję prezydenta. Rządy GM kojarzą się wyborcom z relatywną stabilnością i przewidywalnością. Nawet bez fałszerstw (o takie oskarża władzę opozycja, ale dowodów brak) partia rządząca ma poparcie pozwalające zdobywać w wyborach większość. Co potwierdziły wyniki pierwszej tury wyborów lokalnych (2 października).

(Nie)równe wybory

Rządząca partia uzyskała 46,7 proc. głosów. Drugie miejsce zajął Zjednoczony Ruch Narodowy – 30,7 proc., a trzecie – 7,8 proc. – ugrupowanie Za Gruzję, założone w tym roku przez byłego premiera i wieloletniego polityka GM Giorgiego Gacharię. W 20 miastach, w tym w Tbilisi, konieczna była druga tura, gdyż żaden z kandydatów na mera nie osiągnął tam ponad 50-procentowego poparcia – zaplanowano ją na 30 października. Widać, że na głębokiej polaryzacji zyskują GM i ZRN. Partia rządząca zdobyła więcej niż 43 proc., więc nawet gdyby nie wycofała się z „porozumienia Michela", nie musiałaby teraz robić

eprasa.pl a536663907

wyborów przedterminowych do parlamentu. Z kolei ZRN poprawił wynik sprzed roku (wtedy 27,99 proc.) i dobrze wypadł w dużych miastach. Jego kandydaci wygrali I turę w Batumi, Kutaisi, Rustawi i Zugdidi oraz weszli do drugiej w Poti i Tbilisi. Ponadto opozycja uzyskała większość w radach miejskich w Batumi i Zugdidi. Językiem u wagi, jeśli chodzi o możliwość wygrywania kandydatów opozycji z GM, może być partia Za Gruzję. Wokół tego projektu krąży wiele plotek – nie można wykluczyć, że to pomysł uzgodniony z Iwaniszwilim, którego celem jest właśnie zablokowanie uzyskania przez zjednoczoną opozycję większości w kluczowych starciach wyborczych. Należy pamiętać, że Gacharia jeszcze w lutym bieżącego roku był premierem. Do polityki zaś został ściągnięty przez Iwaniszwilego. Wcześniej robił biznes, m.in. w Moskwie. Niewykluczone, że partia Za Gruzję ma przyciągać wyborców zniechęconych już do GM, ale wciąż nie gotowych głosować na ZRN i inne partie opozycji.

mi wyborców w ręku. Jak ktoś się pojawiał oddać głos, skreślali jego nazwisko. Zaobserwowano również, jak aktywiści ci dzwonili do osób znajdujących się na ich listach z przypomnieniem o głosowaniu. Jak alarmują działacze organizacji pozarządowych, od pracowników instytucji finansowanych przez państwo – od urzędów po szkoły – oczekuje się, a nawet wymusza na nich, aby głosowali na partię rządzącą. Obawiając się, że mogą stracić pracę, ludzie ci oddają głosy zgodnie z instrukcjami.

Presja wywierana jest też na opozycję. Przed wyborami lokalnymi w sumie ponad 600 niedoszłych kandydatów do rad miejskich zrezygnowało z kandydowania – wszyscy z opozycji. W Tbilisi z powodów politycznych zwolniono zaś co najmniej 35 urzędników państwowych. Oczywiście GM ma też ogromną przewagę, jeśli chodzi o środki finansowane. Na przykład w sierpniu i na początku września kampania partii rządzącej została zasilona około 2,6 mln dolarów z darowizn i pośrednio, poprzez

Nawet jeśli retoryka rządu w Tbilisi jest prozachodnia, to stosowane przezeń praktyki mają coraz mniej wspólnego z zachodnimi i demokratycznymi standardami. Z satysfakcją przygląda się temu Kreml.

Co ważne, głosowanie 2 października pokazało, jak zmienia się nastawienie Zachodu do rządów GM. O ile oskarżenia o kupowanie głosów i inne formy oszustw są stałym elementem gruzińskich wyborów, to ostatnio międzynarodowi obserwatorzy i dyplomaci coraz ostrzej wypowiadają się na ten temat. Po pierwszej turze wyborów lokalnych ambasada USA w wydanym komunikacie wyraziła zaniepokojenie coraz powszechniejszym zastraszaniem, kupowaniem głosów i wykorzystywaniem tzw. adminresursu [od woli wyborców ważniejsza jest postawa państwowej administracji – przyp. red.]. OBWE uznała wybory za generalnie dobrze przeprowadzone, zaś kandydaci „mieli możliwość prowadzenia kampanii w sposób wolny w konkurencyjnym środowisku", jednakże głosowanie było „naznaczone przez powszechne i stałe zarzuty o zastraszanie, kupowanie głosów, wywieranie presji na kandydatów i wyborców". W dniu głosowania media i obserwatorzy udokumentowali wiele przypadków, gdy aktywiści wspierający rządzącą partię czekali przed lokalami wyborczymi z własnymi listapaństwowe fundusze. To 2,5 raza więcej niż w tym okresie otrzymały na kampanię wszystkie partie opozycyjne razem wzięte. Na GM wpłacają firmy, które dostają rządowe kontrakty, oraz firmy powiązane biznesowo z miliarderem Iwaniszwilim. Pod względem finansowym opozycja nigdy nie dorówna Gruzińskiemu Marzeniu, które dysponuje zarówno publicznymi środkami, jak i ogromnymi zasobami najbogatszego Gruzina. Na przykład w 2018 roku Iwaniszwili zasłynął – tuż przed II turą wyborów prezydenckich – spłacaniem z własnej kieszeni długów wyborców. Na pewno pomogło to zwyciężyć protegowanej GM, Salome Zurabiszwili.

▶ Show Miszy

Niewykluczone, że na wynik I tury wyborów lokalnych miał też wpływ, w większym niż zwykle stopniu, „czynnik Miszy". Oto Saakaszwili, który od dawna zapowiadał osobiste zaangażowanie w wybory, w końcu spełnił obietnicę i pojawił się w Gruzji – z fatalnym zresztą dla siebie

eprasa.pl a536663907

skutkiem. Przypomnieć należy bowiem, że Saakaszwili po dwóch kadencjach prezydenckich (2003–2013) ustąpić musiał z urzędu. Rządziło już wtedy Gruzińskie Marzenie, zaś nowy prezydent także był przedstawicielem tej partii. Gdy tylko Saakaszwili stracił immunitet, znalazł się na ławie oskarżonych, i to w czterech różnych sprawach. Wyjechał więc szybko z kraju – ostatecznie na długo zakotwiczył na Ukrainie, gdzie dostał obywatelstwo i robił karierę polityczną. W ojczyźnie dostał zaocznie dwa wyroki za nadużycia władzy w czasie pełnienia urzędu: 3 i 6 lat. Jako że w Gruzji takie kary się nie kumulują, musi odsiedzieć sześć lat za kratkami. A jednak wrócił, pomimo ciążących na nim prawomocnych wyroków więzienia. Można wręcz powiedzieć, że „skradł show". Zaczęło się już kilka dni przed wyborami, gdy od lat przebywający na Ukrainie były prezydent pochwalił się w mediach społecznościowych biletem na lot z Kijowa do Tbilisi, 2 października. Gruzińskie władze do samego końca nie chciały uwierzyć, że Saakaszwili faktycznie wyląduje w Gruzji. Tymczasem w wigilię wyborów, z samego rana, były prezydent zamieścił w mediach społecznościowych dwa nagrania wideo, na których widać, jak spaceruje po ulicach Batumi i wzywa mieszkańców do głosowania na Zjednoczony Ruch Narodowy. Więc ostatni dzień kampanii politycy GM spędzili na zapewnianiu Gruzinów, że to deep fake. – Mogę wam powiedzieć z całą pewnością, że Saakaszwilego nie ma w Batumi i wideo nie zostało nagrane w Batumi – oświadczył szef rządzącej partii Irakli Kobachidze. Rzecznik partii, Mamuka Mdinaradze, poszedł dalej, deklarując, że nagranie zrobiono w ukraińskim kurorcie Truskawiec. Cała narracja runęła jeszcze tego samego dnia wieczorem. Oto premier Irakli Garibaszwili ogłosił, że Saakaszwili został aresztowany w Gruzji, w mieszkaniu jednego ze zwolenników w Tbilisi. Ale Gruzini uwierzyli dopiero, gdy zobaczyli zdjęcia skutego Saakaszwilego w asyście policjantów. Jak Saakaszwili dostał się do ojczyzny? Jak mógł swobodnie z Batumi pojechać do Tbilisi? MSW zapewniło, że nie przekroczył żadnego oficjalnego przejścia granicznego. Okazało się, że Saakaszwilego przemycono w ciężarówce, która przypłynęła promem z Ukrainy – co świadczy o nieszczelności gruzińskich granic i kompromituje tamtejsze służby.

Dlaczego Saakaszwili wrócił do kraju? Jedni mówią, że ośmieszył władze, zaś jego pobyt w więzieniu skonsoliduje opozycję wokół niego. Długa emigracja pokazała, że nie jest w stanie skutecznie walczyć z Gruzińskim Marzeniem i jego faktycznym wodzem, oligarchą Bidziną Iwaniszwilim. Zza krat, ale w kraju, przedstawiając się jako ofiara reżimu i odważny polityk, który wrócił do swych zwolenników, wiedząc, co mu grozi, Saakaszwili miałby stać się większym problemem dla rządu. Z drugiej jednak strony nie brak głosów, że jego niespodziewany powrót zmobilizował do oddania głosu na rządzących część elektoratu obecnej opozycji, która dąży do odebrania władzy Gruzińskiemu Marzeniu, ale jeszcze bardziej nie chce powrotu Saakaszwilego. 3 października premier Garibaszwili oświadczył, że w celu destabilizacji sytuacji w kraju były prezydent wraz z towarzyszami planowali zabójstwa działaczy opozycyjnych, aby później oskarżyć o nie władze. Prezydent Salome Zurabiszwili zapowiedziała, że nie zastosuje prawa łaski, należy więc sądzić, że Saakaszwili spędzi w więzieniu co najmniej trzy lata. Co najmniej, bo szykują się kolejne procesy. Saakaszwili twierdzi, że wyroki to wyłącznie polityczna zemsta. Rozpoczął w areszcie w Rustawi głodówkę.

> Pomimo faktu, że 85 proc. Gruzinów opowiada się za prozachodnią polityką zagraniczną, kraj ten wydaje się dziś oddalony od UE i NATO bardziej niż kiedykolwiek po „rewolucji róż" w 2003 roku.

▶ Zachód traci cierpliwość

Były prezydent Gruzji ma ukraiński paszport (gdy go dostał, został pozbawiony obywatelstwa gruzińskiego). Od maja 2020 roku Saakaszwili kierował komitetem wykonawczym Ukraińskiej Rady Narodowych Reform. Prezydent Wołodymyr Zełenski już zapowiedział, że zrobi, co się da, by wydostać Sa-

eprasa.pl a536663907

akaszwilego z więzienia Rustawi. Gruzja może teoretycznie wydać polityka Ukrainie, ale praktycznie jest to mało prawdopodobne. Po pierwsze, Saakaszwili może być przekazany Ukrainie tylko w celu odbywania dalszej kary. Po drugie, nawet taka możliwość pojawi się dopiero za kilka lat, kiedy zapadną wyroki w innych wszczętych przeciwko niemu sprawach. Saakaszwilego czekają procesy związane m.in. z rozpędzeniem demonstracji w 2007 roku i rajdem służb na stację telewizyjną politycznego rywala w 2008 roku. Nawet jeśli USA i UE staną po stronie Saakaszwilego, gruzińskie władze i tak będą miały wszelkie podstawy, by mówić, że nie mają prawa odsyłać go za granicę, bo najpierw trzeba doprowadzić do wyroku nowe sprawy karne przeciwko Saakaszwilemu. Zachód raczej nie jest gotowy, by ingerować w sytuację po stronie Saakaszwilego. Aczkolwiek sygnalizuje, że uważnie przygląda się sprawie. Departament Stanu zakomunikował, że USA patrzą na rozwój wydarzeń w Gruzji i apelują do władz tego kraju o sprawiedliwe traktowanie byłego prezydenta.

Tymczasem kilkudziesięciu polityków, w tym były prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko, były prezydent Łotwy Valdis Zatlers i były premier Szwecji Carl Bildt, zaapelowało w liście otwartym do przewodniczących Rady Europejskiej, Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego o pomoc w uwolnieniu byłego prezydenta Gruzji. „Po rewolucji róż w 2003 roku nowy gruziński rząd wprowadzał reformy, których celem było zapewnienie bezpieczeństwa oraz integracji gospodarczej i politycznej z Zachodem, której chcieli Gruzini" – piszą sygnatariusze listu, przypominając, że Saakaszwili odegrał znaczącą rolę w ustanowieniu regionalnego precedensu w 2012 roku, kiedy w wyniku wolnych i uczciwych wyborów stracił władzę, przekazując ją nowemu rządowi w sposób pokojowy i demokratyczny. „Wiadomo, że zarzuty wobec niego są motywowane politycznie. [...] Aresztowanie byłego prezydenta Saakaszwilego służy jedynie pogłębieniu kryzysu politycznego w Gruzji. Era politycznie motywowanych procesów sądowych musi się wreszcie skończyć. Prezydent Saakaszwili powinien zostać uwolniony" – zaapelowali politycy.

▶ Rosja cierpliwie czeka

Sprawa Saakaszwilego z pewnością nie poprawi relacji Tbilisi z Zachodem. Formalnie władze Gruzji podtrzymują deklaracje o prozachodnim kierunku gruzińskiej polityki, co świadczy raczej o ich pragmatyzmie, a nie szczerych prozachodnich poglądach. Społeczeństwo popiera bowiem pogłębianie relacji z UE i NATO, a okupacja przez Rosję Abchazji i Osetii Południowej podsyca silne nastroje antyrosyjskie i przesądza o tym, że partie promujące normalizację z Rosją nie liczą się na scenie politycznej. Jednak pomimo faktu, że 85 proc. Gruzinów opowiada się za prozachodnią polityką zagraniczną, kraj ten wydaje się dziś oddalony od UE i NATO bardziej niż kiedykolwiek po „rewolucji róż" w 2003 roku. Zachód bardzo źle przyjął zerwanie przez GM kwietniowej ugody z opozycją. Władze w Tbilisi były krytykowane też za brak reakcji na przemoc na ulicach podczas manifestacji społeczności LGBT. W zamieszkach sprawcy praktycznie bezkarnie pobili kilkudziesięciu dziennikarzy. Jeden z nich, operator opozycyjnej telewizji, po kilku dniach zmarł. Reputacji rządu gruzińskiego nie poprawiło ujawnienie faktu szeroko zakrojonej inwigilacji dyplomatów zagranicznych. Jednak obecna władza ignoruje uwagi Zachodu. Nie pomogły również zachęty finansowe. Dopiero co gruziński rząd odrzucił pożyczkę w wysokości 75 mln euro, zaoferowaną przez UE na pomoc w opanowaniu szalejącej w Gruzji pandemii koronawirusa, ponieważ nie był skłonny do wprowadzenia reform sądownictwa, od których uzależniona była pożyczka.

Moskwa z satysfakcją obserwuje coraz gorsze relacje Tbilisi z Zachodem, szczególnie USA. Zresztą Rosjanie dolewają oliwy do ognia. Na przykład w marcu bieżącego roku Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR) wydała komunikat na temat sytuacji w Gruzji. W oświadczeniu przypisywanym dyrektorowi SWR Siergiejowi Naryszkinowi czytamy, że USA są niezadowolone z rządzącego ugrupowania, ponieważ nie wykonuje ono poleceń Waszyngtonu, więc Amerykanie planują operację, która osłabi Gruzińskie Marzenie i wzmocni opozycję. Rosja może wyciągnąć korzyści z kryzysu w Gruzji, używając narzędzi ekonomicznych i swej kontroli nad separatystycznymi regionami gruzińskimi, Abchazją i Osetią Południową, aby wpływać na sytuację polityczną w Tbilisi w pożądanym kierunku. W ostatnich kilku latach Rosja umocniła się na pozycji drugiego pod względem wielkości obrotów partnera handlowego Gruzji. Jednocześnie ewidentnie widać wzrost rosyjskiej soft power w Gruzji, co jest możliwe dzięki polityce Gruzińskiego Marzenia. Moskwa skupia się na podważeniu więzi Gruzji z Zachodem nie na płaszczyźnie politycznej czy bezpieczeństwa, ale sprytnie grając kwestiami kulturowymi i ekonomicznymi. Należy pamiętać, że duża część Gruzinów wciąż ma emocjonalne i mentalne więzi z sowiecką przeszłością, wielu ma konserwatywne, prawosławne poglądy – więc rosyjska propaganda nastawia ich przeciwko „zgniłemu moralnie Zachodowi". ■

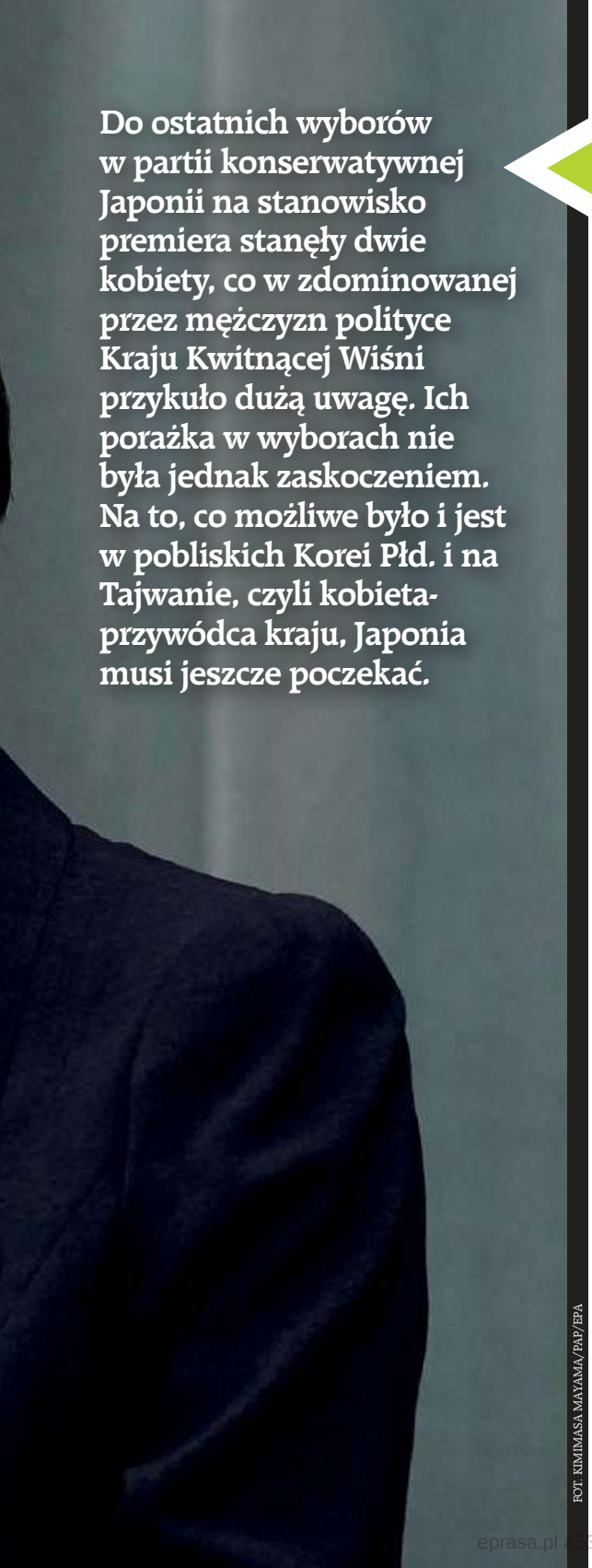
eprasa.pl a536663907

Hanna Shen



Czy Japonki skruszą żelazny sufit?

Sanae Takaichi



Do ostatnich wyborów w partii konserwatywnej Japonii na stanowisko premiera stanęły dwie kobiety, co w zdominowanej przez mężczyzn polityce Kraju Kwitnącej Wiśni przykuło dużą uwagę. Ich porażka w wyborach nie była jednak zaskoczeniem. Na to, co możliwe było i jest w pobliskich Korei Płd. i na Tajwanie, czyli kobieta-przywódca kraju, Japonia musi jeszcze poczekać.

FOT. KIMIMASA MAYAMA/PAP/EPA

Zarówno Korea Południowa, jak i Tajwan pokazują, że kobiety w polityce na Dalekim Wschodzie mogą zajść na sam szczyt. Czasem też z wysoka spadają, jak to było w przypadku byłej już przywódczyni Korei Płd. W 2012 roku Park Geun-hye została wybrana jako pierwsza kobieta na prezydenta Korei Płd. Jednak w 2017 roku Sąd Konstytucyjny zatwierdził impeachment prezydent Park, uznając ją winną złamania konstytucji i obowiązującego prawa oraz pozbawił urzędu. Jeszcze tego samego roku była już prezydent została aresztowana pod zarzutem m.in. nadużycia konstytucyjnych uprawnień, korupcji i płatnej protekcji. Rok później została skazana na 24 lata więzienia.

W przypadku Tajwanu kobieta-przywódca może mówić o sukcesie. W 2016 roku Tsai Ing-wen była pierwszą kobietą wybraną na urząd prezydenta Tajwanu. Do reelekcji doszło w styczniu 2020 roku.

W ogóle Tajwan mógłby być wzorem dla pozostałych państw w Azji w kwestii udziału kobiet w polityce. Przed Tsai Ing-wen, w 2000 roku, Annette Lu była pierwszą kobietą wiceprezydentem Tajwanu, służąc przez osiem lat razem z prezydentem Chen Shui-bianem.

Podczas gdy w Japonii kobiety stanowią 10 proc. parlamentarzystów w Izbie Reprezentantów, a w Korei Płd. 19 proc, to w tajwańskim parlamencie jest to 42 proc. (dla porównania w Polsce jest około 30 proc. w Sejmie).

Próba uderzenia w żelazny sufit

Po raz pierwszy o stanowisko szefa konserwatywnej Partii Liberalno-Demokratycznej (LDP), a tym samym premiera Japonii, walczyła w 2008 roku Yuriko Koike. „Otrzymałam entuzjastyczne wsparcie ze strony moich kolegów. Uważam, że aby przełamać impas panujący w japońskim społeczeństwem, nasz kraj mógłby mieć kandydatkę kobietę. Hillary [Clinton] użyła słowa »szklany sufit«, ale w Japonii to nie jest szkło, to żelazo" – mówiła Koike w trakcie kampanii.

Ostatecznie tego żelaznego sufitu nie przebiła. Osiem lat później wyważyła jednak inne drzwi, dotąd zamknięte dla kobiet w Japonii. 31 lipca 2016 roku została wybrana na gubernatora Tokio. Jest, do dziś, pierwszą kobietą na tym stanowisku.

W ostatnich wyborach na przywódcę partii konserwatywnej, a tym samym premiera Japonii, i osiągnąć taki status, jaki mają już kobiety w polityce na Tajwanie i Korei Płd, czyli przełamać żelazny sufit, próbowały dwie kobiety. Do walki o schedę po odchodzącym ze stanowisk premiera i szefa LDP Yoshihidzie Suga, na początku października bieżącego roku stanęły Sanae Takaichi i Seiko Noda. Obie członkinie

eprasa.pl 36663907

partii konserwatywnej, a jednak bardzo różniące się poglądami.

60-letnia Takaichi w swoich staraniach o przywództwo w kraju była początkowo wspierana przez Shinzo Abe*, premiera Japonii m.in. z okresu rządów Trumpa w USA. Abe był zwolennikiem ostrego stanowiska wobec Chin i ścisłej współpracy z Waszyngtonem. Był on także pierwszym premierem, który zauważył, jak zwiększenie roli kobiet w środowisku zawodowym może wpłynąć m.in. na stan gospodarki Japonii. Shinzo zaczął aktywnie promować kobiety na arenie politycznej i powierzać im więcej funkcji w rządzie. To właśnie Sanae Takaichi była pierwszą kobietą ministrem spraw wewnętrznych w drugiej administracji Abe** w 2014 roku.

Takaichi zawsze jako polityka godnego naśladowania wymienia Margaret Thatcher. Sama do polityki weszła w 1993 roku. Wybrana wtedy została po raz pierwszy do parlamentu. Ku rozczarowaniu propagatorów praw kobiet w Kraju Kwitnącej Wiśni Takaichi popiera sukcesję wyłącznie mężczyzn w rodzinie cesarskiej i sprzeciwia się małżeństwom osób tej samej płci oraz rewizji XIX-wiecznego prawa cywilnego, które pozwoliłoby kobietom zachować panieńskie nazwisko. W kwestii Chin Takaichi jest określana mianem „ultra-jastrzębia". Tak samo jak Shinzo Abe uważa, że aby Japonia mogła stawić czoło zagrożeniom ze strony Chin i Korei Płn., powinna odejść od pacyfizmu.

Pacyfizm narzuciła Japonii opracowana w 1946 roku przez amerykańskich prawników konstytucja. Według art. 9 ustawy zasadniczej Kraj Kwitnącej Wiśni musiał „wyrzec się na zawsze wojny jako suwerennego prawa narodu, jak również użycia lub groźby siły jako środka rozwiązywania sporów międzynarodowych". Konstytucja zezwalała na użycie japońskich sił jedynie w samoobronie. W tym celu stworzono w 1954 roku Japońskie Siły Samoobrony (Jieitai). To za rządów Shinzo Abe rozpoczęło się odejście od pacyfizmu m.in. dzięki uchwaleniu ustawy zezwalającej na podjęcie działań w ramach tzw. zbiorowej samoobrony, czyli wysłanie japońskich sił poza granice kraju, aby pomóc sojusznikom, głównie USA, nawet jeśli Japonia nie zostanie bezpośrednio zaatakowana.

Takaichi na stanowisku premiera Japonii kontynuowałaby proces zrywania z pacyfizmem. W kampanii wyborczej mówiła także o potrzebie zaostrzenia prawa dotyczącego technologii, by nie mogły jej przejmować firmy z Chin.

Druga kandydatka na stanowisko premier Japonii, 61-letnia Seiko Noda, we własnej partii konserwatywnej określana jest jako liberał i pacyfista. Tak jak Takaichi weszła po raz pierwszy do parlamentu w 1993 roku. Później była wiceministrem poczty i telekomunikacji, ministrem ds. konsumentów oraz ministrem stanu ds. nauki, technologii i bezpieczeństwa żywności.

Polityk ta popiera małżeństwa osób tej samej płci, a w czasie kampanii mówiła o konieczności wprowadzenia systemu kwot tak, aby zwiększyć liczbę kobiet-parlamentarzystów. Obiecała też, jeśli zostałaby wybrana, że kobiety będą stanowić połowę jej gabinetu.

Chociaż od początku było wiadomo, że ani Takaichi, ani Noda nie zostaną premierami, to fakt, że dwie kobiety starały się o najwyższe stanowisko w Japonii, przedstawiano jako duży postęp w kręgach partii rządzącej w Kraju Kwitnącej Wiśni. Postęp, a jednak 13 lat po pierwszej próbie przebicia żelaznego sufitu przez Yuriko Koike, jej koleżanki partyjne nadal nie mogą go skruszyć.

Cesarski sufit

Pozycja społeczna kobiety jest w Japonii dużo niższa niż mężczyzny. Choć legenda głosi, że matką japońskiego narodu jest bogini słońca Amaterasu, to jak na razie kobiecie w Japonii nie tylko nie udało się być premierem. Niemożliwe jest także sięgnięcie po tron chryzantemowy, jak zwany jest w Kraju Kwitnącej Wiśni tron cesarski. W historii Japonii znanych jest co najmniej osiem cesarzowych. Jednak od XVIII wieku na tronie cesarskim zasiadają tylko mężczyźni. Prawo ograniczające sukcesję do męskich potomków formalnie weszło w życie dopiero w 1947 roku.

W ostatnich latach wróciła jednak dyskusja na temat przywrócenia prawa sukcesji tronu dla żeńskich dziedziców. Obecnie 61-letni cesarz Naruhito ma tylko jedno dziecko – córkę, 19-letnią księżniczkę Aiko. W kolejności prawo do tronu mają jego brat, 55-letni książę Akishino, syn Akishino, 14-letni książę Hisahito, i wuj cesarza, 85-letni książę Hitachi. W obliczu malejącej liczby męskich dziedziców, w japońskim społeczeństwie bardzo wzrosło poparcie do przywrócenia sukcesji kobiet. W sondażu przeprowadzonym w marcu bieżącego roku przez agencję Kyodo News około 80 proc. respondentów stwierdziło, że zaakceptowałoby zarówno panującą cesarzową, jak i cesarza pochodzącego od żeńskiego członka rodziny panują-

* Na ostatnim etapie kampanii wyborczej Shinzo Abe ostatecznie poparł Fumio Kishidę, obawiając się zwycięstwa kandydata głoszącego bliższą współpracę z ChRL. Ostatecznie premierem został Kishida.

** Shinzo Abe był premierem Japonii w latach 2006–2007 i 2012–2020.

eprasa.pl a536663907

cej. W tym samym czasie rząd w Tokio rozpoczął formalną dyskusję na temat tego, jak zapewnić stabilną sukcesję. Powołano panel doradczy, który ma zebrać opinie ekspertów także na temat sukcesji kobiet. Na razie jednak to tylko dyskusja, bo pomimo powszechnego poparcia społecznego dla przywrócenia na tron cesarzowej, sprzeciw wobec tej idei najsilniejszy jest wśród polityków partii konserwatywnej, a więc tej, której członkami są Sanae Takaichi i Seiko Noda walczące niedawno o stanowisko premiera Japonii.

Czy trzeba trzęsienia ziemi?

Mimo że w tym roku o stanowisko premiera Japonii ubiegały się dwie kobiety, to jedna z ich koleżanek partyjnych od samego początku kampanii nie wróżyła im sukcesu. Mowa tu o zaufanej współpracownicy Shinzo Abe, Tomomi Inada. Abe nazywa ją „japońską Joanną d'Arc" i będąc u rządów mianował ją w 2016 roku ministrem obrony narodowej. To kluczowe stanowisko w administracji Kraju Kwitnącej Wiśni ze względu na problemy z prowadzącą co jakiś czas próby rakietowe Koreą Północną oraz zaogniającymi morskie spory terytorialne i wydającymi coraz więcej na armię Chinami.

Inada, z wykształcenia prawnik, znana jest z bardzo kontrowersyjnych poglądów na temat przeszłości wojennej swojego kraju. Jeszcze w salach sądowych walczyła o dobre imię żołnierzy armii imperialnej, którzy w Azji Wschodniej dopuszczali się zbrodni. Domagała się na przykład rehabilitacji dwóch oficerów skazanych za zbrodnie wojenne i straconych, którzy w Nankinie w 1937 roku urządzili konkurs ścinania samurajskim mieczem głów chińskich jeńców. Według Inady ta historia to wytwór propagandy mający podnieść morale żołnierzy japońskich podczas podboju Chin. Była minister obrony broniła też świątyni Yasukuni, upamiętniającej wszystkich żołnierzy poległych w służbie cesarzowi, także winnych zbrodni. Do dziś wizyty japońskich polityków, kolegów partyjnych Inady w szintoistycznej świątyni Yasukuni wywołują tarcia dyplomatyczne pomiędzy Japonią a Chinami i Koreą Południową, które uznają to miejsce za symbol japońskiego militaryzmu z czasów II wojny światowej.

Inada zrezygnowała z szefowania japońskiego MON-u w 2017 roku w związku z oskarżeniami o to, że pomogła zatuszować wewnętrzne dokumenty, które ujawniały zagrożenia, z jakim zmagali się japońscy żołnierze sił pokojowych w Sudanie Południowym. W rzeczywistości nie jest jednak jasne, czy polityk była osobiście zaangażowana w zacieranie informacji i czy przypadkiem nie stała się po prostu kozłem ofiarnym skandalu.

Dziś Inada, zasiadająca w parlamencie z ramienia LDP, bardzo krytycznie odnosi się do stosunku jej partyjnych kolegów do partyjnej kariery kobiet i nie wierzy, by na razie kobieta mogła zostać premierem w Japonii. Sama zapowiadała jeszcze w 2017 roku, że powalczy o premierostwo w 2021 roku. Ostatecznie nie wierząc w sukces kobiety, do walki nie stanęła.

„LDP musi stanąć w obliczu kryzysu i dopiero wtedy kobiety będą mogły startować [na najwyższe stanowiska – przyp. aut.]. W tej chwili partia nie chce robić niczego, co wymagałoby dodatkowego wysiłku. Chcą utrzymać status quo. Ale jeśli osiągną punkt, w którym nie będą mogli wygrać, myślę, że kobiety będą miały szansę" – powiedziała była minister obrony w jednym z wywiadów w połowie bieżącego roku.

Na razie bez większych zmian

31 października odbyły się wybory parlamentarne w Japonii. Nie będzie tu rewolucji dla kobiet. Na 1000 kandydatów do liczącej 465 Izby Reprezentantów, izby niższej parlamentu Japonii, tylko 186 to kobiety. Wśród kandydatów konserwatywnej LDP kobiety stanowiły 10 proc., a w opozycyjnej lewicowej Konstytucyjnej Partia Demokratycznej (CDP) – 18 proc.

Fumio Kishida, który właśnie wygrał walkę o przywództwo w LDP, i z dwiema kobietami, Sanae Takaichi i Seiko Noda, głośno mówi, że jest zwolennikiem większego udziału kobiet w rządzie, na 20 tek ministerialnych tylko trzy przydzielił kobietom. Jedną z nich dostała jego niedawna rywalka Seiko Noda. Mianowano ją ministrem ds. przeciwdziałania spadkowi urodzeń. Już po otrzymaniu teki Noda powiedziała, że będzie dalej walczyć o to, by kobiety w Japonii odgrywały większą rolę w polityce. Komentując skład nowego rządu stwierdziła, że „zdecydowana większość obecnie piastujących urzędy to mężczyźni i muszę przyznać, że nie byłam w stanie sprawić, aby było więcej kobiet".

Trochę w tle wyborów na premiera i tych parlamentarnych, kobiety w Japonii zdołały przebić inny żelazny sufit. W październiku wybory na szefa największej, bo liczącej 7 mln członków organizacji związkowej w Kraju Kwitnącej Wiśni, wygrała Tomoko Yoshino. 55-latka to pierwsza kobieta na czele powstałej w 1989 roku Japońskiej Konfederacji Związków Zawodowych. Po zwycięstwie przyznała, że wahała się, czy stanąć do wyborów, ale, jak mówi: „Pomyślałam o wielu utalentowanych kobietach, które musiały odejść z pracy bez możliwości awansu. Pomyślałam, że powinnam kontynuować ich wysiłki i ich wolę, i zdecydowałam, że nie mogę przegapić okazji, by przebić się przez szklany sufit w Japonii". ■

eprasa.pl a536663907



Olga Doleśniak-Harczuk

Rewolucji i precla!

26 października w sali plenarnej Reichstagu po raz pierwszy zebrali się posłowie nowego Bundestagu. To już 20. kadencja od 1949 roku. Na pierwszy rzut oka skład nowego parlamentu Niemiec jest „trzy razy bardziej": kobiecy, zielony i postępowy. I jeszcze jedno – on jest większy. Aż o 27 miejsc. A jak to wygląda w liczbach, procentach i... poglądach?

Tak jak w ubiegłej kadencji w ławach parlamentarnych zasiądą: Socjaldemokraci (SPD), Chadecy (frakcja CDU i CSU), liberałowie (FDP), Zieloni, Alternatywa dla Niemiec (AfD) i Linke (amalgam lewicy postkomunistycznej i zachodniej). Najwięcej mandatów w tej kadencji przypada SPD – 206, następnie plasują się: CDU/CSU – 197, Zieloni –118, FDP – 92, AfD – 82, Linke – 39 i dwóch posłów bezpartyjnych. Łącznie: 736 mandatów. Dzieląc według płci: 479 mężczyzn i 257 kobiet oraz „0 innych", co oznacza, że parlamentarzyści mimo swojej postępowości nadał hołdują tradycyjnemu podziałowi na dwie płcie. Kobiety stanowią blisko 35 proc. aktualnego składu parlamentu, a ich udział w poszczególnych frakcjach rozkłada się następująco: SPD – 86, CDU/CSU – 46, Zieloni – 70, FDP – 23, AfD – 11, Linke – 21. Co do wieku nowych parlamentarzystów, największą grupę wiekową stanowią posłowie między 50. a 54. rokiem życia – 17,12 proc., a najmniejszą liczący sobie od 18 do 24 lat – 0,82 procent. Przy czym najwięcej tych najmłodszych jest u Zielonych – 4 i w SPD – 2.

eprasa.pl a536663907

Rewolucja trwa, ale rozczarowuje

Najmłodszą deputowaną w 20. kadencji Bundestagu jest 23-letnia Emilia Fester z Hamburga (Zieloni), która w niemieckim parlamencie „chce oddać głos takim organizacjom jak Fridays for Future i walczyć o prawa kobiet". Fester pytana o pierwsze wrażenia z nowego miejsca pracy, odparła, że „jest jak na pierwszym roku, tylko mniej alkoholu, i dali nam semestralne bilety na przejazdy komunikacją miejską ". Już wiadomo, że w Berlinie posłanka zamieszka w Wohngemeinschaft, czyli mieszkaniu dzielonym przez kilka osób, prawdopodobnie innych młodych polityków, którzy popierają dążenia Emilii do „sprawiedliwości klimatycznej", „paszportu klimatycznego" czy „podatku od CO2". Jeżeli zastanawiacie się Państwo, czym jest paszport klimatyczny, to jest to dokument mający uprawniać „osoby przybywające z obszarów zagrożonych kryzysem klimatycznym" do uzyskania azylu w państwach europejskich. Pytanie, czy rygorystyczna polityka klimatyczna Fransa Timmermansa nie sugeruje, że również nasz kontynent jest już obszarem klimatycznej katastrofy, co rodzi wątpliwości, czy aby Niemcy, Francja, Hiszpania i pozostałe państwa są dobrym adresem dla klimatycznych uchodźców. Ale to jest już problem tych, do których zaczną się zgłaszać co lepiej zorientowane w tutejszej niezborności pionu ideologicznego osoby, „uciekinierzy klimatyczni" z różnych ciepłych zakątków globu.

Poza klimatem głos młodego pokolenia w Bundestagu będzie walczyć o równouprawnienie „osób LGBTQ*IAs" (ostatnie dwie litery oznaczają „interseksualnych" i „aseksualnych"). Zapał jest. Pomysł jest. Ale i niesmak jest. Bo niby dlaczego zamiast promować na posłów osoby spoza kanonu płciowego, tak by zakładka „divers" („różne / inne niż kobieta i mężczyzna") w prawym górnym rogu strony Bundestagu nie straszyła gołym zerem, wysuwa się do wyścigu tradycyjny, wręcz konserwatywny narybek partyjny? Czyli jak kobiety były reprezentowane przez „białych, starych mężczyzn", to było źle, a jak posłowie określający się jako kobiety lub mężczyźni roszczą sobie prawo do reprezentowania chociażby osób interseksualnych, to już jest dobrze? Jeszcze na dobre nie zaczęli posłowie obradować, a już widać niedociągnięcia. Jeżeli komuś w Berlinie się wydaje, że wystarczy na drzwiach toalet chociażby w takim „Centrum Wypędzonych" dorysować trzecią, taką nieszablonową lekko laleczkę na znak tolerancji dla interseksualnych odwiedzających, to są w błędzie. Co za czasy. I jeszcze jedno. Pani Emilia pisze na swojej stronie internetowej: „Jestem Milla, mam 23 lata i byłam kandydatką Zielonej Młodzieży w wyborach do Bundestagu 2021 roku. Moje pełne imię to Emilia Johanna Fester, a mój zaimek osobowy to »ona«". Nie wiem, co Państwo na to, ale to chyba zbyt ofensywna deklaracja. Mało empatyczna. Jest w tym jakiś brutalizm płciowy.

Urok „afery siedzeniowej"

Była młodzież, to teraz czas na seniorów Bundestagu. Mowa o grupie siedemdziesiąt plus. I takich parlamentarzystów znalazło się w nowej kadencji dziesięciu. Najwięcej, bo aż czterech, w AfD. Troje w FDP. Po jednym w SPD, CDU/CSU i Linke. I ani jednego we frakcji Zielonych. Najstarszym ze wszystkich jest zaś Alexander Gauland (AfD), rocznik 1941, a goni go dotychczasowy przewodniczący Bundestagu, Wolfgang Schäuble (CDU), rocznik 1942. To są politycy starej daty i starych Niemiec. Ale wciąż waleczni i bardzo złośliwi.

Jak będzie teraz? Gauland to typ „wiecznie ustępujący", a Schäuble na poważnie pożegna się z funkcją. Jego miejsce zajmie ktoś z SPD. Prawdopodobnie kobieta. Po drugie, AfD pewnie znowu nie dostanie dla swojego posła funkcji wiceprzewodniczącego. W ubiegłej kadencji wszyscy kandydaci alternatywnych byli odrzucani w głosowaniu, mimo że każda z frakcji w parlamencie ma prawo do swojego reprezentanta w prezydium Bundestagu, AfD regularnie tego prawa odmawiano. Czy szykowany przez AfD na wiceprzewodniczącego wykładowca akademicki z Jeny, Michael Kaufmann, przebije szklany sufit Bundestagu? Wątpliwe. Bardziej prawdopodobne jest już to, że technicy parlamentarni będą zmuszeni do przemeblowania sali plenarnej już po pierwszym posiedzeniu. FDP nie chce już siedzieć przy AfD i żąda dla siebie miejsca w samym centrum półkola. Symbolicznie wraca do gry, być może również do koalicji i do centrum. Teraz przy niesfornych kolegach z AfD mają siedzieć chadecy. Raczej nie są zachwyceni taką opcją, ale politycy z Linke już zapowiedzieli, że poprą żądanie liberałów, a jak dojdzie do koalicji z SPD i Zielonymi, to chadecy się nie obronią. Takie ostateczne zepchnięcie na „prawy rand". Bardziej już czarnym nie można dopiec. Liberałowie skarżyli się nie raz, że ich posłanki są przez sąsiadów z AfD „zaczepiane w sposób wulgarny, z podtekstami seksualnymi i człowiek wplątuje się w dyskusje, na które nie ma najmniejszej ochoty". Cóż. Liberałowie pękają, chadecy będą musieli wytrzymać. Było wygrać. Swoją drogą, „Cztery lata z AfD" – dobry tytuł na oktoberfestowy szlagier pod piwo i precla. ■

eprasa.pl a536663907

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–USA–Tajwan

Harvard Beijing Academy, letni program studiów za granicą w języku mandaryńskim[1] Uniwersytetu Harvarda, ogłosił, że kończy współpracę z Pekińskim Uniwersytetem Języka i Kultury (BLCU) i do lata 2022 roku przeniesie się na Tajwan. Rząd Tajwanu ustanowił szereg nowych zagranicznych programów w języku mandaryńskim, które mają konkurować z chińskimi instytutami Konfucjusza. W gazecie uniwersyteckiej „Harvard Crimson" Io Y. Gilman i Isabel Wu wyjaśnili, że ważnym czynnikiem przy podjęciu takiej decyzji była coraz bardziej nieprzyjazna atmosfera w Chinach. Autorzy artykułu, powołując się na dyrektor programu, Jennifer L. Liu, piszą, że „nieprzyjazna atmosfera może być efektem zmiany nastawienia chińskiego rządu do instytucji amerykańskich, wywołanej dojściem do władzy Xi Jinpinga".

Program językowy Harvardu we współpracy z chińską uczelnią rozpoczął się w 2005 roku. Według strony internetowej Pekińskiego Uniwersytetu Języka i Kultury, do 2015 roku wzięło w nim udział ponad 1000 studentów. Program został odwołany w 2020 i w 2021 r. W przyszłym roku wystartuje pod nazwą Harvard Taipei Academy na Narodowym Uniwersytecie Tajwańskim (NTU) w Tajpej. NTU poinformowało, że oprócz oferowania kursów językowych trwających osiem tygodni, program da około 60 studentom możliwość odwiedzenia atrakcji na Tajwanie i udziału w zajęciach kulturalnych, takich jak chińskie warsztaty kaligrafii.

Chińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych określiło decyzję Harvardu jako motywowaną politycznie.

Wraz ze wzrostem napięcia pomiędzy Waszyngtonem i Pekinem strona amerykańska zaczęła głębiej przyglądać się współpracy akademickiej z komunistycznymi Chinami. W styczniu 2020 roku administracja Trumpa zlikwidowała program Korpusu Pokoju w Chinach, a w lipcu zakończyła Program Fulbrighta w ChRL i Hongkongu. W maju ubiegłego roku ta sama administracja wdrożyła politykę – obecnie utrzymywaną przez Bidena – odmawiającą wiz chińskim studentom mającym powiązania z chińskim wojskiem. Tymczasem rząd chiński, powołując się na obawy związane z koronawirusem, zamknął swoje granice dla wszystkich zagranicznych studentów z wyjątkiem tych z Korei Południowej.

Sytuację wykorzystał rząd Tajwanu, dokonując znacznych inwestycji w pozyskiwanie zagranicznych studentów zainteresowanych nauką języka mandaryńskiego. We wrześniu 2021 roku uruchomiono sieć szkół językowych finansowanych w ramach programu o nazwie Taiwan Center for Mandarin Learning (TCML). Oddziały TCML mają powstać m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemczech. Według tajwańskiego ministra ds. społeczności zagranicznych, Tung Chen-yuana, program zapewnia środowisko, w którym ceni się „wolność i demokrację przy jednoczesnym poszanowaniu różnorodności kulturowej". Minister dodał: „to jest coś, z czym instytuty Konfucjusza po prostu nie mogą konkurować".

Na początku tego roku na sympozjum języka chińskiego w Tajpej dyrektor American Institute na Tajwanie (przedstawicielstwa USA na wyspie) Brent Christensen stwierdził, że tajwańskie programy nauczania języka mandaryńskiego powinny dzielić się „inną wersją historii" niż ta opowiedziana w instytutach Konfucjusza, i „w pełni opowiadać historię Tajwanu swoim amerykańskim studentom".

[1] Język mandaryński – standardowy mówiony język chiński, wyniesiony do rangi języka państwowego w Chinach i na Tajwanie.

eprasa.pl a536663907

Filipiny

Maria Ressa, filipińska dziennikarka, która dzieli tegoroczną Pokojową Nagrodę Nobla z rosyjskim dziennikarzem Dmitrijem Muratowem, to założycielka internetowego serwisu informacyjnego Rappler, specjalizującego się w dziennikarstwie śledczym. Jak dotąd już dwukrotnie była więziona za reportaże o „wojnie narkotykowej" prezydenta Rodrigo Duterte, która często prowadzi do łamania praw człowieka i przemocy. Dziennikarce i jej serwisowi postawiono już ponad dziesięć zarzutów, więc następne procesy dopiero przed nią.

Ressa jest pierwszym obywatelem Filipin, który otrzymał Nobla. W przeszłości dziennikarka została wyróżniona za swoją działalność m.in. tytułem Człowieka Roku tygodnika „Time" i tegoroczną nagrodą przyznawaną przez UNESCO w Światowy Dzień Wolności Prasy. Ogłaszając nazwiska laureatów nagrody, przewodnicząca Norweskiego Komitetu Noblowskiego, Berit Reiss-Andersen, powiedziała: „Wolne, niezależne i oparte na faktach dziennikarstwo służy ochronie przed nadużyciami władzy, kłamstwami i propagandą wojenną". Ressa i założony przez nią w 2012 roku Rappler, według Reiss-Andersen, wykorzystują wolność słowa, aby rzucić światło na nadużycia władzy i narastające tendencje autorytarne w jej rodzinnym kraju, Filipinach, i dokumentują, „w jaki sposób media społecznościowe są wykorzystywane do rozpowszechniania fałszywych wiadomości, nękania przeciwników i manipulowania dyskursem publicznym".

Mimo ryzyka Maria Ressa, której książka „Jak przeciwstawić się dyktatorowi" ukaże się w kwietniu 2022 roku, postanowiła nie opuszczać Filipin. „To najlepszy czas na bycie dziennikarzem [...] moment, gdy jest to najbardziej niebezpieczne, to również czas, gdy jest to najważniejsze" – podkreśliła dziennikarka po ogłoszeniu decyzji Komitetu Noblowskiego w rozmowie z portalem śledczym Rappler, którym kieruje. Filipiny są siódmym najbardziej niebezpiecznym krajem na świecie dla dziennikarzy. W 2016 roku prezydent Duterte, dochodząc do władzy i zapowiadając, co się wydarzy, powiedział, że „wolność słowa nie może ci pomóc, jeśli zrobiłeś coś złego". W ubiegłym roku filipiński przywódca przywrócił tzw. czerwone oznakowanie, filipińską praktykę, zgodnie z którą każdy może zostać arbitralnie aresztowany przez policję, a nawet zabity w pozasądowej egzekucji (w tym osoby pracujące w mediach). W 2020 roku w ten sposób zginęło co najmniej czterech filipińskich dziennikarzy. Ponadto latem tego samego roku filipiński parlament odmówił odnowienia koncesji na rzecz największej i najstarszej w kraju sieci telewizyjnej ABS-CBN, pozbawiając miliony obywateli ważnej usługi publicznej podczas pandemii.

Igrzyska Olimpijskie Pekin 2022

Mimo ścisłych ograniczeń związanych z pandemią COVID-19 i braku globalnej sztafety z ogniem olimpijskim[2], aktywiści, którzy sprzeciwiają się Zimowym Igrzyskom Olimpijskim w Pekinie w 2022 roku, wciąż znajdują sposoby, które dbają o to, by ich głos został usłyszany.

W trakcie ceremonii zapalenia ognia olimpijskiego, jaka miała miejsce w Olimpii 17 października, pojawiła się grupa aktywistów z banerem „Nie dla Igrzysk Ludobójstwa". Protestujący rozwinęli także flagę Tybetu.

Na konferencji prasowej organizatorzy protestu stwierdzili, że reprezentują grupy, które stały się celem represyjnej polityki Pekinu, w tym Ujgurów, Hongkończyków i Tybetańczyków.

„Przez ponad 2 lata nakłanialiśmy Międzynarodowy Komitet Olimpijski, nadawców medialnych, sportowców, rządy, sponsorów do bojkotu Igrzysk, ale teraz od społeczności międzynarodowej zależy zajęcie stanowiska w obliczu trwającego ludobójstwa" – powiedziała amerykańskiemu portalowi Zumretay Arkin ze Światowego Kongresu Ujgurów. „Mając niecałe cztery miesiące do Igrzysk Olimpijskich w Pekinie, świat musi zjednoczyć się, by potępić Chiny za trwające ludobójstwo Ujgurów we Wschodnim Turkiestanie i poważne naruszenia praw człowieka w Tybecie, Hongkongu, Południowej Mongolii i Chinach" – twierdzi działaczka polityczna z Hongkongu, Frances Hui.

Nie jest to jedyny głos wzywający do bojkotu Olimpiady. W marcu bieżącego roku grupa europarlamentarzystów wezwała państwa członkowskie UE do podjęcia „symbolicznego aktu" bojkotu Zimowych Igrzysk Olimpijskich w 2022 roku ze względu na łamanie praw człowieka w Chinach, prześladowanie chrześcijan, „zniewolenie" Ujgurów i Tybetańczyków i erozję autonomii demokratycznej w Hongkongu. Sekretarz Generalna Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, Anna Fotyga, powiedziała, że „żaden demokratyczny kraj na Zachodzie nie powinien siedzieć z boku i pozwalać, by to, co dzieje się w Chinach, trwało dalej". Polska europosłanka nazwała działania wobec Ujgurów ludobójstwem. „Musimy zbojkotować te igrzyska i wysłać jasny sygnał do Chin, że ich opresyjna polityka nie pozostanie bez odpowiedzi i uderzająco kontrastuje z duchem olimpijskim" – twierdzi Anna Fotyga. ■

[2] Tradycyjnie płomień olimpijski przemierza z Grecji setki kilometrów w ciągu kilku dni, odwiedza około 50 miast i stanowisk archeologicznych, niosą go znani artyści i sportowcy z całego świata. Przed Igrzyskami w Pekinie ze względu na sytuację pandemiczną nie będzie sztafety olimpijskiej.

eprasa.pl a536663907

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Słowa czy czyny: co określa rosyjską strategię globalną?

Think tank RAND, jeden z wiodących ośrodków badań strategicznych USA, opublikował raport „Generalna strategia Rosji: rzeczywistość i retoryka". 200-stronicowy dokument przygotowała grupa ekspertów ośrodka, z których dwoje – Samuel Charap i Dara Massicot – dokonali jego prezentacji w Kennan Institute, wiodącym amerykańskim centrum badań nad Rosją i Eurazją przy Woodrow Wilson International Center for Scholars. Omówienie tej prezentacji opublikował portal Radio Swoboda 13 października 2021 roku.

Analitycy RAND nie są laikami w swej dziedzinie: Charap pracował wcześniej jako doradca podsekretarza stanu ds. kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa międzynarodowego, a Massicot jako analityk rosyjskiej strategii wojskowej w Departamencie Obrony. Dyskusję w Kennan Institute prowadził Michael Kimmage, profesor historii na Catholic University of America. W latach 2014–2017 odpowiadał za obszar Rosja–Ukraina w Biurze Sekretarza Stanu USA. Cel swojej pracy analitycy określają całkiem pragmatycznie: „Zrozumienie ogólnej strategii Rosji może pomóc amerykańskim decydentom uniknąć strategicznych niespodzianek poprzez przewidywanie działań i reakcji Moskwy, a także ocenę głębokości i charakteru potencjalnych konfliktów między Rosją a Stanami Zjednoczonymi".

Jednak w swoim wystąpieniu Samuel Charap rozwinął tę kwestię. W rzeczywistości „chodzi o coś więcej niż tylko zbiór zagadnień z zakresu polityki zagranicznej. Strategia ta dotyczy w istocie logiki leżącej u podstaw zachowania państwa i obejmuje postrzeganie zagrożeń, jak również idee dotyczące celów i instrumentów. Ważne jest, aby mieć pewien stopień zrozumienia, dokąd zmierza Rosja, aby zminimalizować niespodzianki". Raport składa się z dziesięciu rozdziałów i zawiera wyraźne rozróżnienie między strategią deklarowaną w dokumentach rosyjskich a tym, co jest realizowane w rzeczywistości. Podkreśla, że „niewystarczające zasoby gospodarcze i brak wpływów politycznych ograniczają zdolność Moskwy do realizacji deklarowanych przez nią celów". Dlatego „Rosja będzie miała trudności z rozwijaniem swojego portfolio narzędzi supermocarstwowych przy ograniczonym budżecie obronnym" – podsumowują eksperci RAND. Czynnik ekonomiczny nie jest jedynym powodem, dla którego deklaracje Moskwy rozmijają się z czynami. Badacze RAND zauważyli, że „strategia Rosji nadaje priorytety zagrożeniom i dlatego zakłada akceptację pewnych

eprasa.pl a536663907

ryzyk w obszarach o niższym priorytecie", ale w rzeczywistości „Rosja wydaje się niechętna do zaakceptowania tych ryzyk i dlatego alokuje zasoby w sposób, który jest niezgodny z jej deklarowaną strategią" – czytamy w raporcie. Mimo to analitycy nie sądzą, by realizowana przez Rosję strategia ogólna różniła się zasadniczo od strategii deklarowanej.

Akcenty i priorytety

Zidentyfikowaliśmy sześć głównych tematów w rosyjskiej strategii ogólnej – mówi Samuel Charap.

„1. Niestabilność wewnętrzna i wojny międzypaństwowe stanowią coraz bardziej złożone zagrożenie, na które Rosja musi być przygotowana;

2. Rosja musi odgrywać pozytywną, definiującą rolę w przestrzeni postsowieckiej, aby utrzymać tam swoje wpływy;

3. Rosja powinna być przygotowana do reagowania zarówno na lokalne konflikty zbrojne na swoich peryferiach, jak i do prowadzenia bezkontaktowych działań wojennych z równorzędnymi przeciwnikami;

4. Moskwa ma niewielką potrzebę rozwijania sił ekspedycyjnych lub pozaregionalnych zdolności wojskowych, a zamiast tego skupi się na zdolności do radzenia sobie z nagłymi zagrożeniami regionalnymi na swoich peryferiach;

5. Celem Rosji nie jest osłabienie Zachodu i zachodnich instytucji; Moskwa dąży do selektywnej współpracy poprzez podejmowanie kroków zmierzających do ograniczenia ambicji Zachodu i zmiany jego zachowań w polityce zagranicznej;

6. Rosja koncentruje swoją uwagę polityczną i gospodarczą na tym, co nazywa »nowymi ośrodkami władzy« – na przykład na Brazylii, Indiach, Chinach, państwach Zatoki Perskiej oraz regionie Azji i Pacyfiku, który postrzega jako relatywnie słabnący i oddalony od Zachodu".

Badacze nie próbują oceniać rosyjskich koncepcji czy zachowań w kategoriach etyki, moralności i prawa – na przykład z perspektywy wartości amerykańskich. Zamiast tego skupiają się na przedstawianiu wizji Kremla i porównywaniu tego, co mówi, z jego faktycznymi działaniami. W ten sposób „zewnętrzna agresja i wewnętrzne zagrożenia są coraz bardziej zintegrowane w oczach Moskwy" – czytamy w raporcie. Kreml „tworzy elastyczną strukturę dowodzenia i kontroli w celu zintegrowania sił zbrojnych i sił bezpieczeństwa wewnętrznego, tak aby mogły się one wzajemnie wspierać w sytuacji kryzysowej". Każdy, kto zna wewnętrzną sytuację polityczną w Rosji i historię protestów opozycji, może sobie łatwo wyobrazić, co kryje się za powściągliwymi tezami raportu.

Strategia rosyjska stawia wewnętrzne kwestie polityczne i społeczne na równi z zagrożeniami zewnętrznymi i militarnymi. „Rosja coraz częściej postrzega czynniki pozamilitarne, takie jak manipulacja globalną przestrzenią informacyjną, jako kluczowe zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Działalność organizacji pozarządowych i zachodnich instytucji non profit oceniana jest jako podważająca stabilność wewnętrzną. Stwierdzone zagrożenia wewnętrzne obejmują masowe protesty, nierówności społeczne i ekonomiczne, »kolorowe rewolucje« i inne wykorzystanie środków pozamilitarnych w celu zwiększenia niestabilności". W odpowiedzi na to strategia Rosji zawiera unikalny element militarny, którego nie ma w krajach zachodnich: „własne wewnętrzne siły zbrojne. Teraz jest to Rosgwardia, która rozwinęła się z wielu poprzednich struktur i jest hojnie finansowana" – zauważyli eksperci w dyskusji.

Podobne podejście stosowane jest w stosunku do sąsiadów: „Moskwie brakuje spójnego podejścia do swojego regionu: choć Rosja jest dominującym mocarstwem regionalnym w postsowieckiej Eurazji, poziom wpływów politycznych, gospodarczych i militarnych Moskwy różni się w poszczególnych krajach. W stosunku do najbliższych sojuszników Moskwa ma tendencję do stosowania mniej drastycznych środków przymusu w celu osiągnięcia pożądanych rezultatów, ale ucieka się do przymusu, a nawet siły militarnej, aby powstrzymać ich przed przejściem na projekty integracyjne prowadzone przez Zachód. Niektórym postsowieckim państwom euroazjatyckim udaje się oprzeć rosyjskiej polityce gospodarczej lub wycofać się z kierowanych przez Rosję organizacji bezpieczeństwa bez stosowania środków karnych, o ile państwa te pozostają neutralne i nie sprzymierzają się z konkurentami Rosji".

Ambicje i rzeczywistość

Samuel Charap i Dara Massicot zwracają uwagę, że choć Rosja mocno wzmocniła takie swoje siły zbrojne, jak wojska powietrznodesantowe czy piechota morska (dodając tam ciężkie pojazdy opancerzone), to wzmocnione jednostki są w większości skoncentrowane przy granicy z Ukrainą, którą Moskwa postrzega jako zagrożenie dla swojej stabilności na lata. Słabym punktem rosyjskich wpływów wojskowych za granicą są jednak

eprasa.pl a536663907

siły ekspedycyjne: „Rosji brakuje kluczowych filarów dla sił ekspedycyjnych, takich jak wystarczające zdolności strategiczne czy sieć baz za granicą". Jak pokazało doświadczenie syryjskie, Moskwa jest w stanie rozmieścić „niewielkie siły ekspedycyjne liczące około 5 tys. ludzi", przy czym „zakłada się, że otrzymają one nieograniczony dostęp i akceptowalną trasę rozmieszczenia".

Dara Massicot, jako ekspert wojskowy, wyjaśnia: w Syrii Rosja miała „ciągłe problemy ze sprzętem operacyjnym, obsadą personalną – ze względu na system mieszany (bo czym innym jest dobrze wyszkolony i zawodowy żołnierz, a czym innym poborowy). Wszystko to sprawia, że bardzo trudno jest przenieść siły za granicę. Rosja nie posiada sieci baz wypadowych ani systemu logistycznego, który mógłby wesprzeć takie operacje. Podjęto wysiłki w Afryce i w innych miejscach, ale to się nie przyjęło. Nie mają tak naprawdę modułowej struktury sił zbrojnych. A poza tym Rosja nie ma sojuszników, których mogłaby zaangażować jako wsparcie na teatrze działań wojennych".

Eksperci RAND sugerują, że „Rosja może zrewidować swoją doktrynę wojskową w najbliższych latach.... Taka rewizja obejmowałaby większy nacisk na międzypaństwowe starcia zbrojne na dużą skalę. W najbliższych latach rosyjskie ćwiczenia i manewry będą nadal coraz większe i bardziej złożone, obejmując wszystkie cztery okręgi wojskowe, ponieważ Moskwa kładzie nacisk na operacje bojowe na większą skalę". Jednak „pomimo imponującej skali tych ćwiczeń, Rosja pozostaje strukturalnie niezdolna do prowadzenia długotrwałej wojny na dużą skalę z NATO".

▶ Wyzwania dla USA

Nie oznacza to jednak, że amerykańskie wojsko powinno pozostawić rosnące zagrożenie bez reakcji: „Rosyjskie siły specjalne, prywatni kontrahenci wojskowi i wywiad będą w coraz większym stopniu wykorzystywani za granicą, w tym także na obszarach, na których obecne są amerykańskie siły wojskowe. Amerykańscy dowódcy i liderzy obrony powinni opracować zasady zaangażowania i standardowe procedury operacyjne podczas angażowania takich grup, gdy ich przynależność jest niejednoznaczna, zwłaszcza w zatłoczonej przestrzeni bitewnej". Rekomendacja ta pokazuje, że ani Rosja, ani USA nadal nie postrzegają siebie nawzajem jako bezpośrednich przeciwników militarnych w „gorącej" wojnie.

Nie można jednak tego samego powiedzieć o innych, „zimnych", metodach konfrontacji. Wbrew własnym deklaracjom Rosja „podejmuje wobec Zachodu działania, które mają na celu jego osłabienie i są nie do pogodzenia z bieżącymi wysiłkami Rosji na rzecz współpracy w innych dziedzinach [...]. Ta strategia jest nadal wysoce kontrproduktywna dla Rosji". Jednocześnie Moskwa przeznacza „znaczne środki i wysiłki na reorientację swojego globalnego zaangażowania z dala od Zachodu i pielęgnowanie relacji z tym, co uważa za »nowe ośrodki władzy«". Eksperci RAND porównują m.in. statystyki dotyczące wizyt rosyjskich przywódców i urzędników w państwach zachodnich i na świecie. Chociaż uwzględnia się kraje zachodnie, na przykład Serbię lub Bułgarię, różnica na niekorzyść Zachodu jest w niektórych latach sześciokrotna, a w najlepszym przypadku prawie trzykrotna.

Analitycy upatrują przyczyny takiego stanu rzeczy w tym, że „strategia Rosji opiera się na przekonaniu, że porządek światowy jest w fazie przejściowej. Zgodnie z tym poglądem, system międzynarodowy uległ destabilizacji po zakończeniu zimnej wojny, kiedy to USA stały się jedynym hegemonem. W tym okresie jednobiegunowości światem wstrząsnęły niszczycielskie kryzysy w Iraku, Serbii, Afganistanie i innych krajach. W opinii Rosji wydarzenia te miały miejsce, ponieważ nie istniała przeciwwaga dla USA i ich sojuszników, która mogłaby ograniczyć ich wysiłki zmierzające do przebudowy świata na własne podobieństwo".

„Ten jednobiegunowy moment właśnie się kończy – kontynuują badacze swoją opowieść o strategii Kremla – a system międzynarodowy zmierza w kierunku policentrycznego porządku światowego. Wschodzące wielkie mocarstwa, takie jak Rosja i Chiny, działają niezależnie od Stanów Zjednoczonych, a czasami w konfrontacji z nimi, w celu ochrony swoich interesów narodowych; przywracają równowagę sił, która kiedyś zapewniała stabilność systemu międzynarodowego". Nietrudno zrozumieć, że realizacja takiej koncepcji „nieuchronnie prowadzi do wzrostu napięć z Zachodem" – konkluduje raport. „Strategia Rosji przewiduje selektywną opozycję i ograniczoną współpracę z Zachodem – ale tylko na rosyjskich warunkach. Jednak – zauważają eksperci RAND – rośnie sprzeczność między agresywnymi działaniami Rosji a jej chęcią współpracy... Moskwa zdecydowanie sprzeciwia się wielu zachowaniom Zachodu... a to sprawia, że dla wielu zachodnich rządów jakiekolwiek zaangażowanie w sprawy Kremla jest politycznie trudne, jeśli nie niemożliwe". ■

eprasa.pl a536663907

Tomasz Sakiewicz

Wzloty i upadki cywilizacji

Oglądałem jakiś czas temu serial „Wikingowie", zahaczający o początki historii państwowości Anglii. Jeden z pierwszych władców korzystał z basenu stworzonego jeszcze przez Rzymian. Podziwiał rzymskie konstrukcje i dziwił się, że setki lat po upadku Rzymu Zachodniego nikt nie potrafi czegoś podobnego skonstruować. Katastrofa cywilizacyjna, jaką był upadek pierwszego Imperium na naszym kontynencie (państwa Aleksandra Wielkiego nie można tu liczyć), spowodowała, że wiele już osiągniętych zdobyczy cywilizacji stało się znowu nieosiągalnymi. Rzymianie raczej nie zasłynęli jako obrońcy praw człowieka, ale z drugiej strony obywatel rzymski nie mógł być skazany bez sądu. Można to nazwać pierwszym systemem praw obywatela. Dotyczyło to też wielu innych dziedzin: tolerancji religijnej, a przez większość czasu, szczególnie Republiki, również politycznej. Rzym do czasów Juliusza Cezara był demokracją. Senat funkcjonował do końca imperium, jakoś ograniczając wszechwładzę imperatorów. Rzym zawsze stawiał na armię, sprawną administrację i hołdował patriotyzmowi. Miał swój model rodziny, który był przedmiotem szacunku. Stawiano na wielką skalę najnowocześniejsze budowle, kwitły nauka i sztuka.

Jest wiele przyczyn upadku tysiącletniego imperium. Ale warto zwrócić uwagę na ważne zjawiska, które prowadziły do kryzysu. Swoista poprawność polityczna (cesarz został bogiem), tworzona wokół dworu, odebrała obywatelom realną chęć współrządzenia. Została zamieniona na uniżenie i gry koteryjne. W efekcie Rzymianie nie chcieli poświęcać się dla swojej ojczyzny i armia w coraz większym stopniu stawała się najemną. Przy tak rozległym terytorium zaczęło brakować na to po prostu pieniędzy. Morale obrońców imperium osłabił upadek religijności. W chwili upadku Rzymu Zachodniego tylko 20 proc. ludności wyznawało chrześcijaństwo. Stare religie niczego już nie spajały. W Rzymie, podobnie jak w Izraelu, rozwody były na porządku dziennym, ale pod koniec imperium nastąpiły procesy zupełnej demoralizacji społecznej. W przeciwieństwie do Greków Rzymianie odrzucali homoseksualizm, ale na dworach stawał się on coraz bardziej modny, z męską pedofilią włącznie.

Rozluźnienie dyscypliny społecznej powiązane było też z rozluźnieniem dyscypliny finansowej i upadkiem pieniądza. Nie trzeba było dużo czasu, by Germanie i inne ludy o wiele mniej rozwinięte zniszczyły Rzym.

> Mamy dzisiaj dwa Rzymy Zachodnie: USA i UE. Jeżeli chodzi o Stany, to widać zjawiska kryzysowe, ale moim zdaniem mają one ogromną zdolność do odnowy. Co do Unii, to patrząc na krótki czas jej trwania, trudno przedstawić dobre przewidywania.

Czy czegoś nam to nie przypomina?

Mamy dzisiaj dwa Rzymy Zachodnie: Stany Zjednoczone i Unię Europejską. Jeżeli chodzi o USA, to widać zjawiska kryzysowe, ale moim zdaniem mają one ogromną zdolność do odnowy. Co do Unii Europejskiej, to patrząc na krótki czas jej trwania, trudno przedstawić dobre przewidywania. To rzadki przypadek, żeby mocarstwo zaczęło od zaadoptowania wszystkich znanych wcześniej patologii. Obecna Unia straciła zdolność rozwoju, zaczęła ponosić straty terytorialne (brexit) i nie ma nawet pomysłu na przyjęcie nowych członków. Gospodarczo UE przegrywa z USA, Chinami, a wkrótce pewnie też z Indiami.

Bez zasadniczych reform ten projekt wcześniej czy później się rozleci. ■

eprasa.pl a536663907







Najlepsi wracają do gry



4K

Dekoder polsat box | 4K

Wybierz ofertę TV **od 30 zł/mies.**
z nowym dekoderem 4K
i dobieraj pakiety sportowe



polsat box

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl Oferta ważna na dzień 25.10.2021 r. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl 853866390